

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 3/282

1971



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

GWARANCJA PRAW

J. LEWANDOWSKI : **ROLA STRACHU W SOWIETYZMIE**

T. NOWAKOWSKI : **INNY WIATR**

M. DŻILAS : **WNIOSKI Z POLSKIEGO GRUDNIA**

**LIST Z KRAJU DO GUSTAWA GRUDZIŃSKIEGO I
JEGO ODPOWIEDŹ**

POLSKI OŚRODEK SPOŁECZNO-KULTURALNY

SPIS RZECZY

—	<i>Gwarancja praw</i>	3
Józef Lewandowski:	<i>Rola strachu w sowiectwie</i>	7
Tadeusz Nowakowski:	<i>Inny wiatr</i>	34

OBSERWATORIUM

Milovan Džilas:	<i>Wnioski z Polskiego Grudnia</i>	49
Ignazio Silone:	<i>Oświadczenie</i>	54

K R A J

Korespondent:	<i>List do Gustawa Grudzińskiego</i>	55
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Odpowiedź</i>	61

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Refleksje grudniowe</i>	69
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	74
Zbigniew Byrski:	<i>Legenda pierwszego sekretarza</i>	80
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	83

SĄSIEDZI

Józef Łobodowski:	<i>Zgryźliwe uwagi na tematy ukraińskie</i>	93
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	106

SPRAWY I TROSKI

Józef Garliński:	<i>Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny</i> ..	114
Edward Puacz:	<i>Wywiad z prez. A. Mazewskim</i>	120

STRATY KULTURY POLSKIEJ

Redakcja:	<i>Stanisław Vincenz</i>	123
Józef Czapski:	<i>Stanisław Vincenz</i>	125

KRONIKA KULTURALNA

Mieczysław Giergielewicz:	<i>Filadelfijska zagadka Adama Mickiewicza</i>	129
---------------------------	--	-----

KSIĄŻKI

Józef Wittlin:	<i>Postscriptum do „Soli ziemi” po 35 latach</i>	138
—	<i>Nadane nowości wydawnicze</i>	141



Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	143
--------------	----------------------------	-----



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	144
---	----------------------------------	-----



K. K. Krótki, St. Preyzner, E. Puacz:	<i>Listy do Redakcji</i>	155
—	<i>Wpłaty na Fundusz „Kultury”</i>	158

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Marzec-Mars

1971

INSTYTUT



LITERACKI

NOTA BIOGRAFICZNA

Józef LEWANDOWSKI. Ur. w 1923 r. w Koninie, wojnę spędził w Związku Sowieckim, gdzie we wrześniu 1944 r. wstąpił ochotniczo do Wojska Polskiego. Studiował historię i nauki społeczne. Doktorat nauk humanistycznych w 1961 r. W latach 1953-1964 — wykładowca historii najnowszej wydziału historycznego Wojskowej Akademii Politycznej w Warszawie, w latach 1964-1969 — adiunkt Instytutu Historii PAN, współpracował również z demokratyczną prasą czechosłowacką. Opublikował „Federalizm” (Warszawa 1962), „Imperializm słabości” (Warszawa 1967) oraz około stu artykułów, poświęconych najnowszej historii Polski, Rosji i Czechosłowacji oraz komparatyście historycznej. Trzy książki nie dopuszczone do wydania bądź skonfiskowane w latach 1966-1968. W 1968 r. proces habilitacyjny przerwany ze względów politycznych. Od 1969 r. — emigrant polityczny w Szwecji, pracownik naukowy Uniwersytetu Sztokholmskiego.

DO PRENUMERATORÓW „KULTURY”

Od kilku miesięcy dostajemy ciągłe reklamacje od naszych prenumeratorów ze Stanów Zjednoczonych i Kanady, że *Kultura* dochodzi do nich po 7-miu a często 8-miu tygodniach.

Chcemy więc jeszcze raz podkreślić, że *Kultura* wysyłana jest zawsze w pierwszych czterech dniach miesiąca, jednego i tego samego dnia, do wszystkich krajów i do wszystkich czytelników i że spóźnienia są jedynie winą miejscowej poczty, na którą nie mamy, niestety, żadnego wpływu.

Jedynym przyspieszeniem jest wysyłka pocztą lotniczą. Wobec licznych zapytań podajemy, że dopłata lotnicza do *Kultury* kosztuje w tej chwili *dol. 7,50 rocznie* do: Stanów Zjednoczonych i Kanady, oraz do wszystkich krajów Afryki i Ameryki Południowej.

Dopłata lotnicza do Australii, Nowej Zelandii, Japonii i Indonezji wynosi *rocznie dol. 10,00*.

Korzystając z okazji jeszcze raz przypominamy, że prenumerata *Kultury* kosztuje w roku bieżącym dolarów 15,—. Ponieważ niektórzy prenumeratorzy przez omyłkę przysyłają nam, jak dawniej, *dol. 12,—* wzgl. *dol. can. 13,—* bardzo prosimy o uzupełnienie.

Prenumerata *Zeszytów Historycznych* nie została w rb. podwyższona. Kosztuje jak dawniej, dla prenumeratorów *Kultury*, *dol. 6,00 rocznie*.

REDAKCJA

Imprimé en France

1971 N 1684

Gwarancja praw

W prasie krajowej ukazały się artykuły zwrócone do inteligencji. W tonie uroczystym apeluje się do naukowców, pisarzy i intelektualistów o pojednanie się z partią. Nawołuje się do usunięcia „atmosfery nieufności”, do solidarnego wysiłku w interesie Polski Ludowej. Nie po raz pierwszy urzędowa propaganda uderza w ową strunę. Nazywa się to „wyciągnięciem ręki przez Partię do inteligencji”. Tym razem jednak obłuda i cynizm tych oświadczeń przekraczają zwykłą miarę.

Po pierwsze: kto to pisze? Wspomniane artykuły ukazują się w prasie codziennej i tygodniowej, redagowanej przez te same osobistości, które po marcu 1968, na tych samych łamach, szczuły inteligencję za to, że ośmieliła się krytykować nadużycia reżymu. Ci sami dziennikarze i propagandyści, którzy dziś apelują o usunięcie „atmosfery nieufności”, 3 lata temu oklaskiwali pozbawienie katedr i wyrzucenie z wyższych uczelni wybitnych naukowców polskich; ogłaszali jako renegatów i agentów pisarzy, którzy wystąpili przeciw represjom administracyjnym wobec literatury. Ci sami redaktorzy, drukujący dziś wezwania do solidarności, nie szczędzili w swoim czasie oszczerczych donosów na studentów i intelektualistów, i to nazajutrz po ciosach pałek, rewizjach i aresztowaniach. Powtórzmy to wyraźnie: ci sami. Kto miałby wątpliwości, może zajrzeć do pism sprzed 2 czy 3 lat. Te same nazwiska Gontarzy, Machejków, Bratnych i Kąkolów odzywają się dziś zgodnym chórem. Te same ręce, które wskazywały policji podejrzanych, dziś piszą o błędach poprzedniego kierownictwa. Wydawałoby się, że prasa krajowa nie może już być podlejsza niż była w ostatnich latach. Okazuje się jednak, że granice jej spodenia nie istnieją.

Drugie pytanie. Zakładając nawet, że po Grudniu aparat par-

tyjno-państwowy istotnie szuka oparcia w inteligencji, należy zapytać czy i w jaki sposób będą wyrównane jej straty. Ciosy, jakich doznała w ubiegłych latach, były zbyt ciężkie, aby dziś można je było zakłajstrować hasłem „kochajmy się”. Trzeba wynagrodzić krzywdy, naprawić skutki nadużyć i zapewnić gwarancje na przyszłość. Są to warunki podstawowe i niezbędne. Bez ich wypełnienia sprawy powrócą do stanu poprzedniego: najcenniejsza część inteligencji zamknie się w czterech ścianach emigracji wewnętrznej.

To co należy uczynić jest nieodparcie proste, ale wymaga konkretnych i publicznych aktów. Wymieńmy najważniejsze z nich.

Nie może być mowy o pojednaniu się z inteligencją, dopóki przebywają w celach więziennych młodzi naukowcy i intelektualiści, aresztowani w drodze pogwałcenia praw obywatelskich. Pogłoski o wypuszczeniu z więzienia Kuronia i Modzelewskiego okazały się fałszywe. W roku ubiegłym dokonano aresztowań w środowiskach inteligencji katolickiej. Żadne słowa nie pokryją tych faktów. Żadne gesty nie zastąpią obowiązku uwolnienia i publicznej rehabilitacji młodych intelektualistów, skazanych i uwięzionych na mocy niepraworządnych wyroków sądowych, w półtajnych procesach: Karpińskiego, Kozłowskiego i innych.

Nie nastąpiła również publiczna rehabilitacja i odwołanie oszczerstw w stosunku do zmarłego Pawła Jasienicy. Nie może być ciszy nad tym grobem. Nie mogą pozostać bezkarni ludzie, którzy w artykułach prasowych obrzucali błotem jednego z najwybitniejszych i najuczciwszych pisarzy polskich. Niech ręka wyciągnięta do uścisku wpierv się z tego błota oczyści.

W okresie po Marcu 1968 usunięto z katedr na wyższych uczelniach szereg profesorów, docentów i asystentów. Niektórzy z nich zostali zmuszeni do wyjazdu z Polski, wielu wykłada na zagranicznych uniwersytetach, w Anglii, Francji, Kanadzie i USA. Na wyższych uczelniach w Kraju mianowano na ich miejsca pseudo-naukowców, rekrutowanych przez aparat polityczny i znieprawdionych przez młodzież. Odwołanie tych ludzi i przywrócenie katedr oraz stanowisk naukowych dawnym wykładowcom, publiczne oczyszczenie ich z oszczerstw — jest to warunek, którego wypełnienie byłoby pierwszym krokiem na drodze do zdobycia zaufania inteligencji.

W latach ubiegłych stosowano wobec szeregu pisarzy system mniej lub bardziej jawnych zakazów publikacji. Przykłady Jasienicy i Kisielewskiego są tylko najjaskrawsze, represjami i ograniczeniami objęta jest nadal grupa autorów, którzy wyrazili sprzeciw wobec cenzury i polityki kulturalnej rządu. Bezpośrednimi egzekutorami tych dyskryminacji byli i są nadal ludzie zajmujący kierownicze stanowiska w telewizji, prasie literackiej i codziennej,

ZLP i radio. Nazwiska ich są znane. Jeśli rząd i partia istotnie chcą usunąć „atmosferę nieufności”, należałoby zacząć od cofnięcia zakazów w stosunku do pierwszych i odebrania pałek drugim. Taki akt dobrej woli inteligencji z pewnością potrafiłaby ocenić.

Skoro mowa o prasie literackiej, warto raz jeszcze zwrócić uwagę, że od 7 lat, po przymusowej likwidacji *Przeglądu Kulturalnego* i *Nowej Kultury*, tzw. wachlarz poglądów reprezentowanych przez pisma społeczno-literackie i artystyczne w Kraju jest fikcją. *Warszawska Kultura* i *Współczesność* czy krakowskie *Życie Literackie* reprezentują jedynie poglądy wydziału kultury i sztuki KC. Lektura owych tygodników jest przygnębiająca. Kłamię nie tylko prasa codzienna — prasa literacka zakłamuje również konsekwentnie prawdziwy obraz krajowej literatury. Powstanie nowego tygodnika literackiego, który odrobiłby straty i odkłamał fałszerstwa w tej dziedzinie, byłoby kolejnym aktem wynagrodzenia krzywd inteligencji, ważniejszym niż puste słowa i apele.

Oto podstawowe warunki. Spełnienie ich musiałyby się jednak łączyć z głęboką przemianą stosunku władz do kultury jako całości. Literatura, sztuka i nauka nie mogą się rozwijać przy istnieniu przewencyjnej cenzury każdej publikacji czy utworu. Jedność kultury polskiej jest faktem nie do obalenia; nie można fałszować tego faktu przemilczając twórczość pisarzy, artystów i uczonych polskich żyjących poza granicami Kraju. Literatura rosyjską i czeskosłowacką tworzą dzieła pisarzy o doświadczeniach podobnych do doświadczeń współczesnych pisarzy polskich; nie wolno zatajać istnienia tych dzieł, nie wolno pozbawiać polskich czytelników książek Pasternaka, Sołżenicyna, Waculika i innych.

Z początkiem roku 1968 w Polsce zaczęto stosować rugę i szykany wobec obywateli pochodzenia żydowskiego. Akcja objęła wszystkie dziedziny życia. Rząd zmusił tysiące ludzi do opuszczenia Polski.

Zdjęcie z afisza „Dziadów” Adama Mickiewicza stało się prologiem do aresztowań w kołach patriotycznej młodzieży.

Tej straty nie da się łatwo odrobić. Ale choćby próba jej naprawienia i pociągnięcie do odpowiedzialności sprawców prowokacji marcowej byłyby aktem zadośćuczynienia zgodnym z wolą każdego obywatela, któremu demokratyczne tradycje inteligencji polskiej są drogą.

Bez zrozumienia tych kilku prostych prawd znaczenie słów i gestów będzie retoryczne. Ręka wyciągnięta musi szanować prawa — sam uścisk nie wystarczy. Tym bardziej gdy bywał tak miażdżący kości.

Powtarzamy: nie po raz pierwszy władza komunistyczna „wyciąga rękę” do inteligencji. Wyciągała ją w roku 1945 i 1956. W obu wypadkach przebieg późniejszych spraw obrócił się prze-

ciw inteligencji, która tę rękę przyjęła z zaufaniem, ale nie otrzymując w zamian gwarancji poszanowania praw Skutki nie dały na siebie długo czekać. Rok 1949 i 1968 to daty pamiętne: ręka wyciągnięta niegdyś do uścisku — zacisnęła się na gardle...

Inteligencja w Kraju powinna ogłosić swoje *cabiers des doléances*, podobnie jak zgłosili je robotnicy Wybrzeża. A czytając apele wzywające do solidarności musi zadać sobie pytanie: do solidarności w *czym? i z kim? i na jakich warunkach?*

W NAJBLIŻSZYM CZASIE
UKAŻE SIĘ
NOWY TOM «DOKUMENTÓW»

P.T.

POZNAŃ 1956
GRUDZIEŃ 1970

M.IN. W TYM TOMIE PODAMY SZCZEGÓŁOWĄ
CHRONOLOGIE WYDARZEŃ OSTATNICH MIESIĘCY.

Rola strachu w sowietyzmie

„PODSTAWY PAŃSTWA I PRAWA”

W niniejszych rozważaniach próbowałem uogólnić szereg rozmów i dyskusji, jakie toczyły się — najczęściej w cztery oczy, rzadziej w szerszym gronie — przy moim współudziale wśród pracowników naukowych różnych dziedzin nauk społecznych. Moi rozmówcy pochodzili z Polski, Związku Sowieckiego, Czechosłowacji. Nie bez znaczenia dla mnie było to, że dyskutujący przeważnie byli ludźmi dobrze zapoznanymi z kulisami życia politycznego i praktyką administracji państwowej. Niekiedy byli to ludzie zajmujący dość istotne stanowiska, oficjalne lub zakulisowe, w życiu politycznym.

Przeciętny obywatel w krajach „na wschód od Łaby” nie uważa ustroju ani władzy za „swoje”. Jego pogląd na sprawy ustrojowe zamyka się w dosadnych określeniach że „oni rządzą” lub, że „banda dorwała się do władzy”. Moi rozmówcy, podziеляjąc lub nie uczucia przeciętnego obywatela, nie mogli zadowolić się tą konstatacją. Stąd dążenia do zrozumienia tych stereotypowych określeń ludowych.

Jeśli wnioski tu ujęte zdawać się niekiedy będą czytelnikowi zbyt odległe od przyjętych przezeń pojęć, proszę o wzięcie pod uwagę tego, że są to poglądy, kształtujące się i utrwalające się coraz bardziej wśród ludzi, spoglądających na sprawy ustrojowe od wewnątrz.

Publikowane rozważania noszą charakter cząstkowy i są częścią obszerniejszej pracy. Publikuję je wcześniej nieco niż zamierzałem, przypuszczam bowiem, iż niektóre ujęcia mogą być użyteczne w aktualnych dyskusjach na temat ostatnich wydarzeń w Polsce.

„Bo takim jest przekleństwo złego czynu,
Że wciąż na nowo rodzić musi zło!”

Nie wiem, kto wymyślił ten przedmiot, wykładany i egzekwowany na wszystkich wydziałach prawa we wszystkich uniwersytetach państw sowieckich¹. Jest to przedmiot, któremu została

1. Stosowany przeze mnie, zgodnie z propozycją prof. Drewnowskiego (*Kultura* Nr 9, 1970) termin „sowietyzm”, „ustrój sowiecki” odnosi się nie tylko do ZSSR lecz również do państw od ZSSR zależnych. Stosowana często

nadana ranga zasadnicza. W ramach tego przedmiotu wykłada się studentom, że społeczeństwo na pewnym szczeblu rozwoju dzieli się na klasy, że państwo klasowe stoi na straży interesów klas posiadających, że prawo państwa klasowego jest klasowe, że dzięki zwycięstwu Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej (inne rewolucje pisane są z małej litery) powstało państwo mas pracujących, a zwłaszcza klasy robotniczej, która sprawuje w nim dyktaturę, państwo, które zrealizowało wszystko co trzeba było zrealizować i zlikwidowało wszystko co trzeba było zlikwidować, słowem, państwo będące już tym razem rzeczywistym uwieńczeniem triady heglowskiej. Prawo tego państwa jest doskonałe, bezklasowe, umożliwiające bezkonfliktowy rozwój społeczeństwa, jego ekonomiki, kultury, stanowi również szczyt marzeń jednostki, która w tym ustroju właśnie dokonała skoku z „cesarstwa konieczności” w „królestwo swobody”. Innymi słowy, w postaci beznamiętnie naukowej wykłada się to, co w postaci syntetyczno-poetyckiej ujmuje śpiewana od 1936 bodajże roku pieśń:

*„Ja drugiej takiej strany nie znaju
gdzie tak wolno dyszet czetowiek!”*

I jeśli w ramach nowego, najlepszego państwa i w zgodzie z nowym, najlepszym prawem działa się rzeczy niedobre, utrzymała się bieda, bezduszość, biurokracja, klikowość, nie mówiąc już o „błędach i wypaczeniach”, to obciąża to bądź „pozostałości starego”, bądź sumienie pojedynczych, zmarłych lub od władzy odsuniętych osób. Niektóre rzeczy zaś wręcz obciążają sumienie przywódców państw kapitalistycznych, którzy zorganizowali sobie Wspólny Rynek, by zbojkotować handel z państwami Układu Warszawskiego, lecz którzy sami na tym najgorzej wychodzą.

Przypadek sprawił, że przez szereg lat stykałem się często z pewnym luminarzem tej akademickiej dyscypliny. Nie wierzył ani w jedno słowo przez siebie z katedry głoszone. Zdarzało się nawet, że stawił dwójki studentom zbyt tępo i dosłownie powtarzającym jego własne wywody. Bo na własny (i towarzyski) użytek miał poglądy dość odbiegające od wywodów i nie czynił nawet z tego nadmiernej tajemnicy.

Przez kilkanaście co najmniej lat miałem również możliwość obserwowania z bliska dość wielu działaczy politycznych w kilku krajach tzw. socjalistycznych. Niektórzy z nich należeli do kategorii tzw. „rewizjonistów”. Wierzyli oni — z takimi lub innymi

i nawykowo terminologia „komunizm”, „ustrój komunistyczny”, prowadzi do niestusznych metod analizy — co zauważył już w latach dwudziestych Coudenhove-Kalergi — zarówno państw sowieckich jak i zachodnioeuropejskich ruchów komunistycznych.

zastrzeżeniami — w możliwość zrealizowania schematu państwa socjalistycznego, jaki doktryna podawała im do wierzenia. Drudzy należeli do kategorii nazywanej „dogmatykami” lub „twardej reki”. Ci zdawali sobie sprawę z nierealności marzeń godzących dyktaturę z socjalizmem. Na dobrą sprawę „rewizjoniści” których znałem byli bardziej „dogmatyczni” od tych, którym miano to przyswojono i którzy — jak zauważył Bieńkowski — są autentycznymi rewizjonistami. Ale pozostajmy przy określeniach powszechnie przyjętych.

Stykając się również z dogmatykami, prowadząc z nimi bardziej lub mniej szczere rozmowy, doszedłem do wniosku, że każdy z dogmatyków posiada na prywatny użytek własną teorię państwa i prawa, teorię państwa typu sowieckiego i w takim państwie rządzenia. Jednym z istotnych źródeł pragmatycznych sukcesów odnoszonych przez „dogmatyków” w walce o władzę przeciwko „rewizjonistom” jest lepsze zrozumienie treści ustroju w ramach którego walka się odbywała.

Poglądy dogmatyków nigdy nie doczekały się omówienia i wykładu² i nie należy oczekiwać ich ze strony nie tylko „wiernych” lecz i „małowiernych”. Wyłożył mi to lat temu dziesięć nieżyjący już Zygmunt Okręt. Mój rozmówca, pamiętający jeszcze osobiście Różę Luxemburg i Leona Jogichesa, w swoim czasie członek zarządu głównego SDKPiL, wybitny działacz komunistyczny w okresie międzywojennym i w czasie II wojny światowej, dyrektor archiwum Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego a później Spraw Wewnętrznych był kopalnią wiedzy o ruchu którego był działaczem. W rozmowach w cztery oczy otwierał przede mną mroczne regiony, których istnienia nawet nie podejrzewałem, jako że nie wyżyłem się jeszcze rewizjonistycznych rojeń. Kiedyś nie wytrzymałem: „Dlaczego tego wszystkiego nie napiszecie?” Nastąpiła chwila refleksji a po niej cicha odpowiedź: „Nie, tego nie zrobię! Takich zakłamanych pamiętników, jakie płodzą ci... nie napiszę. A uczciwe wspomnienia komunisty może napisać tylko renegat!”

Zbyt gruntownej analizy „sowietyzmu” niesposób oczekiwać od ludzi rozpatrujących rzeczywistość pod kątem „wierności” ani nawet pod proponowanym w swoim czasie przez Deutschera kątem „herezji”. Sowietyzm musi być rozpatrywany przez ludzi, którzy obdarzeni wiedzą od „wewnątrz”, znajdując się uczuciowo „na zewnątrz”.

Dyktatura — a sowietyzm jest szczególną formą dyktatury

2. Przynajmniej w czystej, zrozumiałej postaci. W postaci zakryptonimowanej i niezbyt usystematyzowanej wykład ten jest prowadzony we wszystkich publikacjach teoretycznych i we wskazaniach praktycznych.

— jest rządzeniem przy pomocy zastraszania. Punktem wyjścia eseju niniejszego będzie więc strach i jego rola społeczna.



„Bać się” jest rzeczą brzydką i co do tego chyba wszystkie kultury są ze sobą zgodne. Lęki należy przezwyciężać i to przezwyciężanie jest zabiegiem szczytnym, jest „zwycięstwem nad samym sobą”. Każda kultura ma szacunek dla ludzi nie odczuwających strachu lub przezwyciężających go, każda ma w pogardzie tchórzy i w ogóle ludzi bojących się. Dlatego ludzie niechętnie przyznają się do tego uczucia. Mało kto potrafi przyznać się do lęku. Ten bowiem obezwładnia, jest więc czymś zarówno pogarszającym samopoczucie jak i utrudnieniem w rozgrywkach, w nomenklaturze Gombrowicza: przyjęciem niewłaściwej „gęby”.

Mało w którym społeczeństwie istnieje taki kult odwagi, jak wśród Polaków. Kult ten zresztą znajduje potwierdzenie w rzeczywistości i nad tym chyba nie ma potrzeby się rozwodzić. Ale strach jest uczuciem ludzkim, nie obcym również i bohaterom. Nie odczuwają go chyba tylko ludzie ułomi. Chyba dla żadnego zjawiska psychicznego język polski nie ma takiej gamy różnicowań semantycznych, jak dla uczuć lękowych. Poczynając od enigmatycznej „ostrożności” poprzez „obawę”, „niepokój”, „lęk” do „strachu”, „paniki” i „prerażenia”. Dodatkowe różnicowania osiągnęte są przez przymiotniki. Strachy są więc rozmaite, porównywalne, choć trudne do zmierzenia i zaklasyfikowania.

Racjonalny strach jest reakcją na zagrożenie lub jego prawdopodobieństwo. W pewnych granicach, tam gdzie zagrożenie większe, lęki się potęgują. Ludzie boją się również więcej lub mniej w zależności od swej struktury nerwowej. W identycznej sytuacji jedni boją się więcej, inni mniej. Jeden i ten sam bodziec u jednego wytwarza tylko obawę, innego wprawia w stan paniczny, jednego pobudza do działania, innego do ostrożności, trzeciego — paraliżuje. Proszę to mieć na względzie przy czytaniu niniejszego eseju, gdyż stosowane tu terminy nie mogą pasować do przeżyć wszystkich ludzi. Jeśli jednak będą one należały do tej samej sfery odczuć psychicznych, myślę, że między Czytelnikiem a mną nie powstaną nieporozumienia.

Strach jest pojęciem nie tylko ze sfery psychologii indywidualnej, albowiem w rozmaitych układach stosunków prawno-państwowych, ekonomicznych, kulturalnych, historycznych itd. ludzie odczuwają strach w rozmaity sposób.

W rezultacie istnieje obfita wiedza o lękach w kapitalizmie, stworzona przez naukowych i literackich krytyków tego ustroju gospodarczego. Wiadomo, czego obawiają się ludzie nie posiadają-

cy pieniędzy i co jest zmorą je posiadających. Ta literatura jest znana zarówno na Zachodzie jak i na Wschodzie. Jestem pełen szacunku dla walczących przeciwko rodzącym lęki instytucjom świata kapitalistycznego i myślę, że ich demaskatorska pasja przynosi na Zachodzie pożytek społeczeństwom. Przeciętny jednak człowiek we Wschodniej i Środkowo-Wschodniej Europie nie lubi tej literatury oraz z niej wywodzących się sztuk i filmów, tego „realizmu krytycznego”. Nie tylko dlatego, że przez samą nazwę kojarzy się z „realizmem socjalistycznym” ale i dlatego, że w określonych warunkach, niezależnie od intencji autorów, tj. równie dobrze w zgodzie z intencjami jak i wbrew nim, sztuka ta spełnia usługową rolę wobec sowietyzmu, odwraca uwagę od własnej sytuacji i ma kształtować strach przed wolnością, który winien być większy niż strach przed niewolą.

Na Zachodzie wie się obecnie o życiu w sowietyzmie dość dużo. Wie się o okrucieństwach okresu rewolucyjnego, o zbrodniach stalinowskich, o łażrach i więzieniach, o nieprawości i nieczłowieczeństwie. Nie rozumie się i nie odczuwa, jaką rolę w życiu każdego człowieka i w funkcjonowaniu całego systemu sowieckiego odgrywa strach. Być może, by zrozumieć to, mieszkając w Londynie lub Stockholmie, trzeba mieć chorobliwą fantazję, jak stwierdzono w związku ze zbrodniami hitlerowskimi. Nie rozumieją tego nie tylko Anglicy i Szwedzi. Nie rozumiemy my sami, tubylcy krajów sowieckich. Nie rozumiemy, albowiem nie dopuszczamy do świadomości, jak bardzo jesteśmy „spreparowani”, zastraszeni.

Może właśnie ze względu na tak rozwinięty w Polsce kult odwagi i pogardę dla tchórzostwa trudno nam się przyznać do spreparowania terrorem, do ulegania mu. Chyba w czasie okupacji hitlerowskiej zaczęła się upowszechniać, by utrwalić się w latach „demokracji ludowej” specyficzna „gęba” (znowu w kategoriach Gombrowicza) człowieka prymitywnego a zaradnego, którego żaden diabeł nie przechytry, Niemiec nie zabije, Rusek nie wytepi, ubek nie zwęszy, człowieka, który dopnie swego w każdej sytuacji, a jednocześnie człowieka całkowicie bezideowego, w nic nie wierzącego i do niczego prócz własnej pomyślności nie dążącego. Ci na pozór odważni, sprytni są najbardziej spreparowani strachem i dostosowani do sowietyzmu. Strach odebrał im jakiegokolwiek uniwersalne cele życiowe.

Inni spychają strach w sferę podświadomości, jak gdyby rzecz nie nazwana nie istniała. Ciekawe, że ludzie dopiero wówczas zdają sobie sprawę ze zmyślenia strachu po wyzwoleniu się zeń, np. po „wybraniu wolności” — obfita literatura pamiątnikarska dostarcza przekonującego dowodu.

Ten system samoobrony psychicznej poprzez niedopuszczanie

do świadomości w jakiś sposób zdaje egzamin, bo umożliwia trwanie. Ale jednocześnie utrudnia uwolnienie się. Rzecz ma się odwrotnie niż podświadomie przypuszczamy. Niesposób zdobyć wolności bez ujawnienia, nazwania, sklasyfikowania zjawisk rodzących niewolę, również w sferze psychicznej. Albowiem niewola to nie tylko ustrój, lecz również stan psychiczny. Wolny jest ten, kto zrozumiał mechanizm niewoli i nie poddał mu się.



Mechanika życia politycznego w sowietyzmie nie od razu ujawniła się światu, ba, nie była też zrazu zrozumiała dla ludzi w tym ustroju rządzących, tak daleko była od ludowładczych, przedrewolucyjnych rojeń, tak dalece zewnętrzne efekty rewolucji, zarówno negatywne jak i pozytywne zasłoniły mechanizm ząbienia się kółek, poruszających wskazówki tarczy.

Dociekania na ten temat podjęła najnowsza fala wielkiej literatury rosyjskiej. Zrozumienie roli strachu w sowietyzmie jest przede wszystkim dziełem Nikołaja Arzaka — Julija Daniela. Przypomnijmy sobie — w krajach sowieckich trudnodostępną — nowelę Arzaka „Gawarit Maskwa”, opublikowaną u progu lat sześćdziesiątych³.

Zawiązaniem noweli jest opublikowana przez radio decyzja władz sowieckich, które, w związku ze wzrostem dobrobytu, poziomu kulturalnego i potrzeb w zakresie rozrywek kulturalnych, postanowiły zorganizować „dzień wolnego morderstwa”. Dekret stwierdzał kto oraz ilu mógł tego dnia zamordować, kto był wyłączony spod prawa o zabijaniu, jakie obowiązki spadały na organy partyjne a jakie na inne organy władzy itd. Kończy się nowela parę miesięcy później dyskusją narratora z młodą dziewczyną, Swietłaną. Przedmiotem tej wieńczącej utwór rozmowy są karykaturalne a jakże jednak naturalne i przez warunki polityczno-społeczne określone postawy ludzkie w czasie „dnia wolnego mordowania” i po tym dniu:

„Przecież ich — Swietłana zacięła się szukając właściwego słowa — przecież ich... zastraszyli! [...] Nie mogła zdać sobie sprawy, że tym jednym słowem odpowiedziała we właściwy sposób na pytanie, jakie zadawały nadaremnie miliony zmieszanych, zgubionych ludzi. [...] Wydawało się jej, że powiedziała to słowo tylko do mnie, a w rzeczywistości rzuciła je w twarz, niechający, nie o tym nie wiedząc, ogromnym rządowym gmachom, czarnobiałym hektarom dzienników, codziennie walącym się na kraj, zgodnym rykiem publicznych zgromadzeń, szatańskiemu jazgotowi gąsienic, ciągnących rozwarte paszcze armat na świąteczne defilady”.

Nie wysuwajmy zarzutu, iż do doskonale skonstruowanej noweli autor wstawił na zakończenie ten neliteracki passus, kolidu-

3. *Kultura* (paryska) Nr 1, 1962, tłum. Józef Łobodowski.

jący ze wstrzemięźliwą, bezprzymiotnikową narracją. W passusie tym bowiem zawarte jest doniosłe odkrycie socjologiczne wymagające dosłowności. To odkrycie zostało zresztą dostrzeżone i uhonorowane przez sowiecki wymiar sprawiedliwości karą 5 lat więzienia.

Nie przypadkowo zaznaczyłem datę pierwodruku noweli Daniela. Ukazała się ona tylko w niespełna 5 lat od druku powieści Pasternaka „Doktor Żiwago”. Ale Pasternak był przedstawicielem pokolenia, dla którego rewolucja była niepojętym żywiołem. Jurij Żiwago u schyłku 1917 roku głosi niepoznawalność, twierdzi, że „od wydarzenia tej wielkości nie żąda się dramatycznego dowodu. Ja uwierzę w to i tak. Byłoby upadlającą drobiazgowością grzebanie się w przyczynach wydarzeń na miarę cyklopa. One nie mają przyczyn”⁴.

Pokolenie to entuzjazmowało się rewolucją lub ją przeklinało, ale rzadko ją rozumiało. Nie rozumieli jej ci co ją czynili, albowiem sami stali się jej, choć niekoniecznie najtragiczniejszą to jednak najteatralniejszą ofiarą, nie rozumieli i ci, którzy w walce przeciw rewolucji złożyli kości.

Pokolenie Daniela i Siniawskiego spojrzało na sowietyzm od wewnątrz. Dzieło ich podjął Aleksander Sołżenicyn. Wielkie dzieło „samotnika z Riazania” jest na pewno wieloznaczne i może być rozpatrywane z rozmaitych stron, jak każde dzieło sztuki tego formatu. Piszę te słowa u schyłku 1970 roku, gdy świat przeżywa olśnienie Sołżenicynem, szczególnie spotęgowane przyznaniem mu nagrody Nobla, niemożliwością przyjazdu do Stockholmu, nagonką prasy sowieckiej itd. Wśród moich szwedzkich kolegów rozmowy na temat Sołżenicyna nie milkną już od szeregu miesięcy, od chwili ukazania się trzeczatomowego wyboru dzieł. Toczą się dyskusje w prasie. Wysuwają się raz za razem coraz to nowe ujęcia i nowe komentarze, na ogół uzasadnione, choć ciągle — moim zdaniem — nie trafiające w sedno.

Gdyby dzieło Sołżenicyna było tylko mistrzowskim opisem ludzkiej udręki w nieludzkim systemie też zasługiwałoby na najwyższą wdzięczność ludzkości. Ale ambicje autora szły dalej i trzeba przyznać rację rzecznikom sowieckiej linii widzenia, stwierdzającym, iż dzieła Sołżenicyna nie tylko gwoli czystej sztuce powstawały. Sołżenicyn poddał bowiem badaniu podstawy funkcjonowania systemu i opisał system porażania strachem. Strach w powieści „Pierwszy krąg” jest wszechobecny⁵. Boi się nie

4. Boris Pasternak, *Doktor Żiwago*. Instytut Literacki 1958.

5. O wszechobecności strachu w Związku Sowieckim u Jewtuszenki: „... Ten bardzo dziwny czas / te dziwne czasy / gdy najwykleszą uczciwość nazwano odwagą...” (Tłum. Witolda Dąbrowskiego).

tylko Natalia Nierzyn. Jej strach jest ostatecznie czymś nie tylko ludzkim ale i ujmującym, nawet bohaterskim, bo nie deprawującym, nie łamiącym postawy etycznej. W powieści występują postaci poddane ciśnieniu strachu w stopniu o wiele większym. On dyktuje postępowanie Stalina, wężącego niebezpieczeństwo nawet w padającym wprost, nieprzełamany promieniu słonecznym. Nie ma postaci bardziej ukształtowanej przez strach niż wszechwładny Abakumow. Tę listę można kontynuować, ale przecież nie ma potrzeby, każdy czytelnik może ją sobie sam przedłużyć.

Sołżenicyn w zgodzie z najlepszymi tradycjami walczącej literatury rosyjskiej XIX wieku — bo on a nie jego prześladowcy jest kontynuatorem linii Bielińskiego i Czernyszewskiego — podjął również walkę przeciwko paralizującemu działaniu strachu. Wolny jest ten kto się nie boi, człowiek zastraszonej jest niewolnikiem — oto podstawowa myśl „Pierwszego kręgu”⁶.

Tylko ktoś nieznający Rosji mógłby zakwestionować autentyczność Iwana Denisowicza, Rubina, Nierzyna czy też pozornie najbardziej kontrowersyjnej postaci inżyniera Bobynina w centralnej dla „Pierwszego kręgu” scenie konfrontacji z ministrem bezpieczeństwa Abakumowem⁷. Prawdziwy jest również Ruśka Doronin broniący, chciałoby się wierzyć że skutecznie, swego życia groźbą odwetu na naczelniku więziennym. To wszystko jest odzwierciedleniem autentycznych przejawów życia.

Prawdą jest jednak również, iż bohaterowie Sołżenicyna, ludzie i prawdziwi, są bardziej wzorem postępowania niż jego normą, wzorem, który winien przyświecać zarówno tym, którzy mogą znaleźć się pod szczególnym ciśnieniem strachu, jak tym, którzy nie będąc zmuszeni do decyzji tak drastycznych jak Innocenty Wołodin, mimo to są poddani całemu systemowi środków obywatelskich.

Innocenty Wołodin musi wybrać między sumieniem a wygodnym, ustalonym życiem. Kierowanie się sumieniem musi spowodować wejście w sferę szczególnie intensywnego strachu. Ale wybiera sumienie, albowiem ma się je tylko jedno.

Pogląd Sołżenicyna na mechanikę ustrojową, na „podstawy

6. Myśl tę powtarza Amalrik: „Jak dotąd jednak korzystałem w rzeczywistości ze znacznie większej swobody niż wielu obywateli sowieckich. Ale zawdzięczam to tylko sobie. Chcę bowiem być wolny” (Andrej Amalrik, *Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984?* Instytut Literacki, Paryż 1970, str. 77).

7. „Abakumow miał głos, co się zwie, piorunowy i potrafił nim napędzić strachu niejednemu. Ale teraz czuł, że krzyk byłby czymś bezradnym i niesolidnym” (*Krąg pierwszy*. Instytut Literacki, Paryż 1970, tłum. Michała Kaniowskiego, t. I, str. 107).

państwa i prawa” wyraża zdanie Bobynina rzucone Abakumowowi:

„A w ogóle to zrozumcie nareszcie — i powiedzcie tam wyżej *komu należy*, że jesteście mocni tylko o tyle, o ile zabieracie ludziom *nie wszystko*. Człowiek któremu zabraliście *wszystko* już wam *wcale nie podlega*, już znowu jest wolny”⁸.

Te dwa zdania winny leżeć u podstaw wszystkich analiz polityki społecznej we wszystkich państwach sowieckich. I jeszcze jedno: zachowując wszystkie proporcje należy stwierdzić, iż ludzie 14 grudnia, robotnicy Gdańska, Gdyni i Szczecina czuli, że im zabierają „wszystko”. I poczuli się wolni!

Partie komunistyczne dzielą się na te, które nie mają władzy państwowej i te, które władzę taką posiadły. W tym najważniejszym rozróżnieniu zawiera się w istocie rzeczy to znaczenie, jakie w ruchu zwącym się komunistycznym przywiązuje się do sprawowania władzy państwowej, do tego, co w programach partyjnych dość enigmatycznie określane jest jako dokonanie rewolucji⁹.

Partia komunistyczna opozycyjna uważa za swój cel przekształcenie świata poprzez zdobycie władzy. W jej systemie pojęć władza jest środkiem, choć już wówczas środkiem tak istotnym, że przerastającym cele. Ale celem partii komunistycznej posiadającej władzę, „ukształtowanej w państwo”, jest tylko utrzymanie władzy i wszelkie podejmowane kroki, cała polityka społeczna partii rządzącej ma to na celu. Obserwacja państw sowieckich dostarcza tej tezie dowodu co prawda empirycznego ale niezaprzeczalnego. Władza musi być utrzymana za wszelką cenę. Taki jest wniosek ponad pięćdziesięciu lat władzy sowieckiej w Rosji i ćwierćwiecza w Polsce, na Węgrzech i w Czechosłowacji...

Ta koncentracja całej uwagi na problematyce władzy nie jest uzależniona od cech osobistych osób i grup rządzących. Zjawisko to jest zdeterminowane. Co więcej: na pewnym etapie sowietyzm a oparcie w społeczeństwie są zjawiskami się wyłączającymi.

8. j. w. podkreślenia w oryginale.

9. Chruszczow podkreślający największą — jego zdaniem — osobliwość nowych czasów, to, że partia komunistyczna może zdobyć władzę bez rewolucji, zbliżył nas do zrozumienia roli władania w systemie dążeń komunistycznych. Może najlepiej trafił w sedno jednak krytyk Chruszczowa stwierdzając, iż byłby bardziej zaskoczony, gdyby Chruszczow stwierdził, iż partia komunistyczna może oddać władzę w sposób pokojowy. Ale takiego oświadczenia nie złożył nawet najbardziej radykalni rewizjoniści, jeśli nie chcą zrywać z tzw. marksizmem-leninizmem!

Przypomnijmy, że wśród dziesiątki zarzutów wysuniętych w 1948 roku przez Kominform przeciwko Komunistycznej Partii Jugosławii figurował również zarzut rezygnacji z „kierowniczej roli partii”, „osłabienia dyktatury proletariatu” i „rozwodnienia partii w masach”. W systemie ataków na jugosłowiańskich odszczepieńców te punkty wydawały się — nie tylko zewnętrznym obserwatorom — mniej istotne, zwłaszcza że niezbyt uzasadnione, nie zwracano też na nie szczególnej uwagi. Niesłusznie, zarzuty jak najbardziej zasadnicze. Oparcie w społeczeństwie, przeniesienie nań chociażby części sprawowanej władzy, likwidacja bariery między rządzącymi a rządzonymi są sprzeczne z merytorycznymi prawami ustroju sowieckiego.

Już po odwołaniu anatemy rzuconej na przywódców jugosłowiańskich, gdy w Polsce zaświtało na chwilę złudzenie oparcia władzy o zaufanie społeczeństwa, tuż po „październiku” 1956 r., w listopadzie i grudniu zapijaczony pełnomocnik Moskwy, Ponomarenko, pouczał „polskich towarzyszy”: „Ja towarzysze, rzecz jasna, nie teoretyk. Ale wiem, że albo rady robotnicze to jest anarcho-syndykalizm albo dyktatura proletariatu!” Zdanie Ponomarenki — jak wykazały wydarzenia najbliższych miesięcy — zgodne były z poglądami i dążeniami jego „polskich towarzyszy”.

Dwadzieścia lat po sprawie jugosłowiańskiej, czechosłowacką próbę „socjalizmu z ludzką twarzą” zlikwidowano z wielu przyczyn, ale przede wszystkim dlatego, że ustrój oparty o społeczeństwo byłby swego rodzaju „zwyrodnieniem” sowietyzmu, niebezpiecznym precedensem i wzorem. Zauważmy, że w tej sprawie rozmaici komentatorzy stosują różną terminologię lecz są zgodni co do meritum.

Postulat Władysława Bieńkowskiego, rzecznika tych, którzy znajdując się w opozycji do obecnego stanu ustrojowego nie utracili wiary w możliwość pogodzenia sowietyzmu z socjalizmem, postulat skierowany do rządzących iż „przydałoby się więcej wiary w siłę (ideową) socjalizmu i więcej zaufania do mas”¹⁰, jest całkowicie nierealny. Zdanie nie jest nawet heretyckie, przeciwnie mieści się całkowicie w ramach rytuału. Takie „zakłęcia” stosowali i stosują wszyscy niemal przywódcy ruchów komunistycznych od Stalina poprzez Gomułkę i Breżniewa, będzie stosował Gierek i Moczar, ale nie były one i nie będą dyrektywą polityczną. Owszem, służą do wykorzystywania, dla wewnętrznych rozgrywek, niszczycielskich instynktów najciemniejszych warstw, istniejących w każdym społeczeństwie. Wykorzystywał te warstwy Stalin dla rozprawiania się z relikami ideowości w partii sowiec-

10. Władysław Bieńkowski, *Motory i hamulce socjalizmu*. Instytut Literacki, Paryż, 1970.

kiej w latach „wielkiej czystki”, wykorzystywał Moczar dla akcji antyinteligenccko-antysemickiej w 1968 roku itd. Ale ten motłoch lumpenproletariacko-ćwierćinteligenccki niewiele ma wspólnego z „masami”. Wypadki grudniowe 1970 roku w Polsce dowiodły tego w sposób gruntowny: gdy masy występują jako czynnik polityczny, rząd mieniący się robotniczym, „władzą mas”, nie ma ani wiary ani złudzeń i otwiera ogień bez ostrzeżenia!

Gomułka, który szczególnie lubił deklamować o potrzebie więzy z masami, raz postawił sprawę uczciwie i otwarcie. Było to podczas historycznego już „aktywu warszawskiego” w dniu 19 marca 1968 roku — zgromadzenia ludzi stojących na czele gromienia ruchu studenckiego. Gomułka stwierdził wtedy wręcz, że Polska Partia Robotnicza w końcowym okresie II wojny światowej zagarnęła władzę w oparciu o obcą siłę wbrew społeczeństwu i wbrew społeczeństwu ją sprawuje. Ta szczerość, zjawisko wyjątkowe, nie była bez przyczyny. Mówcy zależało na zmobilizowaniu całego tzw. aktywu do walki przeciwko społeczeństwu, na uświadomieniu wszystkim rządzącym, że załamanie się „władzy ludowej” musi być brzemienne również dla każdego sprawującego tę władzę nie tylko na „szczytach” ale i na najniższych szczeblach.

Degeneracja partii komunistycznych po zdobyciu władzy jest czymś powtarzającym się we wszystkich przypadkach. Utrata ideowości następuje nader szybko. Ginie ona w obrębie jednego pokolenia politycznego. W obrębie tego pokolenia komunizm przeistacza się w kryptonim, oznaczający hierarchicznie zorganizowaną grupę rządzącą, dyrektywne metody postępowania wewnątrz i na zewnątrz grupy oraz rytuał jako oznakę przynależności do „partii”. Oczywiście, pojęcie „ideowość” też traci szybko swój sens i poczyna oznaczać postępowanie dostosowane do zasad stosowanych przez partię. „Ideowy komunista” to człowiek posłuszny, tłumiący odruchy sumienia i refleksje myślowe, dostosowujący się do wszystkich zygzaków dyrektywnych.

Wiadomo, że tak jest, trudniejsza jednak jest odpowiedź na pytanie dlaczego tak się dzieje. Przypuszczam, że nie tylko moje pokolenie zmuszone będzie zadawać sobie pytanie w jaki sposób i dlaczego partie komunistyczne przekształciły się w partie sowieckie, dyskusje będą wciąż nawracać do spraw zdawałoby się już rozważonych, przeżytych, wciąż chyba będą ożywać kwestie determinizmu i przypadkowości tego zjawiska. Są to bowiem pytania zasadniczej wagi, od odpowiedzi na które zależy szereg istotnych wniosków naukowych i decyzji zarówno w skali politycznej jak i w skali pojedynczego, skołatanego umysłu ludzkiego.

Osobiście jestem przekonany, iż rację mieli ci, którzy już pięćdziesiąt lat temu twierdzili iż rewolucja komunistyczna jest obciążona grzechem pierworodnym sprawowania władzy wbrew

społeczeństwu. Stara konstatacja obrasta w nowy materiał dowodowy. To co kiedyś było proroctwem lub sceptycyzmem dziś jest faktem oczywistym, zwłaszcza w świetle wydarzeń ostatniego piętnastolecia.

Władza w państwach sowieckich, jeśli nawet, zakładam, w poszczególnych przypadkach z woli społeczeństwa się wywodziła i miała za sobą znaczną jego część (Rosja, Jugosławia, w pewnej mierze dotyczy to Bułgarii i Czechosłowacji) bardzo szybko to poparcie, ewentualnie przyzwolenie straciła. Ważny jest tu zarówno obiektywny stan rzeczy jak i jego subiektywne odczucie zarówno przez rządzących jak i rządzonych. Zarówno wśród jednych jak i drugich istnieje nie tyle świadomość ile przeświadczenie, że gdyby społeczeństwa mogły same określać swój ustrój i swoje władze, istniejące rządy i istniejący władcy nie utrzymaliby się u steru ani przez jeden dzień¹¹.

Sprawowanie władzy wbrew społeczeństwu, połączone ze zniszczeniem — celowym — wszystkich form życia społecznego działających stabilizująco, wywrotność władzy sprawowanej wbrew ludowemu odczuciu prawa i sprawiedliwości zrodziło wśród sprawujących władzę strach zarówno przed „społeczeństwem” jak i „masami”, strach zmuszający do zaciskania pętli dyktatury, co z kolei musi potęgować zarówno strach jak i nienawiść po obu stronach. Do tego problemu zamierzam wrócić w innym eseju.

Dla analizy grup rządzących a więc i systemu rządzenia w sowiectwie, najważniejsze jest, moim zdaniem zastosowanie modelu aproksymatywnego jaki stanowią organizacje mafijne.

Mafia tkwi w społeczeństwie, ale jest zorganizowana poza nim. Wywodząc się zeń jest zorganizowana przeciw niemu. Stanowiąc jakiś ułamek, dąży do zdobycia władzy nad całością. Mało tego. Dążąc do narzucenia społeczeństwu swej woli, mafia broni się przed przenikaniem do niej destrukcyjnych dla mafii dążeń społeczeństwa. By osiągnąć swe cele mafia musi być zwarta, a społeczeństwo zdeorganizowane. Dezorganizację osiąga się poprzez terror, czyli poprzez zastraszanie, poprzez obywatelną działalność strachu. Zwartość własną też poprzez naturalny strach przed społeczeństwem ale również poprzez zastraszanie skierowane do

11. „Polski październik” 1956 oraz „czechosłowacka wiosna” 1968, tj. opowiedzenie się społeczeństwa za socjalizmem, nie podważa powyższego stwierdzenia ani na jotę, jako że istnieje zasadnicza różnica między socjalizmem (a nawet komunizmem) a sowiectwem. Pod tym względem Breżniew, Ulbricht i Gomułka mieli w 1968 roku rację: wolni Czesi i Słowacy wyłamałby się spod sowiectwu.

Problem realności koncepcji „socjalizmu z ludzką twarzą”, tj. możliwości humanitaryzacji sowiectwu, zostawiam na uboczu, jako wymagający zbyt rozległych rozważań. Osobiście nie widzę jednak możliwości „sowiectwu z ludzką twarzą”. Ale to wynika już z wcześniejszych zdań.

wewnątrz. W innym bowiem wypadku strach przed społeczeństwem działałby na mafie nie zwierajaco lecz rozkładająco. Siłą mafii jest jej zwartość i posłuszeństwo wobec kierownictwa. Kierowanie się sumieniem i logiką jest sprzeczne z interesem mafii.

Każdy z przytoczonych elementów z oddzielną jak i całą konstrukcją daje się zastosować do analizy grupy rządzącej w sowiectwie. Nie znaczy to jednak, by analogie były pełne. Istnieją odrębności. Są to: skala działania, ideowe pochodzenie ruchów komunistycznych¹² oraz posiadanie ideologii-rytuału. Te odrębności jednak nie stoją na przeszkodzie stosowaniu tych samych badawczych punktów wyjściowych, tej samej metodologii.

Tu kilka zdań o zagadnieniu, którego początkowo nie chciałem podejmować w tym eseju, zamierzając poświęcić mu jakiś odrębny szkic. Dyskusja nad niektórymi ujęciami, jaka toczyła się w klubie przyjaciół *Kultury* w Stockholmie, skłoniła mnie jednak do pobieżnego bodajże zaznaczenia stanowiska w sprawie, czy nowa warstwa rządząca (ewentualnie nowa warstwa uprzywilejowana) stanowi tzw. „nową klasę”. Czynię to dla uniknięcia nieporozumień, zdając sobie sprawę, iż pobieżność ujęcia może być źródłem następnych nieporozumień.

Otóż na pewno w każdym państwie sowieckim następuje z miejsca zniszczenie starej, tzw. zastanej struktury społecznej, tj. struktury klasowej lub klasowo-stanowej. Jest to nie tylko likwidacja burżuazji i klasy większych posiadaczy ziemskich, ale również dezorganizacja subiektywnej treści klasowości robotników i chłopów. Z bezkształtnej masy („A tymczasem — kasza...” pisał o tym Adam Ważyk w *Poemacie dla dorosłych*) stopniowo wyłaniają się nowe struktury społeczne. Pierwszą z nich jest nowa warstwa rządząca. Ludowe przeświadczenie nadało jej w Rosji miano „krasnaja burżuazja”, w Polsce odpowiednio „czerwona burżuazja”, w Czechosłowacji — „novodobà burżuazie” itd.

Milovan Đilas, poddając naukowej analizie rozwarstwienie w państwach sowieckich, nadał temu ostatniemu terminowi rangę naukową. Pod wpływem, sugestywnych chyba, analiz Đilasa nazwa ta przyjęła się u innych autorów i stała się zresztą punktem wyjścia dalszych owocnych badań, co widać chociażby z cytowanej już na wstępie rozprawki prof. Drewnowskiego.

Sprawa jest jednakże bardziej złożona. W ludowym ujęciu wyróżnikami są: a) niezrealizowane zapowiedzi „społeczeństwa równych”, b) drastyczne nierówności w sferze podziału dóbr zarówno wymiernych jak i niewymiernych a nawet niematerial-

12. Pozostawiam poza sferą dociekań istotny problem mafijności w ruchach komunistycznych przed zdobyciem władzy — pisał o tym na początku stulecia Trocki, krytykując „centralizm demokratyczny” partii budowanej przez Lenina.

nych jak np. przywileje w dziedzinie pobierania nauki, leczenia, dostępu do informacji itd.

Jednakże pojęcie „klasa” — w odniesieniu do Europy — ma określone znaczenie, datujące się zresztą nie od czasów Marksa, lecz jeszcze od czasów Mably'ego. Pojęcie to zakłada określony stosunek do posiadania środków produkcji i określoną samowiedzę. Nowa warstwa nie ma ani jednego ani drugiego atrybutu. Dla przykładu: Instruktor komitetu powiatowego partii, prorektor wyższej uczelni oraz trzęsący gromadą „ustosunkowany” gospodarz nie mają wspólnego stosunku do środków produkcji, mają natomiast podobne ustawienie wobec społeczeństwa poprzez udział we władzy. Ten ostatni mają dlatego, że — mówiąc językiem oficjalnym — „cieszą się zaufaniem” jakiejś wyżej od siebie postawionej osobistości, w języku potocznym — „są czyimiś ludźmi”. Jeśli ktoś z wymienionych osób przestaje być „czyjąś”, czyli traci oparcie, traci swoje miejsce w warstwie uprzywilejowanej. Ta strata nie musi być nawet połączona z utratą oficjalnego stanowiska. Mogę bez trudu wymienić z nazwiska dziesiątki ludzi, którzy tracili pozycję w warstwie uprzywilejowanej nie tracąc stanowiska służbowego, przynajmniej do czasu¹³. Można też wymienić dziesiątki dyrektorów przedsiębiorstw, instytucji, departamentów a nawet podrzędnych wiceministrów, którzy w powszechnym i swoim własnym odczuciu do nowej warstwy rządzącej nie należą i nigdy nie należeli.

Od innej jeszcze strony: uprzywilejowani, zaufani komitetów partyjnych i urzędów lub ich pracownicy nie przestają czuć się subiektywnie inżynierami, lekarzami, profesorami, chłopami lub — co rzadziej — robotnikami. Innymi słowy — tak jak na Sycylii dzieje się z członkami tamtejszej mafii.

Zdaniem Orwella, podstawowym narzędziem rządzenia w sowieckim systemie jest zaszczepianie i utrzymywanie miłości do „Wielkiego Brata”, alienującej wolę człowieka i nie zostawiającej miejsca na inne uczucia. Analiza Orwella bazowała nie tyle na dominującej, ile na najbardziej dostrzegalnej w latach stalinowskich tendencji. W istocie jednak „kult jednostki” odgrywa w sowieckim systemie rolę dodatkową i można zgodzić się z Chruszczowem, że na dłuższą metę jest czymś zbędnym, nadmiernym, czymś, bez czego ustrój może się obejść i z czego winien dla własnego dobra zrezygnować.

13. „Sabat czarownic” 1968 roku w dużej mierze sprowadzał się do usuwania z mafijnych stanowisk ludzi, którzy od lat już do mafii nie należeli. Stanowiska te obsadzano aktualnymi jej członkami.

Zasadniczą rolę we wszystkich systemach sowieckich od zarania odgrywają zabiegi, mające na celu utrzymanie władzy: atomizacja społeczeństwa i krzewienie strachu.

O atomizacji: istnieją, ujmując schematycznie, dwa warianty atomizacji. Pierwszy, nazwijmy go umownie „sowieckim”, sprowadza się do likwidacji wszelkich pozamafijnych form życia społecznego. W wariacie tym, urzeczywistnionym w Związku Sowieckim po rewolucji, doprowadzonym do perfekcji w latach trzydziestych i czterdziestych i utrzymywanym bez większych odstępstw po dzień dzisiejszy, zakłada się, że w każdej formie zrzeszania tkwi niebezpieczeństwo dla ustroju gdyż każda może być zalążkiem zespolenia opozycyjnego.

Wariant krajów demokracji ludowej nie różni się od sowieckiego pod względem celów, jest jednak o wiele bardziej giętki w stosowaniu środków. Również i w tym schemacie likwiduje się wszelkie przejawy endogenicznie zorganizowanego życia, partie polityczne, związki zawodowe, spółdzielczość a nawet instytucje charytatywne. Wystarczy przypomnieć, że w Polsce w latach 1945-1951 zlikwidowano nie tylko pięknie rozwiniętą spółdzielczość, która ostała się pod okupacją niemiecką, ale i kluby sportowe a nawet związek ateistów, bo i w nim wężono niebezpieczeństwo dla „kierowniczej roli partii”¹⁴.

Technikę i cele „metody kadeelowskiej” w sposób dość pełny charakteryzuje opowiedziana mi przez pracownika KC PZPR historia spółdzielni produkcyjnej w słynnej Gaci Przeworskiej. Krótko po zakończeniu II wojny światowej grupa młodych działaczy chłopskich, znajdujących się pod wpływem Ignacego Solarza, założyła autentyczną spółdzielnię produkcyjną. Gdy w 1948 roku nastąpiła pierwsza fala kolektywizacji, władze w trybie administracyjnym rozwiązały spółdzielnię, wbrew zresztą chłopskim protestom. Wyjaśnienia brzmiały: ta spółdzielnia była niedobra, my wam założymy dobrą, prawdziwą,

Postępowanie to nie było wybrykiem ćwierćinteligenta z komitetu powiatowego PZPR. Było to świadome posunięcie uzgodnione na wysokich szczeblach hierarchii partyjnej, bodajże z udziałem samego Bieruta. Nie o spółdzielczość bowiem chodziło, nie o samorządność chłopską, lecz o zduszenie w zarodku możliwości chłopskiego zjednoczenia. Zresztą, sama kolektywizacja, zarówno

14. O dokonanej podówczas zniszczeniu struktury społecznej pisze Tomasz Staliński (pseudonim): „Rewolucja nie polega na niszczeniu życia... Rewolucja rozgrywać się musi wśród praw przyrody, historii, ekonomii, psychologii, w związku z nimi, poprzez nie... A tu siłą zatrzymano wszelkie mechanizmy społeczne i ekonomiczne, zatrzymano i unicestwiono, zamiast się nimi posłużyć. Powstała próżnia, próżnia społeczna...” (Tomasz Staliński, *Widziane z góry*. Instytut Literacki, Paryż 1967, str. 128).

w Związku Sowieckim jak i w krajach satelitarnych była motywowana koniecznością złamania oporu kułaków i ich politycznych popleczników, czyli możliwości wytworzenia się lub odrodzenia chłopskiego ruchu politycznego.

W kadeelach* — odmiennie niż w ZSSR — stworzono lub zachowano dużą ilość fikcyjnych (lub w zamierzeniu fikcyjnych) organizacji, „wsí potiomkinowskich”, mających na zewnątrz ucieleśniać możliwość wolnego zrzeszania się, z drugiej wyładować dążność do aktywności społecznej. To co różni model ten od sowieckiego, to przeświadczenie o możliwości utrzymania kontroli nad dużą ilością kreowanych organizacji oraz że nadmierna ich likwidacja nie tylko nie ułatwia lecz wręcz utrudnia rządzenie. Zwróćmy uwagę, że model kadeelowski powstał nie jako wyraz dobrej woli, lecz konieczności: bano się, że zbyt szybkie likwidowanie życia społecznego może osłabić nową władzę. To co było prowizorium jednak z biegiem czasu stało się modelem. Przekonano się bowiem, że przy pomocy organizacji fikcyjnych można przeciwdziałać wytwarzaniu się organizmów prawdziwych.

W Polsce istnieją więc namiastki partii politycznych, organizacji związkowych, twórczych, kongregacje wyznaniowe, towarzystwa kulturalne itd. Przyjeżdżający do Polski intelektualiści rosyjscy odnosili — przynajmniej do 1968 roku — wrażenie dużej swobody. Był czas, że podobne wrażenia odnosili również Czesi i Słowacy. Do Polski jeżdżono by odetchnąć wolnością i złudzeniem „wielkiego świata”, polski status był przedmiotem marzeń i drogowskazem organicznego działania. Władze sowieckie dozwalały paszporty dla swych „obywateli” w obawie przed polską infiltracją zakazanych myśli i uczuć. Niejednokrotnie podobnym złudzeniom ulegają po dzień dzisiejszy powierzchowni obserwatorzy zachodni.

Zauważmy jednak, że i w tej koncepcji związek zawodowy, organizacja twórcza lub naukowa, zarząd spółdzielni, instytucje o całkowicie lub częściowo narzuconym zarządzie, kontrolowane we wszystkich poczynaniach bądź przez „swoich ludzi” bądź przez zależność finansową, nie są w założeniu władz zrzeszeniem robotników, literatów, socjologów, historyków, wytwórców itd. lecz czymś przeciwnym, czymś co ma zapobiec ich zrzeszaniu¹⁵.

Jak daleko sięga liberalizm metody KDL i gdzie przestaje

* „Kadeele” — komunistyczne demokracje ludowe (Red.).

15. Bieńkowski nie ma racji, przypisując tak dużą rolę elementom doktrynalnym, „socjalistycznym” w kolektywizacji sowieckiej i kadeelowskiej. Być może, że zdanie autora na ten temat jest tylko *une façon de parler*. Ma bowiem pełną rację cytowany autor i jest w zgodzie z badaniami, twierdząc, że główną troską kierownictwa sowieckiego było „... aby kołchozy nie

działać, najlepiej może świadczy przykład legendarnego już warszawskiego „Klubu Krzywego Koła”. Klub ten powstał w okresie przedpaździernikowej odwilży i skupił wokół siebie kilkuset intelektualistów w rozmaitym wieku i z rozmaitych środowisk. W istocie rzeczy jedynym spoiwem łączącym ludzi tak rozmaitych, jacy znaleźli się w klubie, była potrzeba dyskusji intelektualnej. Klub nie miał ambicji politycznych a udział ludzi o nader różnych orientacjach nawet uniemożliwiał aktywne wystąpienia polityczne. Mimo to, przez sam fakt swego istnienia i swobodnej dyskusji klub był jakimś czynnikiem politycznym. W okresie października i krótko po październiku nie brak było nawet liberalnych lub quasi-liberalnych działaczy partyjnych, którzy uważali, że rola polityczna klubu jest pożyteczna dla reżymu, przede wszystkim jako sposób nieszkodliwego wyładowania niezadowolenia i zgryzot. Zdawało się podówczas, że „KKK” ma szansę utrzymania się przy życiu kosztem jakichś nieznacznych koncesji. Ale wraz z ponownym utrwalaniem się ustroju, osłabionego wstrząsem 1956 roku, istnienie klubu stawało się coraz bardziej nienormalne. Z punktu widzenia mafii istnienie klubu było niedopuszczalne a likwidacja jego — koniecznością. Istnienie takiej enklawy wolności słowa stanowiło niebezpieczeństwo potencjalne. Nie posiadając aspiracji politycznych, klub mógł je posiadać i to w sposób niedostrzegalny, stworzyć coś, co byłoby przyciągające nie tylko dla kilkuset intelektualistów lecz i dla tysięcy studentów oraz robotników. Ostatecznie klub zlikwidowano w 1962 roku. W akcji likwidowania klubu, bo aż taką rozwinięto, brali udział zarówno dopiero wschodząca na firmanencie gwiazda „twardych” — Józef Kępa, jak i zachodząca liberałów — Adam Schaff, co urasta do rangi symbolu¹⁶.

Klub zlikwidowano dlatego, że dla ustroju i rządzącej mafii niebezpieczne jest zarówno zespolenie społeczeństwa pod względem organizacyjnym jak i duchowym. Wśród rządzących w sowieetyzmie znajomość Marksa i Lenina nie jest zbyt dokładna, ale słowa pierwszego, iż „idea opanowując masy staje się siłą materialną” są rzeczywistym drogowskazem. Można to stwierdzić na przykładzie stosunku do tzw. środków masowego przekazu, o czym chcę napisać oddzielny esej. Tu jednak wypada wspomnieć, iż z tego wywodzi się pragnienie izolacji od wpływów zagranicznych, zarówno obcokrajowych jak i emigracyjnych, właśnie ze względu na ideotwórcze wpływy zagranicy, o czym świadczy his-

stały się kolektywnymi 'kułakami', z którymi państwo mogłoby mieć kłopoty. Dla kołchozów i dla całej gospodarki rolnej (stworzono dławiącą pętlę, uniemożliwiającą jakąkolwiek sensowną gospodarkę” *Kryzys rolnictwa czy kryzys polityki rolnej?* Instytut Literacki, Paryż 1970).

16. Witold Jedlicki, *Klub Krzywego Koła*. Instytut Literacki, Paryż 1963.

toria wszystkich wschodnioeuropejskich ruchów rewolucyjnych od ich zarania.

Z punktu widzenia władzy wariant KDL różni się od sowieckiego tylko taktycznie. Popularnie, wśród pracowników aparatu partyjnego w Polsce, obydwie metody określane są jako metoda łańcucha „długiego” i „krótkiego”. Wspólność rzeczownika nie winna nas jednak skłaniać do lekceważenia różnic, jakie długość łańcucha powoduje dla człowieka na nim uwiązanego. Nie należy lekceważyć ani dążeń społeczeństw do wydłużenia łańcucha, ani rządowych poczynań skrótujących. Powolne, zewnętrznie niedostrzegalne działania na rzecz rozluźnienia przemocy, nad uświadamianiem społeczeństwa, nad jego konsolidacją uczuciową są ważnym, jeśli nie najważniejszym przejawem walki o wolność, nie mniej ważnym niż wystąpienie skrajne. I w tych w i w tamtych przejawia się pragnienie wolności.

Wracając jednak do punktu widzenia posiadających władzę. Z ich stanowiska obydwa warianty mają pewną ilość zalet i nie mniejszą — wad. W ostatnich latach w Związku Sowieckim dawało się zauważyć pewne zainteresowanie wariantem kadeelowskim. Skoro nie udaje się wyćwiczyć działalności opozycyjnej, przybierającej tak fanatyczny charakter, skoro nie udało się wyćwiczyć uczuć religijnych, świadomości narodów uciskanych itd., to może lepiej udostępnić ludziom pewne możliwości zrzeszania się, będące jednocześnie formą wyładowania się jak i kontroli uczuć przez państwo?

Wariant elastyczny ma również swe niedogodności. Wiąże się on z koniecznością stałego wyważania postępowania, większej zręczności, stosowania środków politycznych na przemian ze środkami policyjnymi. Wymaga również większej kompetencji wykonawców decyzji politycznych, co zawsze musi łączyć się z jakąś decentralizacją władzy. Tego wszystkiego nie ma przy stosowaniu czysto sowieckich metod. Ale nie mniej ważną rzeczą jest zjawisko dostrzeżone kiedyś przez Henryka Jabłońskiego i przezeń zdefiniowane: „jak sztuczne ciało społeczne by nie stworzyć zawsze będzie ono dążyło, by stać się ciałem autentycznym”. Tego ryzyka nie zawiera metoda twarda, której filozofię sformułował już sto lat temu jeden ze stworzonych przez Michała Sałtykowa-Szczedrina horodniczych miasta Głupowa, zamiast mózgu posiadający pozytywkę z nagrany na niej dwoma słowami, powtarzanymi przy wszystkich okazjach: „Rrrozzpędę... zzzniszczę!”.

Zauważmy, że teza o dążeniach ciał sztucznych do nabrania atrybutów autentyczności ma zastosowanie zarówno w mikroskali jak i w makroskali. Bo przecież same kraje demokracji ludowej są kreowane w sposób sztuczny. I jeśli ich zależność od mafii moskiewskiej w chwili obecnej jest zbyt wielka w porównaniu z pra-

gnieniami społeczeństw, jednak jest o wiele mniejsza niż była w momencie ich tworzenia. Jest też mniejsza niż życzone by sobie tego w Moskwie.



Atomizacja społeczeństwa jest zabiegiem ściśle złączonym z krzewieniem strachu, albowiem im bardziej społeczeństwo zastraszone, tym łatwiej atomizować je i odwrotnie, im bardziej organiczne więzi społeczne zniszczone, tym bardziej społeczeństwo zastraszone.

Zastraszenie osiąga się przez terror. Jest to zabieg stosowany od niepamiętnych czasów przez wszystkie władze nie posiadające oparcia w społeczeństwie. W najszerszym pojęciu, terror polityczny jest to zespół okrutnych zabiegów (zabójstwa, tortury, zadawanie kalectwa itd.) mających na celu obezwładnienie grup społecznych o dążeniach przeciwnych do dążeń grup terror uprawiających. Jest to jednak pojęcie zawężone. Istnieją bowiem formy terroru mniej spektakularne, bardziej codzienne, o czym będzie mowa niżej.

W powszechnym, stereotypowym odczuciu terror im ostrzejszy, tym skuteczniejszy. Ta formuła niekiedy się sprawdza, często jednak okazuje się zawodna. Terror hitlerowski — wielu autorów zgadza się co do tego — odnosił w latach II wojny światowej skutek odwrotny od zamierzonego, gdyż aktywizował ruch oporu na ziemiach polskich i jugosłowiańskich i walnie przyczynił się utrzymania zagrożonej jedności Związku Sowieckiego. Podobnie pałki policyjne skierowane przeciwko kilkuset studentom na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego w dniu 8 marca 1968 roku sprowokowały ruch kilkudziesięciu tysięcy, podobnie strzały do bezbronnej manifestacji w Gdańsku w dniu 14 grudnia 1970 roku sprowokowały ruch robotników na całym wybrzeżu i w całej Polsce. W obu tych wypadkach terror podziałał jak prowokacja. Przykład odwrotny: czescy badacze wiążą słabą aktywność ruchu oporu na terenie Czech w II wojnie światowej celowo umiarkowanym charakterem terroru hitlerowskiego na tym terenie¹⁷.

W okresie rewolucji listopadowej w Rosji (a również w czasie wielkiej rewolucji francuskiej) ostrość represji przeciwko rzeczywistym i domniemanym (a również wręcz urojonym) „wrogom ludu” była nieproporcjonalna do środków potrzebnych realnie do obezwładnienia autentycznych wrogów politycznych. Na tę ostrość terroru czerwonego złożyły się dwa zasadnicze czynniki. Tylko jeden z nich był racjonalny i wypływał z konieczności: władza była nieugruntowana, opór przeciwko niej zarówno mate-

17. Por. *Odboj a revoluce*. Praha 1965.

rialny jak i psychiczny — jeszcze nie przełamany, fatalistyczna świadomość konieczności poddania się nowej władzy w tym płynnym okresie — jeszcze nie zakrzewiona, sfery wpływu państwa — o wiele węższe niż w latach późniejszych.

Ale obok tego na ostrość terroru (również „białego”) wpływa także okrucieństwo tłumu, analogiczne do reakcji paryskich przekupek w czasie rewolucji francuskiej, tak wnikliwie zanalizowanych przez Józefa Feldmana — innymi słowy, to co Gramsci określił jako „komunizm ludowy”¹⁸.

Dla zrozumienia problemów współczesnego sowietyzmu jednym z najistotniejszych zagadnień jest to, czy złagodzenie terroru jest prawidłowością okresu, czy też konsekwencją przypadkowości. Dlaczego np. dotychczas nie zastosowano — wbrew przewidywaniom i wbrew tradycji — ostrych represji w toku pacyfikowania Czechosłowacji i po jej spacyfikowaniu w 1969 i 1970 roku? Dlaczego w Polsce w 1968 roku szybko postępująca eskalacja środków zastraszenia została równie szybko zatrzymana i utemperowana? I jak godzi się z powyższymi przykładami bestialskie postępowanie władz z robotnikami, kobietami, dziećmi w Trójmieście, w czasie wypadków grudniowych 1970 roku? Czy mamy do czynienia z jednolitą koncepcją czy też w dalszym ciągu z walką dwóch koncepcji sprawowania władzy?

Wydarzenia na Wybrzeżu będą w życiu nie tylko Polski wstrząsem nie mniejszym niż wydarzenia poznańskie 1956 roku. W sumie świadczą one, że ustrój sowiecki wcale nie stał się z biegiem czasu liberalniejszy. Ale mimo to rola ostrych form zastraszania w sowietyzmie znacznie zmalała. Masowy upust krwi jest zjawiskiem sporadycznym, podobnie jak masowe deportacje, wyroki śmierci itd. Dlaczego? Jak dużą wagę byśmy przywiązywali do cech charakteru poszczególnych osób, niesposób tłumaczyć stalinizmu wolą Stalina a zaprzestania mordów — walorami jego następców w Rosji i wokół niej...

Amalrik tłumaczy sprawę obrazowo:

„Przedstawmy sobie... jeden człowiek stoi naprężony, z rękoma podniesionymi do góry, a drugi równie naprężony, przykładając mu do brzucha lufę karabinu. Rzecz prosta, długo nie postoją: ten drugi zmęczy się i opuści trochę karabin, a pierwszy skorzysta z tego by nieco opuścić ręce i trochę się rozprężyć”¹⁹.

18. Uwagi Gramsciego poddaje pod rozwagę tym wszystkim, którzy są przekonani, że „uludwienie” sowietyzmu, sowietyzm „ludowładczy” byłby cudownym lekarstwem, mogącym wyleczyć sowietyzm ze wszystkich jego dolegliwości. O sowietyzmie ludowym istnieje zresztą obfita literatura krytyczna w Związku Sowieckim, od Babela poczynając a na Arzaku i Amalriku kończąc.

19. Andrej Amalrik, *Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984?* Instytut Literacki, Paryż 1970, str. 28.

Proces zestarzenia się ustroju jest zjawiskiem trudnozaprzechalnym, zwłaszcza że znajduje potwierdzenie w wielu innych sferach: w ideologii, w niedowładzie ekonomicznym, w braku sprawności administracyjnej itd. W tej dziedzinie jednak, którą porusza Amalrik bardziej trafiają mi do przekonania rozważania emigrantki ostatniej doby: „W tej chwili krwawy terror jest już nie na czasie, nie musi się likwidować ludzi, wystarczy *łamać charakter, wytępić myśl, wytrzebić odwagę*”²⁰. To o czym pisze cytowana autorka wystarczyłoby zawsze, nie zawsze jednak było do urzeczywistnienia i nie zawsze do urzeczywistnienia będzie.

Terror w swej krwawej, spektakularnej postaci był racjonalnym narzędziem krzewienia strachu, gdy ustrój nie posiadał jeszcze wystarczających możliwości duszenia wszelkich przejawów życia społecznego, gdy nie mógł trzebić odwagi poprzez stały wszechstronny nacisk na całe społeczeństwo i na każdego człowieka.

Z tego punktu widzenia terror w Związku Sowieckim „miał uzasadnienie” w czasie wojny domowej, w czasie kolektywizacji ale nie miał go w roku 1936 i w latach następnych. Zauważmy że do tego tylko miejsca posuwa się krytyka sowietyzmu ze strony tych „rewizjonistów”, którzy chcą utrzymać się w komunistycznym systemie myślenia, ze strony trockistów i „nowej lewicy” o ile ta w ogóle jakieś koncepcje nie uczuciowe lecz myślowe posiada. Bo w 1936 roku mordowano niepotrzebnie, w momencie, gdy istniały już mniej krwawe środki obeszczyniania. Po drugie — mordowano swoich.

Wielki pisarz Izaak Babel uogólnił przez siebie widzianą rewolucję w postaci monologu filozofa z małego miasteczka, Żyda Gedalego: „Ty Gedali, co ty możesz wiedzieć o kochaniu? Ja ciebie każe rozstrzelać i wtedy zmądrzejesz, bo ja nie mogę obejść się bez strzelania, ja rewolucja”. Od rewolucji tej minęło pięćdziesiąt lat. Sowietyzm nadal może „kazać rozstrzelać”, ale ewolucja polega na tym, że w sytuacjach szablonowych może już obejść się bez mordów i pożogi. Nie znaczy że będzie się bez nich obchodził. Nie znaczy też że będzie miał ludzką twarz.

Ograniczenie do niespektakularnych form zastraszania jest konsekwencją skupienia w ręku państwa decyzji politycznej i ekonomicznej. To złączenie powoduje, że sowietyzm wtargnął w życie każdego poddanego głębiej niż jakikolwiek dotychczasowy

20. Ewa Szymańska. *Moja szkoła. Uczniowie i nauczyciele*. „Biuletyn Socjalistyczny” Nr 3-4, Stockholm, podkr. w oryginale.

ustrój totalitarny. Może najlepsze będzie porównanie z ustrojem, w którym sowietyzm złożony jest skomplikowanymi więzami zarówno dziedziczenia jak i zaprzeczania, to jest z caratem.

Zarówno carat jak i sowietyzm są ustrojami rządzącymi wbrew społeczeństwu. Istnieją różnice między stanową biurokracją caratu, odgradzającą się od społeczeństwa a mafijną biurokracją sowiecką, dążącą do posiadania swych odnóg we wszystkich dziedzinach życia. Ważniejsze jednak są inne różnice: Carat „rządził” tylko w dziedzinie administracyjnej, przy pomocy policji, bo w istocie rzeczy tylko ją miał do dyspozycji. Rządy caratu były okrutne, bezduszne i utrzymujące kraj w stanie beznadziejnego zacofania. To prawda. Ale usunięty z pracy państwowej znajdował ją w prywatnym przedsiębiorstwie a nawet w instytucji samorządowej. Pozbawiony możliwości studiowania w kraju — udawał się za granicę. Represje cenzury nie likwidowały samej instytucji, niezależnej od państwa prasy i niezależnych wydawnictw, a zakaz (do 1905 roku) stowarzyszeń politycznych nie uniemożliwiał innych form zrzeszania się²¹.

W porównaniu z sowietyzmem carat był liberalny w formach rządzenia. Mam tu na myśli nie tylko to, że za rządów carskich bezprawie i okrucieństwo miało jednak o wiele bardziej ograniczony charakter — okrucieństwa Murawiowa-Wieszatiela na Litwie w toku tłumienia powstania styczniowego są ostatecznie niczym w porównaniu z Katyniem. Rządy caratu nie wdierały się tak głęboko w prywatne życie ludzi²².

Dzięki pełni władzy ekonomicznej²³ ustrój sowiecki upaństwowił wszystkie dziedziny życia. W warunkach względnej stabilności, dla wytworzenia w całym społeczeństwie i w każdym człowieku z osobna przeświadczenia, że jest w ręku mafii, która może go zgnieść, pozbawić źródeł egzystencji, uniemożliwić kształcenie

21. Podkreślając rolę przemocy policyjnej jako oporu caratu, pomijam to poparcie psychiczne, „przyzwolenie”, jakim carat dysponował wskutek strachu przed rewolucją wśród społeczeństw składających się na imperium rosyjskie.

22. Sołżenicyn nie zawahał się wystąpić przeciwko podstawowemu dogmatowi propagandy sowieckiej, przeciwko tezie o dobrodziejstwach rewolucji w porównaniu z caratem: „Żony dekabrystów... Czy personalni wzywali je może i kazali wypełniać ankiety? Czy musiały może kryć się ze swoim małżeństwem jak ze wstydliwą chorobą? — Żeby nie przepędzono z pracy, żeby nie wyzuto z tych jedyńskich pięciuset rubli miesięcznie?... Czy rodzone matki i siostry skłaniały je może do rozsądku i popychały do rozwodu? Ależ przeciwnie. Gdziekolwiek stąpnęły, snuł się za nimi szmer zachwyty „najlepszego towarzystwa” (*Krąg pierwszy*, cyt. wyd. T. I., str. 265).

23. Istnienie tzw. sektora prywatnego w PRL nic w tym nie zmienia, skoro jest on zależny od ekonomicznej władzy państwa i jego każdorazowego przyzwolenia administracyjnego. Każdego chłopca lub rzemieślnika w PRL można całkowicie zgnieść przy pomocy szykan ekonomicznych lub administracyjnych.

dzieci, a nawet skazać na więzienie równie dobrze za czyny popełnione jak i niepopołnione nie potrzeba ani egzekucji, ani procesów politycznych ani łagrów. Wystarczy od czasu do czasu unaoocnić możliwości znajdujące się w ręku państwa by wywołać „codzienny strach i codzienny wstyd”²⁴. Cytowana już autorka nazywa to „wytworzeniem strachu totalnego”²⁵. Względna stabilność jest to sytuacja, w której tzw. obywatel ma coś do stracenia, tj. ma zatrudnienie i pracuje (źle), ma tzw. źródło utrzymania (nie-wystarczające), dach nad głową itd. Obywatel nie może mieć zbyt dobrze, albowiem dostatek rodzi poczucie pewności siebie i odporność na naciski władzy — słusznie dostrzeżono, że zbuntowani studenci wywodzili się w znacznej części z rodzin lepiej uposażonych niż krajowa przeciętna (tzw. bananowa młodzież). Uważam, iż w tym tkwi jeden z istotnych momentów uniemożliwiających podniesienie stopy życiowej.

Ale obywatel nie może mieć i zbyt mało, bo to jest naruszeniem stabilizacji, czyli tworzeniem sytuacji, w której dotychczas z powodzeniem stosowane środki utrzymywania w posłuszeństwie mogą okazać się zawodne. Totalne zastraszenie jest skuteczne do chwili naruszenia względnej stabilności.

Dla zrozumienia mechanizmu działania systemu zastraszania pożyteczne będzie zastanowić się nad rolą, jaką w życiu państw sowieckich odgrywają wybory, głównie wybory parlamentarne, choć wnioski te w jakimś zakresie mają również zastosowanie do wyborów samorządowych, do władz związków zawodowych, do władz partyjnych rozmaitego szczebla. Wybory, w czasie których nikt nikogo nie wybiera, głosowanie nad kandydaturami już przegłosowanymi... Dlaczego nie likwiduje się tych akcji, anachronicznych, pozornych, śmiesznych? Czy utrzymywanie tego „demokratycznego” cyrku spowodowane jest konserwatyzyzmem lub chęcią utrzymania pozorów w oczach Zachodu? Taki pogląd jest dość zakorzeniony i trafił niedawno do tak poważnego ujęcia analitycznego jakim jest 'samizdatowski' „Program ruchu demokratycznego...” krążący od 1969 roku²⁶.

Może i te czynniki wchodzą w grę, na pewno wchodziły ongiś. Należy jednak zauważyć, że rządy sowieckie bynajmniej nie dbają tak bardzo o zachowanie pozorów w sprawach bardziej przecięt obciążających je w opinii świata. Tylko stosunkowo nie-

24. (Mojżesz Rabin — ps.) „List z kraju”, *Kultura* Nr 12 (1970), str. 69.

25. Ewa Szymańska, cyt. publ.

26. „Dla wywołania wrażenia, że krajem rządzi lud, inscenizuje się pod czujnym nadzorem partii komedię wyborów do kierowniczych organów państwowych” („Program ruchu demokratycznego opracowany przez demokratów Rosji, Ukrainy i krajów bałtyckich”. Tłum. z rosyjskiego. *Głosy stamtąd*, Instytut Literacki, Paryż 1970).

wielu wie, że te na pozór humorystyczne wybory odgrywają istotną rolę w całości mechanizmów rządzenia, że są w oczach komitetów centralnych rzeczywiście ważną, zgoła niezabawną, kampanią polityczną. Są mianowicie miernikiem stopnia zastraszenia społeczeństwa. Zastraszenia w toku akcji „zgłaszania kandydatów”, w czasie której każdy ma prawo wysuwać swe propozycje personalne, ale tego nie robi. Zmuszenie do pracy tzw. aktywu wyborczego, sporządzającego listy i odsiadującego długie krzesło-godziny i krzesło-tygodnie w lokalach komisji wyborczych — jakże mało ludzi, którzy potrafiały zdecydowanie uchylić się od „zaszczytu i zaufania”! Zmuszenie ludzi, czasem chorych i ułomnych do przyścia do lokalu wyborczego — wskaźnik głosujących jest zazwyczaj przerażająco prawdziwy!

W lokalu jest kabina, do której głosujący ma prawo wejść i skreślić kogo chce i dopisać też kogo chce, ale obywatel tego nie robi, bowiem mógłby zaszkodzić sobie i bliskim. Z uczuciem wstydu, za komedię i okazany strach, głosujący opuszczają lokal. „Partyjni” są nie mniej zdeprimowani od „zwyczajnych” obywateli. W dniach wyborów mało widać ludzi z podniesioną głową, ludzi na twarzach których nie malowałoby się uczucie zażenowania.

Z biegiem czasu czynności związane z wyborami zubożniały ludziom, stały się częścią rytuału lub konieczności. Zauważono przeto słusznie ostatnio w Komitecie Centralnym PZPR, że przestają lub mogą przestać spełniać rolę wskaźnika zastraszenia²⁷. Zastosowano coś nowego: rozwinięto szeroką agitację za sprawdzaniem list wyborczych. Niewtajemniczony obywatel traktował to nowe żądanie władz jako wymysł chorego umysłowo. Mało że się bierze udział w szopce, to brać udział w szopce do kwadratu! W jakim celu tracić czas na poszukiwanie ewentualnego błędu, jeśli można tego dokonać w trakcie samego głosowania? Ale szybko przekonano się, że jeśli nawet było to pomysłem schizofrenika, to władze jednak przywiązują do tego pomysłu wagę. Prasa, radio, telewizja, plakaty i ulotki przekonywały skołowanych obywateli o konieczności podporządkowania się pomysłowi. Do opornych i niedomyślnych kierowano agitatorów, tj. harcerzy i ZMS-owców, by przekonać o konieczności spełnienia obowiązku obywatelskiego. Godzono się na sprawdzanie telefoniczne. Nie, to nie był tylko absurd, to była chamska, brutalna próba na strach!²⁸

27. Oczywiście, tego terminu w tej instytucji nie używa się. Prawdopodobnie mówiono o „poparciu udzielonym przez naród programowi wyborczemu Frontu Narodowego”. Przy tej okazji: warto chyba podjąć gruntowną zespołową pracę nad słownikiem politycznym sowietyzmu!

28. W Komitecie Centralnym zaplanowano 70 % sprawdzeń. Osiągnięto więcej. Każdy % przekroczenia stawał się powodem do dumy w odnośnym

Podobną rolę sprawdzianu odgrywają pochody 1-majowe. Od dawna nie mają cienia dawnych treści rewolucyjnych, trudno nawet dostrzec jakiś związek sukcesyjny. Ich treść obrządkowa sprowadza się do pośpiesznego przejścia przed trybuną, oddzieloną od tłumu kordonem zaufanych ludzi. Treść merytoryczna sprowadza się, zwłaszcza w dużych miastach do przestania na nogach 7-10 godzin, przejścia na piechotę 4-8 kilometrów pod rozpalonym na ogół niebem. Ludzie klną, ale ludzie idą, biorą udział. Można by tę dokuczliwą formę gnębienia ludzi zastąpić inną, bardziej wyrozumiałą. Nie robi się tego, z dużą dozą świadomości zresztą, bo odpadłaby ważna, doroczna próba strachu.

Czy próby te mają jakąkolwiek wartość? Prawdopodobnie — mogą zauważyć sceptycy — przed grudniową, prowokacyjną podwyżką cen na artykuły pierwszej potrzeby, w Komitecie Centralnym na podstawie tych i podobnych testów istniało przeświadczenie, że żadnego ruchu mas nie ma potrzeby obawiać się... Ale zastrzeżenia sceptyków nie świadczą przeciw wspomnianym sprawdzianom, lecz tylko przeciw ich niewłaściwemu użyciu. Innymi słowy, sprawdziany te są dobre tak długo, jak długo nie następuje zasadnicze przekształcenie sytuacji. Ale to inne zagadnienie i nie moje zmartwienie.

Myślę, że warto tu zwrócić uwagę na specyficzną w tym wszystkim rolę normy prawnej w państwach sowieckich. Nie jest odkryciem stwierdzenie, że system prawny we wszystkich tych państwach jest chaotyczny, nadmiernie rozbudowany w zakazy i to zakazy nierealne, że obfituje w nadmierne sprzeczności, zaś stosowanie prawa odbiega nie tylko od społecznego poczucia prawa ale nawet od norm ustanowionych²⁹.

Ten stan rzeczy przypisuje się najczęściej niskim kwalifikacjom osób powołanym do ustanawiania prawa, tj. zarówno prawników cieszących się zaufaniem władz (np. słynny Wyszyński) jak i też nie-prawników, decydujących o treści norm prawnych (w Polsce przez wiele lat niemal równie przysłowiowy Kazimierz Witaszewski instruujący członków komisji kodyfikacyjnych). Ta przyczyna niewątpliwie istnieje.

Poważniejszą rolę odkrywa jednak sprzeczność starych formuł propagandowo-prawnych, wywodzących się ze starego marksizmu z reżymowymi potrzebami stosowania prawa. Jest to odbicie szer-

komitecie partyjnym jako wskaźnik „dobrej pracy z ludnością” i „gotowości aktywu partyjnego i bezpartyjnego”. Chłusnięto po wyborach pełną garścią krzyży „Polonia Restituta”, tj. 25 % dodatku do emerytury.

29. Ten relatywizm prawny powoduje, że termin „ustrój biurokratyczny” stosowany dla sowietyzmu jest zdecydowanie nieadekwatny.

szego zjawiska nazwanego przez Gustawa Herlinga-Grudzińskiego „upiorami rewolucji”³⁰.

Istnieje jednak i trzecia przyczyna. Autor jednej z inteligentniejszych prac o życiu politycznym w PRL, cytowany już Witold Jedlicki stwierdza, że:

„... przy takich środkach ustawowych wszystko jest możliwe... władze dysponują ustawami karnymi, sformułowanymi celowo w sposób mętny po to, aby umożliwić ich najzupełniej arbitralną interpretację, że w zależności od swojego widzimisię mogą stosować te ustawy do karania czynów nie mających żadnej szkodliwości społecznej lub odstąpienia od karania czynów, których szkodliwość społeczna jest niewątpliwa³¹...”.

Komu wnioski Jedlickiego wydają się przesadzone, proponuje rozważania odwrócone: w systemie klarowności prawa, tam „gdzie prawo znaczy prawo, a sprawiedliwość — sprawiedliwość” (nadzieja Tuwima, że tak będzie w nowym ustroju) możliwości zastraszenia i obezwładniania ludzi, grup społecznych i całego społeczeństwa są nikłe.

Ten relatywizm prawny jest jednym z warunków nadrzędności policji nad innymi ogniwami aparatu państwowego i nad wymiarem sprawiedliwości, albowiem istnieje potrzeba dodatkowego, poza-prawnego orzecznictwa, co jest zgodne a co niezgodne z prawem i interesami państwa. Relatywizm prawny, możliwość ścigania czynów nie będących przestępstwem oraz zaniechania ścigania przestępstw czyni z policji wyrocznię w sprawach personalnych, stwarza możliwość szantażu politycznego a ponadto umożliwia zmuszanie zastraszonych ludzi do spełniania funkcji donosicieli i prowokatorów.

Rolę instrumentu zastraszenia w systemie wybującego relatywizmu prawnego odgrywa nie tylko podkreślone przez Jedlickiego prawo karne, ale i inne jego dziedziny. Jednakże prawo karne odgrywa rzeczywiście rolę szczególną poprzez system absurdalnie rozbudowanych zakazów, powodujących że każda dorosła osoba musi znajdować się w kolizji z pewną ilością przepisów i o ich naruszenie może być oskarżona.

Nie jest to tylko teoria: przerażające przykłady stosowania prawa przez mafie gromadzkie, powiatowe, zakładowe, resortowe itd., wypełniają systematycznie łamy prasy we wszystkich krajach sowieckich. Są to tzw. artykuły interwencyjne, nawołujące do przywrócenia sprawiedliwości w konkretnych przypadkach. Na ogół dziennikarzom piszącym te artykuły przyświecają wniosłe

30. Gustaw Herling-Grudziński, *Upiory rewolucji*. Instytut Literacki, Paryż 1969.

31. KKK. Str. 150.

cele. Mylny byłby jednak wniosek, iż publikowanie takich artykułów ma na celu walkę z nieprawością w ogóle. Prasa ma prawo reagowania tylko wówczas, gdy zachodzi konflikt mafii, tj. gdy np. mafia podrzędna przyswaja sobie kompetencje mafii nadrzędnej w sposób dla tej ostatniej rażący. To zjawisko jest treścią używanego oficjalnie terminu „kacykowstwo” i „klika powiatowa”. O tym pisał obszerniej, przedstawiając dole i niedole dziennikarzy piszących artykuły interwencyjne Antoni Gutowski³². Władze nawet są niekiedy zadowolone z tych artykułów, bo służą wytwarzaniu mitów „dobrego cara”.

Józef LEWANDOWSKI

32. Antoni Gutowski, „Jeśli źle, będzie gorzej”. *Kultura* Nr 9/276, 1970.

W SZWECJI powstaje nowe pismo polskie poświęcone rozrywkom umysłowym pod nazwą:

„KRZYŻÓWKA”

Organizatorzy pragną wydawać je jako dwumiesięcznik jednoczący Polaków-miłośników rozrywek umysłowych z całego świata.

KRZYŻÓWKA ukazywać się będzie 6 razy do roku.

Koszt rocznej prenumeraty wynosi 3 dolary USA. Pierwszy numer **KRZYŻÓWKI** ukaże się (w przypadku powodzenia prenumeraty) w lipcu bieżącego roku.

Prenumeratę roczną **KRZYŻÓWKI** w wysokości 3 dolarów USA (lub odpowiadającej jej sumie w walucie miejscowej) należy wpłacać na adres redaktora, z dopiskiem „**KRZYŻÓWKA**”:

Red. Marek Trokenheim
Duvholmsgränd 14 NB
127 41 Skärholmen
SZWECJA.

W przypadku niepowodzenia prenumeraty wpłacone kwoty zostaną zwrócone nadawcom.

Inny wiatr

(Korespondencja z Niemiec)

Lata płyną. Zmieniają się czasy i ludzie. A mnie, nieuleczalnego, ciągle jeszcze interesuje staroświeckie pytanie: co kto robił w czasie wojny. To już chyba tik mojego pokolenia. Przysłuchuje się szlachetnym słowom szlachetnego mówcy za przydialnym stołem. Rzeński sześćdziesięciolatek. Niedzielny garnitur na nim leży na nim jak oficerski mundur. I wciąż ten sam komar bzyka mi wokół skroni: co ten nobliwy jegomość porabiał w tym czasie, gdy ja z moim ojcem... Jak to dobrze, że świat zaludnia się młodymi ludźmi, którzy nie dźwigają na sobie garbu złych wspomnień! Im łatwiej będzie rozmawiać ze swymi rówieśnikami.

— Cóż z tego, że ten wujaszek był kiedyś wzorowym hitlerowcem? — Mówi mi trzydziestoletni rodak z Warszawy. — Grunt, że teraz dąży do pojednania z Polską! Podobno w Talmudzie jest takie zdanie, że najlepsze interesy robi się z cudzym złym sumieniem.

— Jałowe to zajęcie, zaglądać komuś w biografie — przyznaje mu raczej inny młody człowiek z kraju tego, gdzie kruszyne chleba itd. — Gdybyśmy się tak mieli zastanawiać, kto w Moskwie czy w Warszawie był czy nadal jest stalinowcem...

Jestem w Loccum, w dolnej Saksonii. Na spotkaniu polsko-niemieckim. Właśnie w tych listopadowych dniach roku 70-ego, gdy w Warszawie pertraktacje rządowe między NRF a PRL wchodziły w stadium końcowe.

Jeden ze starszych panów (na ucho mówiąc: wtedy miś brunatny) rozmowy Scheela z Jędrychowskim przeżywa euforyczniejszą niż osiemnastoletnia paniątka przygotowania do nocy poślubnej. Co chwilę wpada na salę zadyszany. Spocony, szczęśliwy, z nową

dobrą nowiną. Wprowadza zebranych w nastrój komunikatów nadzwyczajnych, tych *Siegesmeldungen*, które przed Stalingradem poprzedzano w eterze srebrzystą fanfarą. Gdy *count-down* dobiega końca i rakietą lepszej przyszłości wzbija się w przestworza, siwy pan w okularach omal nie wylatuje z nogawek:

— Hurra! — woła. — Parafowali!

Odpowiadam mu więc parafrazą pewnego historycznego powiedzenia pewnej historycznej postaci z 1 września 1939:

— „*Seit fünf Uhr fünfundvierzig wird*

zurückgeküsst!”

Oklaski. Klaszczą ci, którzy biorą ten *zwischenruf* na serio. I ci, którzy zwietrzyli ironię. (Nazajutrz zdanie to obiegło prasę niemiecką i zagraniczną). Dziennikarz z Warszawy, ściskając mi dłoń, mówi:

— Niech zjem kapelusz, jeśli tego *bon-mot* nie przemycę w naszej prasie!

Rzeczywiście, po powrocie do Kraju niezwyklego użył „szyfru”. Powiedział przez radio, że wszyscy ludzie dobrej woli radowali się tego dnia na spotkaniu polsko-niemieckim w Loccum. Z wyjątkiem pewnego starego, zgorzkniałego Bawara, zwolennika Straussa, który mruknął, że teraz każą się nam całować z Polakami...

W tymże Loccum długoletni kierownik zachodniemieckiej misji handlowej w Warszawie, Böx, wysuwa konkretny plan współpracy gospodarczej między NRF a PRL. W odpowiedzi na jego projekt wstaje uśmiechnięty swojak i z miną Rockefellera daje kapitaliście z waszecia do poznania, że ludowa ojczyzna nie pali się ani do kooperacji ani do koprodukcji, gdyż są to sprawy, dotyczące „mikroplanowania”, podczas gdy mózgi ekonomiczne nad Wisłą interesują się „makroplanowaniem”.

Nie wiadomo dlaczego przypomniał mi się tęskniący do stulotowej transakcji p. Cukier z przedwojennego Włocławka. Gdy mu raz przez telefon zaproponowano zarobienie tysiąca, siląc się na spokój ducha, ziewnął w słuchawkę:

— Tylko nie teraz, proszę. Przypomnijcie mi o tym drobiazgu po moim powrocie z Ciechocinka.

Następnego dnia zemdał z głodu.

— Nigdy się nie zgodzimy na wysyłkę polskich robotników sezonowych do NRF — rzecze w kularach docent pomarcowy z Wrocławia. — To kwestia godności narodowej. Nas już kiedyś wysyłano na roboty do Niemiec!

— Hiszpanie, dumny naród — mówią mu na to — a nie brak ich wśród dwumilionowej armii *Gastarbeiter*. Serbowie, Chorwaci, Włosi, Turcy, Grecy...

Mogłoby się zdarzyć — przychodzi mi na myśl — że ze stu

czy dwustu tysięcy polskich robotników, którzy wyjechaliby do Niemiec zachodnich, co najmniej połowa nie chciałaby wrócić do domu.

Ale milczę. I tak ten pomarcowiec, wychowany w duchu niechęci do emigracji, patrzy na mnie jak kleryk na pornograficzny obrazek: jednym okiem potępia, a drugim miłuje.

Słyszę jak poseł do Bundestagu dyskutuje z posłem na Sejm.

— U nas — mówi Niemiec — ratyfikacja układu Bonn-Warszawa może napotkać w parlamencie na opór opozycji. A u was?

Poseł z ulicy Wiejskiej marszczy czoło w głębokim namyśle:

— Nie — odpowiada — u nas takich trudności w Sejmie nie będzie.

Gdyby wypalił tę samą odpowiedź z miejsca, mógłby jeszcze ktoś przypuścić, że w Sejmie wszystkie propozycje rządu przechodzą gładko. Ale tych dwadzieścia sekund namysłu ocaliło Sejm PRL przed złą opinią: że nie jest parlamentem z prawdziwego zdarzenia, lecz zdyscyplinowanym chórem „*Warschauer Sängerknaben*”. A swoją drogą: po co ten jegomość z Bonn zadaje przybyszowi z Warszawy podobne pytanie? Cynizm? Natrząsanie się z cudzej impotencji? Czy zwykła ignorancja?

Zastanawiamy się, kto będzie pierwszym ambasadorem NRF w Warszawie. Egon Emmel, który kieruje obecnie misją handlową? (Właśnie wykrył w swoim warszawskim biurze aparaty podsłuchowe!). Berthold Beitz? Klaus von Bismarck? Jesco von Puttkamer? Ten ostatni wielką ma na to ochotę, jest kandydatem Brandta, ale Scheel zgłosił veto, jako że Puttkamera wysunięto bez konsultowania jego resortu. Skończy się pewnie na Emmelu, bo Beitz się do tego stanowiska nie pali a dla Bismarcka utrzymanie się na stanowisku dyrektora radia i telewizji kolońskiej staje się kwestią prestiżu, odkąd mu opozycja zarzuca indolencję. Mickiewiczolog oddałby, ze względów sentymentalnych, głos na Puttkamera. Ja też, bo to i stary znajomy z „Gruppe 47”, krewny mego wydawcy niemieckiego i bodaj że pociot Józefa Czap-skiego. (Ta ostatnia kwalifikacja podoba mi się, oczywiście, najbardziej). Przez jakiś czas, jakby znano polskie przysłowie, przebąkiwano w Bonn o damach: Ellinor von Puttkamer, prawniczce, historyczce, dyplomatce (autorce pracy o polskiej demokracji narodowej) i o Renacie Finke-Oslander, obecnie kierownicze referatu wschodniego w bońskim MSZ, lecz bieg do Warszawy wygra najprawdopodobniej faworyt Scheela, Emmel.

Wtajemniczeni wdychają:

— Fryzjerczykowaty z urody i w obejściu, lubo były oficer Luftwaffe, Scheel, ma pecha: wypadło mu być ministrem spraw zagranicznych w rządzie, którego szef ma tylko jedną pasję w życiu: politykę zagraniczną. Ba, niemal całe otoczenie Brandta

składa się z niewyżytych sterników tego właśnie resortu. Herbert Wehner (dawny aktywista partii komunistycznej), *Wunderknabe* Horst Ehmke (jak trzeba, emisariusz transatlantycki), „barwna eminencja” Leo Bauer (były redaktor rozgłośni wschodniobrzeźniańskiej), Helmut Schmidt (ten od wojska, szef nie byle jakiego instrumentu: 450 tysięcy ludzi, 20 miliardów marek budżetu), Egon Bahr (czas pokaże, czy to nowy Tayllerand czy tylko dziennikarski roztropek), Karl Schiller (ten od coraz to mniej cudownego „cudu gospodarczego”), Conrad Ahlers (aresztowany za Adenauera w związku ze sprawą tygodnika *Spiegel*), Hans-Jürgen Wischniewski (zwany „Ben-Wischem” z uwagi na swoje ciągoty pro-arabskie), — każdy z tych dynamicznych polityków czułby się najlepiej w roli ministra spraw zagranicznych, nie wyłączając nawet takich tuzów jak Heinemann czy Carlo Schmid. I bądź tu w takim otoczeniu prymusem!

Opozycja utrzymuje, że gabinet koalicyjny dwakroć tyle energii spala w dziedzinie spraw zewnętrznych co wewnętrznych. W istocie, jeśli się rząd Brandta-Scheela miał kiedyś wywrócić, to nie na parkiecie polityki zagranicznej, lecz na gołoledzi ekonomicznej. Miliony posiadaczy książeczek oszczędnościowych bardziej niż *Ostpolitik* interesuje „wysychająca marka”, która za Erharda miała 78 fenigów, a dzisiaj już tylko 60. Czy rząd ma dobre stosunki z Pragą czy ich nie ma — dla większości mieszkańców NRF jest to zagadnienie księżycowe. Do muru berlińskiego się przyzwyczaili, a jakiś tam Husak miałby im sen z oczu spędzać?

Kilku uczestników spotkania w Loccum, zarówno Niemców jak i Polaków, mówi o życzliwym stosunku młodego pokolenia niemieckiego do Polski.

Gdy w noweli „Syn zadżumionych”¹, w roku 1959, młodego Niemca z Bochum wysłałem na ekspiacyjną pielgrzymkę do Oświęcimia, niektórzy recenzenci w Kraju zarzucili mi politycznie naiwne fantazjotwórstwo. Że niby takich cudaków w teutońskiej stronie nie ma, a bałamutny autor, wydumawszy sobie raroga, pragnie odwrócić uwagę opinii polskiej od prawdziwego oblicza młodego pokolenia, które pałeczkę odwetyzmu przejęło w sztafecie pokoleń.

W dwa lata później „synowie zadżumionych” spotkali się w organizacji młodzieżowej *Aktion Sübnezeichen* (akcja pokuty). Rezygnując z ferii szkolnych i urlopów robotniczych, wyjeżdżali na własny koszt do pracy fizycznej do tych miejsc, które ich ojcowie wpisywali do historii krwią i łzami swych ofiar. Budowali, na przykład, drogi, szkoły, szpitale w Jugosławii, Grecji,

Czechosłowacji, Francji. Natomiast mędrzy w Warszawie przez kilka lat nie chcieli ich wpuścić do Polski, sądząc zapewne, że widok młodego Niemca, pracującego dobrowolnie w Oświęcimiu, mógłby u sentymentalnych z natury Polaków wywołać politycznie niewskazany odruch sympatii. Gdy robiłem wymówki dziennikarzem krajowym, że przemilczają działalność najbardziej wartościowej młodzieży niemieckiej, wzruszali ramionami:

— A po co o tym pisać?

Dopiero przed dwoma laty wpuszczono grupkę tej młodzieży do Polski i zezwolono *Tygodnikowi Powszechnemu* przełamać odgórnie zarządzoną zmwę milczenia na ten temat. Dzisiaj zaś chwali się już *Aktion Sühnezeichen* oficjalnie. Lepiej późno niż wcale.

Czy sympozjum w Loccum było „owocne”? Po stronie niemieckiej przeważali w 90-ciu procentach wypróbowani polonofile. Opozycję wobec oficjalnej *Ostpolitik* reprezentował wśród mówców jedynie poseł Olaf von Wrangel, wyraźnie nie przygotowany. A goście z PRL? Rzeczowo wypadł fachowy garnitur nieznawczy (Tomala, Rakowski, Rachocki, Kocot). Barwne przemówienie wygłosił „autochton” poseł Wichłacz. Pomarcowy docent z Wrocławia wykrztusił z kajetu słabiotkie wypracowanie szkolne, które uprzejmie starał się uratować znany historyk, prof. Hans Roos z Bochum. Polonista z U.W. poinformował zebranych, że współczesna literatura polska, przywiązując szczególne znaczenie do tematyki wojennej i okupacyjnej, wychowuje młodzież w duchu patriotycznym i obywatelskim. Ponadto zalecił Niemcom, by czytali Goethego. O beztroskim ekonomiście-makroplanisście już wspominałem. Jakiś przystojniak z modnymi baczkami, zapewne pupil urzędu dla spraw wyznań, wybrzydzał się na Episkopat, że nie dba o ruch ekumeniczny a ducha uchwał soborowych waży sobie lekce. Karl Dedecius pięknie recytował wiersze Herberta. Ja też tam coś mówiłem, a gdy wymieniłem nazwisko Kołakowskiego, w oku starszego pana, który w Zagłębiu Ruhry redaguje komunistyczną gazetkę, dostrzegłem błysk zaniepokojenia.

Koncept spotkań gości z państw „socjalistycznych”, którzy czasem przybywają indywidualnie i jakby z własnej inicjatywy a czasem, niczym drużyna hockey’owa, z kapitanem, trenerem, masażystą, graczami zapasowymi i obserwatorami, oparty jest na kurtuazyjnej zasadzie niedostrzegania tego, co najbardziej oczywiste: że jest to zazwyczaj dialog ludzi wolnych z ludźmi, którzy wyszli za przepustką za palisadę swego castrum, mają w gruncie rzeczy statut półzakładnika, lub też są tego castrum strażnikami.

A jednak spotkania takie nie są pozbawione pewnych korzyści dla obu stron. To prawda, że na ogół nie porusza się drażliwych tematów, nie prostuje łągarstw i łągarstewek. Lecz na marginesie podobnych imprez („*Auf allen Kongressen wichtig ist das Essen*”) wybija niekiedy godzina niezaplanowanej szczerości. Nie mówiąc już o tym, że nawet wypad do takiej dziury jak Loccum może polskiemu naukowcowi dać nie tylko sposobność odetchnięcia przez kilka dni innym powietrzem, ale i możliwość kupna funta kawy.

Kto łatwiej ulega urokowi gospodarzy? Polacy, przyjeżdżający do Niemiec? Czy Niemcy, odwiedzający Polskę? Socjalista Heinz Oskar Vetter, główny *boss* związków zawodowych w NRF, wrócił z Warszawy zakochany w Ignacym Lodze-Sowińskim i innych dozorcach polskiego świata pracy. Zaraz po powrocie postarał się o uchylene tych ograniczeń *Ostkontakte*, jakie związkowcy zachodni Niemiec uchwalili po agresji na Czechosłowację. Wyobrażam sobie, co się dzisiaj dzieje w sercu p. Vettera, gdy czyta, że Sowińskiemu powinna się loga.

Czy istnieje międzynarodowa solidarność klasy robotniczej? „To zależy” — jak mawiała Sybilla. Gdy na Wybrzeżu Polska Zjednoczona Partia Robotnicza (!) w 150-lecie urodzin Engelsa i stulecie Komuny Paryskiej zaczęła swój makabryczny „dialog” z masami, właśnie z robotnikami stoczni im. Komuny Paryskiej, przy pomocy czołgów, zwróciłem się publicznie, w programie telewizyjnym, do p. Vettera z zapytaniem, jak się to dzieje, że NRF jest bodaj jedynym krajem w Europie Zachodniej, w którym nie dosłyszano strzałów do polskich robotników, w którym nie demonstrowano w obronie towarzyszy pracy, w którym socjalistyczne związki zawodowe, wyznając mylną zasadę: „Dobre stosunki z dyrekcją więzienia poprawiają sytuację więźniów”, milczą jak zakłete. W epoce telekracji takiego wezwania p. Vetter nie mógł puścić mimo uszu. Toteż po kilku dniach wystosował pismo do Centralnej Rady Związków Zawodowych w Warszawie, ale w tak delikatnej formie, że nie wiadomo, czy to protest, prośba, apel czy salonowe „Jak się macie, towarzysze?”

Zresztą w tym samym czasie odbywał się nikczemny proces w Burgos i p. Vetter swoje oburzenie moralne mógł skierować pod właściwszym adresem. Tysiące pracobiorców i ultraczerwona studenteria wyszły z transparentami na ulicę, gdyż bliżsi ich sercu są Baskowie niż stoczniovcy w Trójmieście czy Żydzi w Leningradzie. Piszący te słowa razem z pisarzami niemieckimi z całym przekonaniem podpisał protest przeciw wyrokowi w Bur-

gos. Nie udało mu się jednak zainteresować literatów zachodnio-niemieckich losem robotników polskich na Wybrzeżu.

Znamy redaktorów pism liberalno-lewicowych, którzy z doniesień prasowych z Polski wykreślali zdanie o podpaleniu gmachu partii w Gdańsku i w Szczecinie.

— To niemożliwe! — mówili. — Przecież oni śpiewali „Międzynarodówkę”.

Bo niemożliwe jest to, co niemożliwe być powinno. A kto śpiewa „Międzynarodówkę”, nie może nie kochać partii. Rewolta robotnicza, ich zdaniem, nie miała charakteru antykomunistycznego. Chodziło tylko o wprowadzenie pewnych ulepszeń w dziedzinie aprowizacji. Rzekłbyś: była to operacja na wskroś prokomunistyczna. Ale kto czytał w watykańskim tygodniku cyniczny artykuł o wydarzeniach w północnej Polsce, ten już niczemu dziwić się nie powinien.

Odejsie Gomulki szczerze zasmuciło wielu lewicowych dziennikarzy w NRF. Odnosi się wrażenie, że stoczniovcy na Wybrzeżu w nietaktowny sposób zepsuli im zabawę. Notorycznych gomulkowców zawsze było więcej w Bonn niż w Gdańsku. Ale nie martwmy się. Dość szybko zdejmą czarny krawat i zaczną z kolei wdzięczyć się do nowego kierownictwa partii.



Godzina przemienionych Szawłów wybija. I tak jest chyba lepiej. Spostrzegam w prasie zdjęcie starego znajomego. W długim futrze, w baranej czapce, jakby się wybrał na Syberię a nie do Polski, ustawił się w otoczeniu dziatwy do fotografii przed szkołą we Wrocławiu. Bardzo ładnie, że dano mu wizę i ugoszczono go po staropolsku, przynajmniej będzie po powrocie pomstować na Czaję i Hupkę. Przypominam sobie, że na znak protestu przeciwko „kapitulacyjnemu” układowi w Zgorzelcu tenże Berlińczyk wystąpił kiedyś ze wschodnioniemieckiej partii komunistycznej i przeniósł się na Zachód.

— Myślę — rzekł mi ostatnio ten sympatyczny podróżnik — że nie powinien pan już niczego publikować w naszym kraju. To niepotrzebnie psuje nasze stosunki z władzami w Warszawie.

Aktywiści wszędzie są tacy sami, zwłaszcza gdy zmienione okoliczności każą im przestawić dotychczasową działalność na nową falę. Herr S. jeszcze przed kilku laty na zebraniach ze studentami gorszył się, że nie wykazują ducha walki z „czerwoną zarazą na wschodzie”. Dzisiaj zaś, będąc propagandowym *postillon d'amour* między Bonn a Warszawą, uważa że emigrantów, ostatnich Mohikanów zimnej wojny, należałoby, dla dobra pokoju w Europie, deportować do krajów pochodzenia.

Czy wśród serdecznych polonofilów psy emigracyjnego zająca zjedzą? Czy nie powinien się już przenieść na jakąś polinezyjską wysepkę? Przyływ *self-pity* czy zdrowy odruch samochwalstwa? I jedno i drugie: przez kilkanaście lat siało się na tej kamienistej roli sympatię do wszystkiego co polskie (ile artykułów, odczytów, dyskusji, „akcji”, zakulisowej krzątany, spotkań z młodzieżą studencką i kolegami po piórze!), słowem i piórem, w pionierskim trudzie, torowało się ścieżki w gęstwinie uprzedzeń i zabobonów, by przynajmniej najlepszym w tym narodzie podać rękę i dopomóc w przebudowie świadomości, — dzisiaj wschodzi to ziarno. Przy czym nie trudno się było domyśleć, że pracuje się nad przyśpieszeniem własnej nieobecności, bo po zasypanej fosie pierwsi przejdą urzędnicy i tajniacy. Amator zrobił swoje, amator może odejść. Ale coś tam chyba zostanie. Nie tylko dla oficjalów.

Grass przyjaciół się nie zapiera. Udzielając wywiadu *Współczesności* i *Polityce* w Warszawie, powiedział, że dla niego literatura polska jest jedna: ta w kraju i ta na emigracji.

Przed ośmiu laty gazeta, wydawana w Lubece, zwróciła się do mnie i do kogoś innego zapytaniem, czy rząd NRF powinien uznać granicę na Odrze i Nysie. Odpowiedziałem, że powinien. Tamten zaś napisał w odpowiedzi, że skoro PRL stoi na gruncie istnienia dwóch państw niemieckich, nie może na to liczyć. To nie jest wspólna granica. „Nas też nikt nie pyta o uznanie granicy między Szwedami a Norwegią”. A w ogóle to nie należy tej sprawy przesądzać przed zawarciem traktatu pokojowego z całymi Niemcami. I tak dalej. Podpisano: burmistrz zachodniego Berlina, Willy Brandt.

Wiele się zatem zmieniło w Niemczech zachodnich w ciągu ostatnich lat. I tak jest chyba lepiej.



8 grudnia 1970. Historyczny dzień. Początek nowego rozdziału w historii stosunków polsko-niemieckich. Przyjrzyjmy się pamiątkowej fotografii. Przy stole, z piórami przygotowanymi do złożenia podpisu, zasiedli Brandt z Scheelem i Cyrankiewicz z Jędrzychowskim. Z tyłu stoi Gomulka z miną gospodarza, który zwiózł siano do stodoły. Kwaśny, jakby na migrenę cierpiący Kliszko. Tępo w obiektyw wpatrzony Loga-Sowiński. Sfinksowato uśmiechnięty Moczar. Brak Gierka. W gronie niemcoznawców: wiceminister MSZ Winiewicz, szara eminencja tegoż resortu Tomala, redaktor *Polityki* Rakowski. W ekipie Brandta: Carlo Schmid, Bahr, Ahlers, Duckwitz, Beitz, Vetter, Emmel von Alvens, Prowein, von Bismarck, Nannen, Grass, Lenz.

Jeśli wierzyć hamburskiemu tygodnikowi *Spiegel*, chciano zabrać ze sobą do Warszawy prezesa gminy żydowskiej w Berlinie zachodnim, Galinskiego, ale zarzucono tę myśl „ze względów dyplomatycznych”. Brandt, zapytany na zjeździe młodych socjalistów w Bremie, czy obecność Żyda w ekipie NRF nie przypadłaby rządowi PRL do gustu, bez słowa rozłożył ręce. Boński korespondent pracy izraelskiej, Wolfmann, nie otrzymał wizy wjazdowej. Pojechał natomiast do Warszawy Herr Achenbach, z którym są pewne kłopoty natury biograficznej. Mniej więcej przed rokiem Scheel musiał zrezygnować z wysłania Achenbacha do Brukseli jako przedstawiciela NRF przy Wspólnym Rynku, gdyż kilku francuskich, belgijskich i holenderskich „pedantów” przypomniało sobie o „zasługach” tego dżentelmena z okresu Trzeciej Rzeszy.

Po dokonaniu zdjęcia, którego oględziny nastroją nas dzisiaj melancholijnie, gdyż już w parę tygodni później kilku panów utrwalonych na fotograficznej błonie zamieniło się w żywych nieboszczyków politycznych (*Die Toten reiten schnell*), uroczysta atmosfera, jak słyszę i czytam, ustąpiła miejsca szampańskiej euforii. Dawny pałac Radziwiłłów w Warszawie, to jednak nie sala carycy Katarzyny na Kremlu, w której przed niespełna pięcioma miesiącami, a więc akurat w drugą rocznicę sowieckiego najazdu na Czechosłowację (*crime does pay*), rozegrało się podobne widowisko, ale raczej w tonacji patetycznej, podczas gdy na Krakowskim Przedmieściu zapanowała liryka. Lody pękły na Wiśle, i to tak głośno, że ich huk mógł niemile zabrzmieć nie tylko w uszach Ulbrichta, ale i samego cara Leonida Pierwszego. Tym bardziej, że wielu dziennikarskich kibiców tej nadwiślańskiej „wiosny w grudniu” po powrocie na Zachód napisało, że atmosfera w Warszawie była bez porównania lepsza niż w Moskwie, że „Europejczycy łatwiej znaleźli ze sobą wspólny język”, że w danym pałacu Radziwiłłów niemal z każdym Polakiem można się było porozumieć po niemiecku, podczas gdy żarciki Scheela czy Brandta w Moskwie spływały po lokatorach Kremla i ich urzędowych tłumaczach jak woda po kaczce, że jednak co „Paryż wschodu”, to „Paryż wschodu”...

— Józefie, gdzie jesteś? — wołał na całą salę Georg Ferdinand Duckwitz do Winiewicza. — Twoje zdrowie!

Redaktor magazynu ilustrowanego *Stern*, Henri Nannen, o czym doniósł korespondent *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, w przyпіływie fraternizacyjnego uniesienia próbował wypić bruderzafka z Gomułką. Towarzysz Wiesław, odmłodzony, zdrów jak ryba, co zgodnie stwierdzają naoczni świadkowie, od lat nie był w równie wymienitym humorze. Poniektórzy uczuciowcy zaczęli

między sobą wymieniać autografy i drobne upominki. Cyrankiewicz dostał zapalniczkę.

Z tym tak chętnie się do pierwszego rzędu honoracjuszy przepychającym Nannenem też są pewne kłopoty natury biograficznej. Poświęćmy kilka zdań temu przechodzonemu już cokolwiek, *play-boy*'owi. Ów salonowy postępowiec koloru bordo, milioner-antykapalista (w słowach), od lat głoszący na łamach swego organu potrzebę budowania mostów na wschód, turysta w Moskwie mile widziany, razem ze swoim nadwornym publicystą, Sebastianem Haffnerem (niegdyś apostołem zimnej wojny w koncernie Springera, dzisiaj zaś zaciekłym antyantykomunistą) przez 52 tygodnie w roku wprost wyskakują z jedwabnej bielizny, by na świecie nie zapanowała przypadkiem apokalipsa nad apokalipsami czyli *pax americana*. Krezus z Hamburga, zbudowawszy swą potęgę finansową w NRF jako dostawca modnego obecnie towaru marki polit-porno, ze szczególnym zapałem piętnuje ludobójcze instynkty żołnierzy amerykańskich w Wietnamie. Na to pan-Nannenowe *mixtum compositum* dla blisko dwóch milionów czytelników składają się ostatnio: zachwyty nad arabską piratką powietrzną, Leilą Ali Chalid, tą Joanną d'Arc ultralewicy zachodnioniemieckiej, zdjęcia obciętych głów, przytroczonych do pasa południowo-wietnamskiej soldateski, podziw dla „Tupamaros”, poradnik akrobatyki seksualnej i sporo damskiej golizny. Życzliwe zainteresowanie magazynu *Stern* pewnymi aspektami życia polskiego bierze się, oczywiście, stąd że w Warszawie nie ma brzydkich greckich pułkowników, lecz rządzą tam szlachetni komuniści.

Gdy Herr Nannen w ekipie kanclerza podążył do Warszawy, pewien nietaktowny sympatyk chadeckiej opozycji przypomniał, że ten utalentowany urabiacz opinii jako oficer „P.K.” (kompanii propagandowych) służył niegdyś na froncie włoskim w komórcze dywersyjno-agitacyjnej „Südstern”, dowodzonej w Bevilacqua przez intymusa Goebellsa, SS-Obersturmführera, Hansa Weidemana. A że stara przyjaźń nie rdzewieje, braterstwo broni — rzecz niebłaha, tego właśnie gagatka z trupią główką na czapce Nannen przyjął był do redakcji swego magazynu, a ostatnio powierzył mu dział kształcenia młodzieży w duchu olimpijskim. Dziennikarz telewizyjny, Löwenthal, dawny kacetowiec, w programie „Panorama” zarzucił Weidemannowi współodpowiedzialność za egzekucję dwóch partyzantów włoskich. Nannen zaś, zdaniem Löwenthala, nie mógł nie wiedzieć o tym, co się wydarzyło jesienią 1944 w Bevilacqua. Nannen przyznał, że jego długoletni przyjaciel Weidemann, owszem był oficerem SS, ale jako okoliczność łagodzącą wysunął fakt, że jego ówczesny przełożony był jednak hitlerowcem z przekonania.

Dziwne, że ten rodzaj „usprawiedliwienia” opinia publiczna przyjęła bez większego zdziwienia. Najwidoczniej hitlerowiec z premedytacją stoi moralnie wyżej od hitlerowca z przypadku czy oportunisty. Nannen osobiście się do winy nie poczuwa, o niczym nie wiedział, widzi siebie raczej w charakterze Wallenroda niż sympatyka narodowego socjalizmu.

Niepokojące, że w trakcie dyskusji, jaka się na marginesie gigantomachii Nannen-Löwenthal przewaliła przez prasę zachodnio-niemiecką, fakt powieszenia dwóch Włochów, Giuglio Biscazzo i Pietro Sinigaglia, w październiku 1944 w Bevilacqua i rozstrzelania angielskiego *Private-first-class* Waltera Sidney’a Bowersa, „jako taki” nie wzbudził większego poruszenia. Większość autorów listów do redakcji podkreślała, że było to zgodne z prawem wojennym, które partyzantów przyłapanych na próbie wysadzenia mostu w powietrze karze w trybie doraźnym śmiercią, dla odstraszenia innych. „Żołnierzom niemieckim, którzy jechali na urlop do ojczyzny, i ginęli, rozerwani w sztuki, gdy ich pociągi wjeżdżały na założone przez partyzantów miny, skąpi się słów współczucia” (*Stern*, 17. I. 71).

My niewinni — zarzekają się *alte Kameraden*, Nannen i Weidemann — inni szatani byli tam czynni. Skoro już odgrzebano sprawę „Südstern”, reporterom puszczone w ruch przez łaknącego alibi p. Nannena, udało się wytropić oficera, który zarządził egzekucję włoskich patriotów, niejakiego Lembcke. Na liście zarzutów, jakie z kolei Nannen stawia Löwenthalowi, widnieje i taki: po obejrzeniu programu telewizyjnego o Bevilacqua biedny weteran Lembcke dostał ataku serca. Z czego by wynikało, że ktokolwiek bierze się do wyświetlania wojennych zagadek, winien mieć na względzie obecną konstytucję fizyczną dawnych „bohaterów”. Chcąc wzbudzić litość dla nieszczęśnika, któremu tyle zgrzyzot przysporzyły wojenne przygody we Włoszech i obecna niedelikatność uczuć. p. Löwenthala, sfotografowano go w łóżku i z samarytańskim komentarzem przedstawiono czytelnikom *Sterna*.

Jak dotychczas, nie ustalono, czy żołnierze komórki „Südstern” maczali palce w „*Bandenbekämpfung*”, czy też ograniczali się do wojny psychologicznej (antysemickie ulotki i pornograficzne obrazki). Nie można wyłączyć, że radiostacja „Wanda”, kusicielka żołnierzy polskich Drugiego Korpusu, podlegała „Südstern”. Nannen twierdzi, że Löwenthal umyślnie zorganizował polityczną vendettę przeciwko niemu, męczennikowi *Ostpolitik*, by pomóc „swoich” pechowców: Lübkego, Kiesingera czy Defreggera. Być nawet może, że „potwarca” Löwenthal przegra sprawę przed sądem. Temida nie rzadko opowiada się po stronie lepszych adwokatów. Rozpoznanie stanu faktycznego po upływie

27 lat, to najczęściej trud syzyfowy, ponad siłę pamięci świadków i wyobraźni moralnej sędziów. Ciekawe jednak, że przypadek ten nie doczekał się rozgłosu w prasie, wydawanej między Władę-wostokiem a Erfurtem. Podobnej dyskrecji, jak pamiętamy, nie stosowano przy innych okazjach...

Co prawda, trudno źle pisać o kimś, komu się udzielało wywiadów prasowych i podejmowało ze staropolską gościnnością, kto przybył w ekipie kanclerskiej do Warszawy, złożył wizytę w prywatnym mieszkaniu Cyrankiewicza, sfotografował się kilkakrotnie z nim i jego 18-letnią córeczką, Anią. (Sympatycznemu dziewczęciu jacyś fachowcy od układania gładkich oświadczeń włożyli w usta cały wstępniak na temat stosunków polsko-niemieckich). Zresztą Nannen ze swoim umiowanym uczniem, Bis-singerem (który na łamach *Stern*'a od pewnego czasu domaga się zamknięcia „Free Europe” i „Radia Liberty”; dojrzejawą pierwsze frukta zbliżenia między odprężeniowcami) sprawia tak przyjemne wrażenie w Moskwie, w Warszawie i we wschodnim Berlinie, że byłoby, zaiste, nietaktem zajmować się kłopotliwymi wykopaliskami pro-chadeckich pieniaczy. Tym bardziej, że ten uprzedzony archeolog Löwenthal nie lubi komunizmu, co w naszych czasach godne jest najsurowszego potępienia.

„Nieważne jest jak się kto wtedy zachowywał — orzekł pewien koryfeusz w liście do redakcji *Spiegla* — ważne jest jak się zachowuje dzisiaj”. Co się niekiedy w praktyce sprowadza do hasła: „Powiedz mi, jaki jest obecnie twój stosunek do imperializmu rosyjskiego, a powiem ci jak się zachowywałeś podczas brunatnej nocy Walpurgii”. Nie trudno się domyśleć, co by napisała *Trybuna Ludu*, gdyby się nagle okazało, że to nie wielce postępowy czaruś i bogacz Nannen, lecz czarnopodniebienny milioner, a co gorsza: pierwszy judofil w NRF, Springer, służył w czasie wojny w komórce „Südstern”? Już w starożytnej Grecji wiadano, że słowo „*kto*” więcej znaczy niż „*co*”.

Wracając do inauguracji nowego rozdziału w księdze dziejów polsko-niemieckich: Günter Walter, wysłannik katolickiego tygodnika *Publik*, doniósł z Warszawy, że gdy grupa zachodnio-niemieckich dziennikarzy weszła do knajpki na przedmieściu, by „zmieszać się z tłumem” i nadstawić ucha, co o tym wszystkim sądzi *vox populi*, podeszło do nich dwóch polskich lotników i zaproponowało im wychylenie kilku głębszych na cześć przyjaźni między obu narodami. Toast po jakimś czasie przerodził się w obślinianie policzków.

— Nie pisz o tym — mówią mi zgorzeleni rodacy. — Po pierwsze: był to z pewnością wypadek odosobniony, a po wtóre: to takie niesmaczne.

Niesmaczne, gdy się ludzie ściskają. Smaczne, gdy do siebie strzelają.

Mój boński znajomek, obsesyjny wręcz antybrandtowiec, wierza mi się po powrocie z Polski:

— „Gdy w Katowicach powiedziałem polskim dziennikarzom, że Willy jest urodzonym propagandystą i kto wie, czy tego obsunięcia się na kolana przed pomnikiem ofiar getta nie ćwiczył w domu, omal mnie nie znieważono. 'To kłamstwo! — rzucili się na mnie Polacy. — On tak naprawdę czuje i myśli. Wyście nie zasłużyli na takiego kanclerza!' De Gaulle mawiał, że więcej jest gaullistów w Bukareszcie niż w Paryżu. Myślę, że więcej jest dzisiaj brandtowców w Polsce niż w naszej Bundesrepublik”.

To fakt. Nie wszyscy go lubią. Gazety ultra-prawicowe piszą: „Biedne Niemcy! Jedną ich połowę rządzi były oficer Czerwonej Armii, Ulbricht, drugą zaś były oficer armii norweskiej, Brandt”. „Kapitulantowi” Brandtowi, którego opozycja nazywa „niemieckim Mikołajczykiem” lub „Kiereńskim”(!), każdej chwili jakiś fanatyk może zgotować los Rathenau'a.

Fotografia klęczącego Brandta o której *Figaro* napisało, że wejdzie do albumu dwudziestego stulecia i która tyle sprzeciwu wywołała wśród chrześcijańskich (!) demokratów nad Renem i Izarą, (bez sensu porównywano ten gest z upokorzeniem się Henryka Czwartego przed Grzegorzem Siódmym w Canossie) — o dziwo! — nie ukazała się w żadnym piśmie, wydawanym między rzeką Ussuri a Łabą. Nie po raz pierwszy „jastrzębie” po obu stronach barykady, te z warszawskiego *Żołnierza Wolności* i te z monachijskiej *Soldaten-Zeitung*, ujawniły swe duchowe powinowactwo.

„Społeczeństwo polskie docenia wagę tego ludzkiego odruchu” — napisało *Życie Warszawy*, ale fotografii-dokumentu nie ogłosiło. Najpomysłowiej z tym ludzkim odruchem poradził sobie fotoreporter bułgarskiej agencji prasowej, który ujął Brandta tylko do pasa. Nie wiadomo więc, czy nowe wcielenie cesarza Henryka Czwartego (raczej już Ottona Trzeciego) stoi, siedzi czy klęczy na warszawskim bruku.

— I słusznie — wyjaśnił pewien zbowidowiec młodym Niemcom w Warszawie — bo wasz kanclerz ukląkł przed Żydami. Przed pomnikiem Nieznanego Żołnierza nic podobnego nie przyszło mu do głowy. Gdyby ukląkł przed polskimi żołnierzami, *New York Times* nie dostrzegłby tego gestu.

Antysemityzmu wśród Lechitów, ma się rozumieć, nie uświadczysz gołym okiem, ale na brak patriotów, którzy sądzą, że z kim jak z kim, ale z Niemcami można sobie na temat Żydów pozwolić na absolutną szczerłość, uskarżać się nie można.

Tymczasem nie tylko paradoks, ale i siła moralna gestu Brand-

ta leży w tym, że Niemiec, dawny emigrant i antyhitlerowiec, bierze na siebie winę osobiście nie zawinioną, winę za bezcelestwa popełnione przez Trzecią Rzeszę, którą zwalczał tak samo jak my wszyscy. Radiacja moralna tego gestu na przyszłe pokolenia kojarzy się z równie paradoksalnymi słowami orędzia biskupów polskich, skierowanymi w liście millenijnym do Niemców: „Przebaczymy i prosimy o przebaczenie”².

Przypomina mi się, że gdy wybitny prozaik, Heinrich Böll, dowiedział się o tej ręce wyciągniętej przez prześladowanych do prześladowców, rzekł szczerze wzruszony:

— I pomyśleć, że ja, pisarz ponoć katolicki, myślałem, że już nie ma autentycznych chrześcijan na świecie. Nazaretańczyk wstał z martwych w Warszawie!

Pigmej moralny Gomułka i wielu jego mentalnych krewniaków na emigracji w ogóle nie pojęło wagi dokumentu, który wszedł do archiwum tego co najtrwalsze w naszej historii, wzbogacając śpichlerz duchowych wartości, narodu, który od pokoleń tęskni po cichu do przemiany zjadaczy chleba w aniołów.

Gdy o potrzebie pojednania polsko-niemieckiego językiem Ewangelii mówił prymas Wyszyński, było to „szczytem naiwności politycznej” i niemal synonimem zdrady narodowej. Gdy w zaledwie trzy lata później, za łaskawym zezwoleniem Breżniewa, podobne hasło wysunął pierwszy sekretarz partii, mieliśmy do czynienia z „aktem mądrości politycznej” i „przejawem patriotycznej troski”. Jeszcze jeden dowód na to, by artykułów wstępnych *Trybuny Ludu* nie brać na serio.

Czas pokaże, czy nowa *Ostpolitik* Brandta i Scheela, przed czym ostrzegają pesymiści, rzeczywiście doprowadzi do erozji NATO, wzrostu neoizolacjonizmu w Ameryce, zahamowania procesów integracyjnych w Zachodniej Europie, wytworzenia niebezpiecznego *vacuum* na naszym starym kontynencie, zwiększenia potencjału przemysłowego Rosji, m.in. poświęcenia interesów Izraela na rzecz nie tyle Arabów, co *pax sovietica* na Bliskim Wschodzie; czy uznanie terytorialnego *status quo* na wschód od Łaby będzie jednoznaczne z politycznym uznaniem realiów, istniejących w tym rejonie Europy czyli pośrednim *placet* dla doktryny Breżniewa; czy zbyt dobre stosunki między Bonn a Moskwą nie odbiją się kiedyś na polskim interesie państwowym i narodowym... Mimo wielu obaw i niepewności, osładzanych pięknymi słowami „pokój” i „bezpieczeństwo”, trudno jednak nie zauważyć, że układ między Bonn a Warszawą, chociaż w imieniu Polski układali się ludzie nie wyposażeni w demokratyczny a więc auten-

2. *Dialog polsko-niemiecki w świetle dokumentów kościelnych*, Instytut Literacki, Paryż, 1966.

tyczny mandat społeczeństwa, posiada znaczną wartość psychologiczną dla obu narodów.

Ważne są granice w atlasach geograficznych i w plenerze, lecz niemniej ważne są granice w sercach i umysłach ludzkich. *E pur si muove*. Po obu stronach fosy wieje inny wiatr. Przebito barierę fatalizmu. Osłabiono zakłęcie: „Jak świat światem”. Zła przeszłość nie jest murem nie do przebycia. Dwóch kolejnych laureatów nagród, ufundowanych w Warszawie dla tłumaczy literatury polskiej na język niemiecki, to synowie Niemców zabitych przez Polaków. Nie poległych w walce, ale zamordowanych w tragicznym Wrześniu. Krzywda, jaka za młodu spotkała łodzianina Dedeciusa i bydgoszczanina Staemmlera, nie pomniejszyła ich miłości do literatury polskiej. Armin Dross, chociaż w młodości siedział w polskim więzieniu, należy dzisiaj do najbardziej zasłużonych krzewicieli kultury polskiej w Niemczech zachodnich.

Niżej podpisany, „absolwent” hitlerowskich obozów i więzień, syn kacietowca, który nie przeżył Dachau, przypomina sobie, że gdy przed dziesięciu laty przyznano mu w NRF nagrodę literacką, chyba pierwszą w dziejach stosunków kulturalnych między obu nacjami, miał z tego powodu nie tylko sporo satysfakcji, ale i przykrości. Na łamach krakowskiego *Życia Literackiego* wspomniano wytwornie o trzydziestu srebrnikach. Jakiś grafoman w Rzeszowie napisał, że na moim miejscu nie przyjąłby tej nagrody. Także i w NRF obruszyli się nieprzejednani, że nie powinno się nagradzać emigranta, który nadużywając gościnności, wypowiada się w słowie i w piśmie przeciwko granicom niemieckim z roku 1937. W osobnej szkatułce przechowuję pozostałe pogróżki pod adresem „pachołka Moskwy”, „lokaja Gomułki” itp.

Od tego czasu wiele się zmieniło w polskim i niemieckim świecie. Różni zawodowi demaskatorzy „imperialistycznych zakusów” NRF, przeważnie polscy ulbrichtowcy, zapomniawszy o tym, co pisali przez ćwierć wieku, łaszą się na wyścigi do bońskiego cielca, a Polak piszący w zachodniemieckim piśmie o sprawach polskich, zamiast anonimów z pogróżkami, dostaje czułe liściki. Zwłaszcza gdy go roztargniony czytelnik weźmie za komunistę z Warszawy.

Otóż to: inny wiatr.

Tadeusz NOWAKOWSKI

Obserwatorium

Wnioski z Polskiego Grudnia

Pozbawione patosu, ale jakże heroiczne demonstracje robotników Gdańska, Szczecina i Słupska w grudniu 1970 roku nie były jedynym, ani też największym, zrywem na polskiej ziemi. Zrywy takie znamionują dzieje polskiego narodu i polskiej państwowości.

Jakkolwiek ostatnie walki od samego początku nie rokowały wielkich nadziei, ani też nie zapowiadały bezpośrednich rozwiązań, to jednak naród polski i jego bojownicy o wolność zyskają z wydarzeń na Wybrzeżu nowe możliwości i nowe nauki. Demonstracje te rozwiały wiele złudzeń i potwierdziły wiele prawd nie tylko o sytuacji w Polsce. Narody Wschodniej Europy, nad których świadomością i tęsknotami dzierżą straż biurokraci własnego chowu i sowieckie dywizje, wzbogacił *polski grudzień* o samopoznanie. Nie ma człowieka, którego by nie natchnął on świeżymi myślami i nowymi podnietami. Oś świata przechyliła się w owych pamiętnych dniach w stronę polskiego Wybrzeża — tam broczyło krwią serce ludzkości, serce, które bije dla wolności i braterstwa między plemionami ludzkimi. Polska i istnienie ludzkie znów odzyskały wartość i sens.

Grudzień 1970 r. jest najczęściej porównywany z zaburzeniami poznańskimi w 1956 r. Porównanie takie nasuwa się samo, ponieważ w obydwu przypadkach główną rolę odgrywają robotnicy i ponieważ wiąże się je z osobą Gomułki — poznańskie z jego wywyższeniem, zaś grudniowe, na Wybrzeżu, z jego upadkiem. I istotnie, na pierwszy rzut oka jest bardzo dużo podobieństw w tych wydarzeniach. Scena historyczna uległa jednak zmianie i te same postacie, te same siły, inną dziś odgrywają rolę niż wówczas.

Poznańskie zaburzenia to przedświt tzw. „narodowego komu-

nizmu” z Gomułką jako protagonistą. Grudniowy bunt na Wybrzeżu w 1970 roku potwierdza ograniczoność i efemeryczność „narodowego komunizmu”, a również nieudolność komunizmu jako systemu w ogóle, póki opiera się on — a nie istnieje żaden konkretny dowód, że jest inaczej — na monopolu jednej partii, jednej grupy oligarchów w polityce i ekonomii. Upadek Gomułki to nie tylko zmiana przywódcy, który nie dostosował się do czasu — to wyraz kryzysu całej struktury i to nie Polski jedynie, ale całej Wschodniej Europy, włączając w to również Związek Sowiecki... Tylko zatwardziałych biurokratów i zaskorupiałych dogmatyków, którzy tak bezwzględnie zdławili wolność i reformy w Czechosłowacji, mogły zaskoczyć tego rodzaju eksplozje, jakie nastąpiły na polskim Wybrzeżu.

Nikt nie wykazał za Gomułką żalu — nawet w najkonserwatywniejszej partyjnej biurokracji Związku Sowieckiego. Taki niesławny koniec ostatniego „czystego” komunisty Wschodniej Europy jest symptomem krótkotrwałości wszystkiego, czego był uosobieniem: „partyjności”, „internacjonalizmu”, „leninizmu”, „demokratycznego centralizmu”, i, ba, państwowej „socjalistycznej” własności. Historycy nie będą mogli zaprzeczyć odwagi i zasług tego rewolucjonisty w walce o polską państwowość i odrębność narodową. Ale też nie będą mogli przemilczeć jego dogmatycznego zaślepienia, żądy władzy i ciasnoty spojrzenia. W Polsce i w świecie wszystko się zmieniało — Gomułka został taki sam. Właśnie dlatego jego skromność i nieustępliwość, partyjność i patriotyzm przekształciły się w apodyktyczność i upór, w biurokracizm i zausznictwo. Do rzadkich należą w historii postacie, które rozpoczęły tak odważnie, a skończyły tak haniebnie. Bo właśnie Gomułka nie może się uskarżać, że mu historia nie dała szansy. On zaś nie wykorzystał jej nawet na tyle, co Kadar, mimo że Kadara wyniosły do władzy Chruszczowowskie czołgi poprzez trupy węgierskiej młodzieży, węgierskich demokratów i demokratycznych komunistów.

Dzisiaj można z czystym sumieniem twierdzić, że mylili się ci, którzy pokładali wielkie nadzieje w XX Zjeździe sowieckiej partii, który przecież również Gomułce umożliwił dojście do władzy. Z XX Zjazdem rozpoczął się niewątpliwie nowy proces w Związku Sowieckim i w całym komunizmie. Proces ten nazywany jest zazwyczaj „destalinizacją”, co jest terminem bardzo nieokreślonym, powstałym z połączenia zachodniego „konsumpcyjnego” dżenikarstwa i mitomańskiego rezonerstwa komunistów. Skoro bowiem „stalinizm” nie jest niczym innym niż końcową konsekwencją komunizmu jako teorii i praktyki, to „destalinizacja” też nie może być niczym innym niż łagodzeniem, czy zastępowaniem innymi, już nie dających się utrzymać metod, aby uniknąć zmiany sa-

meo systemu... Nie ma komunizmu, który by w tej czy innej postaci, w tym lub innym stopniu, nie był również „stalinizmem”, ani też nie może być rzeczywistej destalinizacji, jeśli nie sięgnie ona do samych podstaw komunistycznego systemu... Nie chodzi bowiem o wypaczenie — przez Stalina czy kogokolwiek — dogmatu, ale o błędność, nieprzydatność dla współczesnych stosunków samego dogmatu z innej epoki. Nie rozumiejący tego Chruszczow — tak samo, jak inni antystalinowcy „leniniści” — nie potrafił przystąpić do zreformowania samego systemu. Nawet Dubczek nie odrzucił dogmatycznego gorsetu: zamiast instytucjonalnej demokracji w Czechosłowacji zapanowała anarchia...

XX Zjazd, pozornie powracający ku Leninowi i „leninizmowi”, postawił na to, aby monopolistycznej ideologii i monolitycznej partii — z której przecież rozwinęła się bezgraniczna stalinowska przemoc — przywrócić mitologiczny blask i kreatywną siłę społeczną. Ale zamiary wodzów, to jedno a skutki ich postępowania to zupełnie co innego: właśnie dlatego że „stalinizm” jest konsekwencją realnych, namacalnych cech marksizmu — a zatem i „leninizmu” — każda „destalinizacja” musi budzić niewiarę w ideologię marksistowską, a przez to również w system, który ideologia ta inspirowała. Najbrutalniejsze, najbezsensowniejsze formy przemocy zostały zarzucone ale jednak bezsens tej przemocy i potencjalnie i realnie pozostał, już choćby dlatego, że zachowane zostały jego fundamenty — monopolizm i monopolizacja. Rzeczywiste rezultaty XX Zjazdu KPZS i pokrewnych mu wydarzeń są o wiele poważniejsze, niż to zamierzali ich inicjatorzy: kraje wschodnioeuropejskie — włączając w to Związek Sowiecki — przestały być, każdy na swój sposób i miarę, dyktaturami totalitarnymi, chociaż pozostały dyktaturami z bardzo silnym totalitarnym dziedzictwem i totalitarnymi tendencjami.

Cały system wpadł w pełną sprzeczność, niebezpieczną i niemożliwą do rozwikłania sytuację: aby się utrzymać, musiał wyprzec się sam siebie, ściślej — swojego twórcy, Stalina. Istniały z tej sytuacji dwa wyjścia — radykalne reformy lub konserwacyzm. Siły konserwatywne były mocniejsze i wszystkie kraje wschodnioeuropejskie uległy konserwacyzmowi, zaś Związek Sowiecki w dziedzinie ideologicznej cofnął się nawet po usunięciu Chruszczowa i przekształcił w najkonserwatywniejszą biurokracjo-imperialną strukturę współczesnego świata.

Interwencja w Czechosłowacji wykazała niezbicie, że konserwatywny komunizm jest nie do utrzymania w żadnym kraju wschodnioeuropejskim bez obecności i wsparcia przez sowieckie czołgi. Płyną z tego jeszcze bardziej ważne wnioski: sowiecka biurokracja i zrośnięte z nią biurokracje krajów wschodnioeuropejskich bardziej boją się reform i reformistów niż „narodowego

komunizmu” i wypadnięcia z bloku. Interwencja zdołała jednak tylko stłamsić dążenia reformistyczne, ale ich nie wykorzeniła. Heretycy reformizmu panoszą się dziś nawet w Związku Sowieckim.

Etap „destalinizacji” przeszedł już do historii. Wschodnia Europa wkracza w okres walki o wewnętrzne, strukturalne przemiany, na co wskazują demonstracje robotnicze na polskim Wybrzeżu. Robotnicy Wybrzeża wystąpili w grudniu 1970 roku w imieniu Polski, która nie zginęła i której żadna siła nie zdoła wydrzeć z serc Jej dzieci. Pokazali oni wszystkim bojownikom o wolność, że walka ta nie jest próżna i że może przynieść bezpośrednio korzyści.

Rzuca się w oczy, że demonstracje na Wybrzeżu nie miały widocznego charakteru antysowieckiego. Nie może to jednak nawet w najmniejszym stopniu zmylić ani polskich, ani tym bardziej sowieckich wodzów: brak jawnego antysowiezmu wskazuje na to, że niezadowolenie i protesty są wyrazem kryzysu systemu społecznego. Demonstranci z Wybrzeża nie walczą już więcej o „narodowy komunizm”, czyli o „polską drogę do socjalizmu” tylko o swobody polityczne i sprawiedliwość społeczną. Sowiecka biurokracja, będąca hegemonem i żandarmem Wschodniej Europy, nie potrafi, nie może i nie uważa za wroga każdego ruchu demokratycznego, lecz tylko demokratyczny socjalizm, który wywodzi się ze struktur komunistycznych.

Zimna wojna skończyła się, „integracja” krajów wschodnioeuropejskich (RWPG) przyniosła zastój i dysproporcje ich ekonomiom. W wyniku dalekowzrocznych inicjatyw Brandta nastąpiło odprężenie w Europie: systemy komunistyczne zmuszone są do wzajemnej konfrontacji, a jednocześnie do większego otwarcia wrót na zewnątrz.

Zaburzenia na Wybrzeżu nie były i nie mogły być wywołane naciskiem z zewnątrz na Polskę Ludową. I dlatego były spontaniczne. To właśnie jest nauką i wskazaniem dla polskiego Wybrzeża: pokój, równość narodów i współpraca państw przyświecają, jak zawsze, bojownikom o rzeczywistość, nieokrojoną wolność.

A zatem bez względu na to, jakie wnioski zostaną wyciągnięte z zaburzeń na polskim Wybrzeżu, Wschodnia Europa — a w konkretnym przypadku Polska — nie jest już taka, jaką była... Gierka jest postacią mało znaną poza Polską. Język, jakim przemówił jest nowy jedynie o tyle, że jest niezbyt przejrzyisty. Życie w tej części świata nauczyło nas, że i to coś znaczy — czasami nawet coś pozytywnego. Możliwości Gierki są większe niż Gomułki, pod warunkiem... pod warunkiem, że dogmaty i schematy przyjmie za to, czym są w rzeczywistości, tj. za frazeologię i rytuał, jakimi musi się maskować swobodniejszy, żywniejszy byt Polski.

Bo chociaż sowiecka wierchuszka jest już zaniepokojona, a obecność sowieckich wojsk uniemożliwia szybkie, radykalne przemiany, to przecież „cicha woda brzegi rwie”...

A jeśli trzeba jeszcze komuś udowodniać, że komuniści i klasa robotnicza, a zatem komunizm, jako nauka i robotnicze ruchy emancypacyjne, mogą mieć ze sobą coś wspólnego — wyjąwszy specyficzne warunki i wyjątkowe momenty — to trudniej byłoby znaleźć bardziej drastyczny i przekonujący dowód, niż ten, jakim były zaburzenia na polskim Wybrzeżu. W każdym razie Polakom, robotnikom Wybrzeża, udzielono lekcji: po 25 latach władzy „robotniczej” partii i „budowy socjalizmu” „awangarda” nawiązuje z nimi więź przy pomocy czołgów i karabinów maszynowych... Partyjni biurokraci Wschodniej Europy nie należą jednak do tych, którzy są zdolni do nauczenia się czegoś z wydarzeń: oni już „przeanalizowali” „polskie” błędy i już zdążyli ogłosić, że u nich jest wszystko mniej więcej w porządku. Ale nie są spokojni: *Prawda*, nieprzypadkowo przecież w okresie *polskiego grudnia* rozpisała się o potrzebie trwałej więzi partii z klasą robotniczą i o produkcji towarów masowego spożycia. Niech analizują, niech się zachłystują — pouczą ich właśnie ci, w czym imieniu tak staromodnie, tak niestrudzenie i tak fałszywie przemawiają, albo wierzą że przemawiają...

Polscy studenci i intelektualiści wcześniej od robotników ostrzegali Gomułkę przed odstępstwem od polskiego patriotyzmu i przed ograniczaniem myśli. Ale on odwołał się do robotników. I właśnie od robotników dostał lekcję, chociaż i tym razem nie doszło do sojuszu robotników i intelektualistów: nie wszystko jeszcze dojrzało, nie nadeszła jeszcze pora na taki sojusz. Albowiem obecnie nie chodzi o walkę dawnego typu — dziś ani robotnikom nie jest potrzebny „wódz”, ani intelektualiści nie muszą nieść idei w masy: sami stanowią ową „masę”, bez której nie jest możliwy ani rozwój, ani sam byt narodowy. Rewolucyjność w tej części świata — to dziś moralny i intelektualny nonkonformizm, strajki, protesty i demonstracje. Ta część świata zakosztowała już smaku „prawdy ostatecznej” i „społeczeństwa doskonałego”: robotnicy polskiego Wybrzeża domagali się w imieniu wszystkich równych praw do zwyczajnego, znośnego życia, tak jak przed nimi polscy intelektualiści i studenci domagali się prawa do swobodnego myślenia... Bo czyż nie są to dwa niepodzielne elementy ludzkiego istnienia?

Milovan DŽILAS

Styczeń 1971

(Przełożył Jan Kligert)

(Artykuł napisany specjalnie dla *Kultury*)

Oświadczenie

Kiedy wybuchła rewolta robotnicza w polskich stocznich nadbałtyckich, wielu z nas oczekiwało wiadomości o jej reperkusjach wśród studentów i intelektualistów w pozostałych częściach kraju. Zwłokę w ich przenikaniu przypisywaliśmy początkowo cenzurze. W końcu jednak trzeba się było pogodzić z faktem, że akcja rewolucyjna robotników znalazła się na nieszczęście w izolacji. Dalsze wiadomości o ruchu na Wybrzeżu potwierdziły, że chodziło nie o wrzenie typu korporacyjnego, ale o rewindykację natury ogólnej, niektóre wyraźnie polityczne, jak na przykład prawo wyłaniania od dołu, bez interferencji biurokratycznych, komitetów zakładowych. Jeszcze bardziej więc zaskakiwało milczenie studentów i w ogóle intelektualistów.

Dojrzałość polityczna robotników Trójmiasta i Szczecina wyraziła się w trwaniu rewolty, w zlekceważeniu pojedynczego tonu prasy rządowej, w zbiorowej dyscyplinie, w solidarności z aresztowanymi, w śmiałym stawianiu czoła Gierkowi, gdy zjawiał się wreszcie w rejonie objętym buntem. Z całą pewnością wolno powiedzieć że ich walka nie okaże się daremna, sporo zdaje się wskazywać na to że odcisnęła swój ślad nawet w Rostoku i w Królewcu. Ale wielu z nas sądzi że gdyby do robotników polskich przyłączyła się inteligencja polska — przed procesem demokratyzacji w Polsce otworzyłaby się nowa perspektywa. Naturalnie nie ośmielam się potępiać postawy, której najzwyczajniej nie umiem sobie wytłumaczyć. Mam nadzieję że idzie tu o przejściową dezorientację, podsycaną krótkotrwałymi złudzeniami na temat tego co mimo wszystko będzie w stanie dać Gierek. Chciałbym jedynie dodać, że proste i jasne słowa wypowiedziane ostatnio przez strajkujących w polskich portach nadbałtyckich mogą, moim zdaniem, wskazać początek właściwej drogi do odrodzenia ruchu socjalistycznego poza aparatami dyktatury.

Ignazio SILONE

30 stycznia 1971

(Napisane specjalnie dla *Kultury*)

Kraj

List do Gustawa Grudzińskiego

Drogi Panie,

Odzywam się po dłuższej przerwie, zapewniam jednak że były po temu przyczyny usprawiedliwiające. Mam nadzieję, że mimo tej przerwy i może właśnie na jej tle zainteresuje Pana mój obecny pogląd na nasze domowe sprawy, pogląd człowieka o długim stażu krajowym. Prawda, nie tylko człowieka, także „intelektualisty”...

Przy nieczęstych zetknięciach z zeszytami *Kultury* stale odnosiłem wrażenie, że: a) nie we wszystkim zgadzam się z Wami, b) mam dla Was szczery szacunek.

Punkt b) jest łatwiejszy do uzasadnienia, jesteście bowiem jedynym pismem, które przemawia pełnym głosem o tym co dzieje się w Polsce. A to niemało przy dzisiejszym scentralizowanym spodzeniu i kłamstwie, jakimi codziennie u nas się oddycha.

Punkt a) wymaga szczegółowych uzasadnień oraz paru akcentów polemicznych.

Jeśli słusznie oceniam Wasze poglądy, to nie mogę zgodzić się przede wszystkim z Waszym pojęciem Kraju jako społeczeństwa zdolnego obecnie do stworzenia polskiej koncepcji stanu, która by określiła przyszłe miejsce i znaczenie Polski w świecie. Przyszłe, bo możliwe dopiero w momencie rozpadnięcia się lub wewnętrznego kryzysu ZSRR. Mając zaś na myśli polską koncepcję stanu rozumiecie przez to, jak sądzę, sposób ułożenia swoich stosunków z siłami zewnętrznymi, które od wieków kształtowały losy państwowości polskiej, a więc przede wszystkim z Rosją.

I tutaj pierwsza wątpliwość. Przypuszczam, że nie w pełni zdajecie sobie sprawę z przerażającego położenia wewnętrznego w jakim znajduje się obecnie Polska. Normalna, żywa tkanka społeczna w Kraju gnije, ludzie żyją tu zubożeniem albo zgrozą. Reszta żeruje na tym gniciu. Nikt nie wierzy w realne, społeczne szanse myślenia. Najbardziej świadomi rzeczy nie wierzą nawet w celowość protestu, bo może go przechwycić i zdyskontować

„druga władza”, mafia kierująca tysiącami młodszych aparatczyków, przytupujących niecierpliwie na drodze do karier. W obecnej władzy ukryta jest druga, od niej pochodząca. Ta druga, współrządzająca ale jeszcze nie w pełni nasycona władza (zwana „partyzantami”, „zbowidowcami” lub „młodymi”) dąży do obalenia władzy nominalnej, sklerotycznej, stosując liczne metody deprawacji, powiększając rozprężenie gospodarcze i konsekwentnie obsadzając biurka, katedry oraz szczeble terenowego aparatu. Na trupie starej władzy wyrasta grzyb nowej, młodszej. Masy tego nie widzą, nie umieją tej diabolicznej sytuacji przeniknąć i może znowu za jakiś czas oddadzą głosy do urn swoim przyśłym strażnikom i dozorcóm.

Świadomość tego stanu rzeczy jest tak rozpaczliwa, że paraliżuje umysły. Nie podobna myśleć w kategoriach państwowych, historycznych, w społeczeństwie pchanym w przepaść. Nie można rozumować stacząc się z pochyłości.

W tym upatruję pierwszą przyczynę, dla której narodziła się w Kraju polskiej koncepcji stanu jest praktycznie niemożliwe. W sytuacji zagrożenia twórczej myśli, i wobec możliwości wykorzystania społecznego aktu przez pomarcowych arywistów, myślenie o sprawach żywotnych Rzeczypospolitej obraca się w pustkę. Już nie „umysły zniewolone”, lecz obezwładnione przygnębieniem pędzą smutną egzystencję po ciosach pałek, które spadły na głowy i w oczekiwaniu na następne.

Teraz druga wątpliwość. Myślę bowiem, że Polska nie tylko nie ma i mieć dziś nie może swej historycznej koncepcji wytworzonej przez najlepsze umysły w Kraju, ale koncepcji takiej od dawna nie miała. Nie miała koncepcji swego współżycia ze światem, ponieważ nie miała koncepcji siebie samej. Jeśli zaś podobna koncepcja w krótkich okresach wyłaniała się, to szybko gasła w mrokach. Ale nie tylko w nocy kataklizmów zewnętrznych — również, lub może przede wszystkim, w oparach rodzimej ciemnoty. Kontrreformacji i skonfederowanych rokoszów, rzezi inteligencji szlacheckiej czy wściekłej antysemitki (podsycanych przez aparaty zaborcze), aż po rasistowski i prohitlerowski nacjonalizm przedwojenny, po falangę biurokratyczno-policyjną która chwyciła za pałki w marcu 1968.

Nie pierwsza władza w Polsce kończy na obskuranckim szowinizmie i tupaniu oficerskim butem. Korzenie obecnej degrengolady państwa i społeczeństwa polskiego tkwią w zdradzie jałtańskiej, to prawda. Lecz prawdą jest również, że sięgają dalej i głębiej — w grunt ojczysty.

Który kraj, bodaj nawet z bloku komunistycznego, wydał z siebie tak odrażające niesamowitości jak PAX i ZBOWiD? A trzeba pamiętać, że nie są to produkty importowane. PAX jest dalszym ciągiem nazistowskiego ONR, zaś ZBOWiD reinkarnacją faszystowskiego OZONu. Lata 1930-te w Polsce były złe.

40 lat temu Józef Piłsudski nie rzucił hasła reform społecz-

nych. Po zerwaniu z lewicą, która utorowała mu drogę do władzy, oparł się na mafii wojskowo-policyjnej, która z kolei po jego śmierci szybko zawarła sojusz z „młodymi”, z rasistowskim, totalitarnym nacjonalizmem. Gdyby po roku 1926 odwołał się był do tych warstw społecznych które oddały mu głosy w wyborach, i wysunął projekty reform, Polska miałaby szanse stać się krajem demokratycznym o zdrowych podstawach społeczno-gospodarczych, bardziej zbliżonym do ówczesnej Czechosłowacji niż Rumunii. W 10 lat później obydwie demokracje, polska i czechosłowacka, zagrożone przez hitlerowskie Niemcy, mogłyby razem stawić czoła niebezpieczeństwu i zapobiec katastrofie środkowej Europy. W każdym razie nie skończyłyby się na „getcie ławkowym” w polskich szkołach wyższych, na Berezie i polskich czołgach w Zaolziu.

Gdyby w roku 1956 Władysław Gomułka, zamiast oprzeć się na grupie półinteligentów, otoczył się fachowcami, zaufał społeczeństwu co go wyniosło do rządów i zaczął choćby częściowo realizować reformy wysunięte przez Październik — nie skończyłyby się na pałkach w Marcu, na komunistycznym rasizmie i interwencji polskich czołgów w Czechosłowacji.

Ale może najmniej chwalebny jest fakt, że w obu wypadkach część społeczeństwa przyjęła do wiadomości zarówno kurs na faszyzm jak interwencję w Pradze (nie pojmując, że to automatycznie oznacza interwencję w Warszawie), hasła zaś antysemitki skwitowała półprobatorywnym milczeniem.

To jest niepokojące dlatego, że zdarza się nie pierwszy raz i jest tak bardzo za drugim razem podobne, mimo że w układzie radykalnie zmienionych okoliczności. 30 parę lat temu, jak i dziś, liczni Polacy bez oporu, a być może z niejaką ulgą, powitaliby „rządy narodowe” (wtedy ozonowo-paxowskie, dziś paxowsko-zbowidowskie) nie zastanawiając się bliżej nad źródłem ich powołania, ich funkcją moralno-społeczną, nad przeszłością nowych mężów opatrnościowych i prawdziwym fachem nowej ekipy.

Skutek dezorientacji, propagandy, zmęczenia. Ale czy jedynie? Czy nie myśli Pan, że mszczą się na nas braki w edukacji społecznej? Niedołęstwo obecnej ekipy kierowniczej (oraz cynizm współrządzających z nią rywali) nie tłumaczy wszystkiego. Od 200-250 lat, z krótkimi antraktami, nie działają w Polsce instytucje publiczne wyłonione przez społeczeństwo: parlament, rząd, niezależne trybunały, wolne uczelnie, jawne partie polityczne, kontrola rządu ze strony opozycji itp. Dzięki tym instytucjom wychowuje się naród, one mają kanalizować tkwiące w zbiorowości i jednostce instynkty odśrodkowe, strzec dopuszczalnych proporcji między racjonalizmem a szaleństwem oraz równoważyć nadmiar głupoty i egoizmu, zjawiska te bowiem w nadmiarze prowadzą do zbiorowych nieszczęść.

W Polsce ciągłość owych instytucji rwała się od dwóch i pół wieku, odradzając się na okresy kilku czy kilkunastu lat w ukamkowanej i przelotnej formie (lata 1807-1815; 1918-1929; potem 1955-1957...). Można by wysunąć twierdzenie, że jedyną instytucją edu-

kacji społecznej, która w Polsce zachowała ciągłość przez ostatnich 200 lat (nie licząc ubiegłego okresu tresury urzędniczo-policyjnej) był Kościół. Dokładniej mówiąc, polski kler katolicki, zacołany w najklasycywniejszym znaczeniu. Nie chcę bynajmniej przekreślać chlubnych wyjątków, doceniam piękne przykłady moralnej czystości garstki oświeconych katolików polskich. Mam jedynie na myśli rolę kleru w wychowaniu pokoleń: krzewienie parafialno-nacjonalistycznych pojęć, przesądów religijnych, uprzedzeń społecznych oraz uległości wobec klas posiadających.

Produktem owego wychowania były również, w przeważającej większości, roczniki wojenne. 75 % Akowców miało dusze ofiarne, ale poczciwie endeckie. Jak ułożyły się ich późniejsze losy, o tym wiemy. Lecz gdyby wyobrazić sobie skrajnie odmienny przebieg wydarzeń (np. po roku 1945 Polska zostaje objęta strefą wpływów Zachodu), obawiam się że pokolenie to byłoby tak samo wystawione na pokusy mocarstwowo-nacjonalistyczne, jak wystawiona na nie była młodzież polska w latach 30-tych.

W czasie okupacji położono niemal wyłączny nacisk na opór zbrojny, lecz nie przygotowano młodzieży do sprostania podstawowym zagadnieniom społecznym, jak sprawa chłopska, robotnicza, stosunek do mniejszości, współzycie z krajami sąsiedzkimi, pogląd na przeszłość historyczną. Polska demokracja okazała się słaba. Oficerowie potrafili wpajać w młode dusze obowiązek walki z najeźdźcą, milcząc o obowiązku solidarności wobec obywateli polskich zamkniętych w gettach i skazanych na zbiorową śmierć. W archiwach polskiego Ruchu Oporu (z PPR i AL włącznie) są dekrety ustanawiające karę śmierci za wydanie okupantowi członka organizacji podziemnej, ale nie ma podobnego dekretu w wypadku wydania w ręce okupantów obywatela polskiego narodowości żydowskiej. Nie można obciążać Polaków winą za wymordowanie Żydów, ponieważ wymordowali ich Niemcy. Ale na instytucjach ówczesnej władzy polskiej ciążyć będzie odpowiedzialność za niedopełnienie obowiązku wobec najliczniejszej mniejszości narodowej w kraju, który w swej konstytucji zrównał tę mniejszość w prawach z całym społeczeństwem.

Pisze się często o „duszy rosyjskiej”. Nie jestem zwolennikiem tłumaczenia postaw czy sytuacji społecznych, politycznych fenomenem „duszy narodowej”. Ale skoro tyle mówi się o tej „duszy”, to przypomnijmy sobie, że zagraniczni specje od spraw komunistycznych, zastanawiając się nad różnymi możliwościami w krajach bloku po ewentualnym rozpadnięciu się ZSRR, w punkcie „Polska” piszą najspokojniej: zwyciężyłby tam jeden z kierunków nacjonalistycznych. A więc to jest „dusza polska”? Mimo wszystko nie jestem tego zdania.

Chodzi jednak o sporządzenia rachunku strat i bilansu własnej niedojrzałości. Nie wszystko chyba dokonało się za sprawą obcej przemocy. Nie tylko na skutek interwencji z zewnątrz, lecz także z przyczyn rodzimych Październik nie wyłonił prawdziwych demokratycznych przywódców i nie pozostawił swych 2000 Słów. Demokracja czeska okazała się dojrzała.

Spytajmy samych siebie, dlaczego po kolei odtrącałiśmy narody z którymi łączyły nas historyczne związki: Czechów, Żydów, Ukraińców, Litwinów? Któryż to raz oświecenie polskie przegrywa z prywatą i chamstwem? Ile razy oszukiwaliśmy się własnymi złudzeniami, lokując nadzieje narodowe w zmitologizowanych wizerunkach zbawców (od Bonapartego i Chłopickiego do Piłsudskiego i Gomułki), których rzeczywiste intencje były odwrotne w stosunku do tych, jakie im w Polsce przypisywano? Kajetan Morawski nazwał to „polską tragedią omyłek”. Jej kolejny epizod może się niebawem rozegrać, a jeżeli nie zadržemy przed szkodą, gotowiśmy sami do niego przyłożyć ręki. Byłby to epizod w porównaniu z poprzednimi najnędniejszy.

Chwila jest szczególnie ciężka, na Polskę spadają ciosy wymierzone w te centra układu społecznego, które w ciągu dwóch ubiegłych wieków ratowały jego spoiwość. W ośrodki świadomości i etyki obywatelskiej, w wychowanie, kulturę i wymiar sprawiedliwości. Wzięto pod but policyjny naukę i senaty szkół wyższych. W Polsce ludzie, którzy nie zatracili poczucia związków z narodem, są dziś pogrążeni w prostracji, a triumfuje kanalia. W Polsce wraz z wyeksploatowanymi, zbiedniałymi masami ludności wegetuje dziś garść rozbitej i zaszczutej inteligencji demokratycznej, która zadaje sobie pytanie: co robić?

Zadaję to pytanie nie po to, aby pogłębiać w sobie poczucie osobistego dramatu i bez akcentów retorycznych. Uczono nas, że w Polsce budziły się w podobnie ciężkich okresach nieoczekiwane złoza sił i możliwości, które pomagały społeczeństwu przetrwać własny upadek. Dziś wraca się myślami do lat po upadku powstań narodowych. Trzeba sobie wreszcie uświadomić, że robotniczo-studencki Październik i studencki Marzec *razem wzięte* to było powstanie narodowe (łącznie z represjami, które nadal trwają), powstanie rozciągnięte w czasie, rozczłonkowane na eksplozje i klęski, na wzloty i karne ciosy pałek — w ciągu kilkunastu lat. Jeśli w tych kategoriach oceni się obecną polską rzeczywistość, wtedy nieodparcie nasunie się następna myśl, że po okresie upadku i zgnojenia społeczeństwo z czasem wytworzy nowe formy oporu. W jakim stopniu będą to formy pozytywistyczne a w jakim rewolucyjne, na ile będą prowokowane przez frakcje reżymu, na ile zaś wyłonione przez rzeczywistą samoobronę społeczeństwa, to trudno przewidzieć. Nie wszystko w przeszłości było jednoznaczne, historycy na przykład biorą pod uwagę możliwość, że Powstanie 1863 roku wybuchło na skutek zręcznej prowokacji „ultrasów” z otoczenia Aleksandra II. Nie wszystko można wywróżyć z historii, która powtarza się niedokładnie i przynajmniej w szczegółach jest zaskakująca.

Prawdą, o jakiej również zapominać nie należy, jest zdolność Polaków do zrywów w obronie wolności. Pisałem tu gorzko o jednej stronie polskiej tradycji, tej gorszej. Istnieje druga, wspaniała. Ta co każe gardzić niebezpieczeństwem w chwilach sprawiedliwej nienawiści. Ta sama, która wydała rok 1788, 1794

i 1905, 1831 i 1863, 1939, 1944 i 1956. Rzecz jakże ciekawa, że te zbiorowe czyny narodowe nie były zeszecone nacjonalizmem — miały charakter demokratyczny. Bo demokracja w Polsce nie triumfuje; przenika naród w dniach najcięższych prób i przegrywa wraz z nim. Ale dzięki demokracji polskiej jesteśmy narodem wybitnym.

Następną godną zapamiętania rzeczą jest fakt, że Polska mimo swej półtorawiekowej walki nie odzyskałaby niepodległości po okresie rozbiorów, albo odzyskałaby ją znacznie później, gdyby nie wojna 1914-1918. W ostatniej instancji o losach krajów uciskanych decyduje raptowna zmiana sytuacji światowej, zawalenie się *establishment'u* w skali kontynentalnej. Tym razem owa zmiana miałaby prawdopodobnie nieco inny, nie wojenny charakter; jest wiele realnych danych na to, by spodziewać się w niezbyt odległym czasie głębokich wstrząsów wewnętrznych w ZSRR. Wydarzenia w takiej skali mogłyby zmienić położenie Rzeczypospolitej niemal z dnia na dzień.

Lecz to są przewidywania i nadzieje. Podstawowa odpowiedź na pytanie *co robić* musi tkwić w nas, w ludziach. Obojętne czy jesteśmy Polakami za granicą czy w Kraju. Słyszałem, że od rodaków z Londynu dochodzą do Was głosy uskarżające się na zbyt dużą ilość nazwisk brzmiących po żydowsku w ostatnich zeszytach Waszego miesięcznika. Ludzie tacy, jak ci co te listy pisali, zmarnują każdą Polskę. Czy zawsze przez tych durniów będziemy pośmiewiskiem świata?

Nie jest najistotniejsze gdzie kto żyje, w Polsce czy poza Polską, rzecz w tym co się z tą Polską robi w sobie i wobec ludzi. Wystąpiłby Pan z cenną inicjatywą projektując w Waszym Instytucie Wydawniczym edycję ukazującą *jedność* współczesnej kultury polskiej. Wyobrażałbym ją sobie w postaci obszernego tomu, czy kilku, obejmujących prace naukowców, pisarzy, artystów i publicystów z Kraju i spoza Kraju, według jedyne go kryterium — humanistycznej wartości.

Co robić? W oczach studentów odczytuję to pytanie w 3 lata po Marcu. Myśli się konkretniej: wyjechać czy zostać? zniechęcić albo zobojętnieć? zacisnąć zęby tutaj czy zapomnieć... w Kanadzie?

Każdy musi to we własnym zakresie rozstrzygnąć. I rozstrzyga. Można jednak z całkowitą pewnością przewidzieć, że nie wszyscy wyjadą, nie wszyscy zobojętnieją i nie wszyscy zapomną. Ci, co zostaną, zapamiętają. I jest to być może jedyna niewzruszalna pewność w naszych dziejach od przeszło dwóch stuleci.

Przykro mi, że wylałem w tym liście tyle żalów. Polska za sługuje dziś przede wszystkim na współczucie, losy Polaków są chyba najcięższe wśród narodów europejskich. Moim usprawiedliwieniem jest może to tylko, że w nich uczestniczę.

Nie wiem czy mój list mógłby Panu do czegoś się przydać. Być może należałoby to wszystko zachować przy sobie. Ale jeśli do czegoś się przyda, proszę bardzo korzystać i czerpać obfitą

garścią. Z jednym zastrzeżeniem: w druku nie mogę go podpisać, rozszarpią. Niech lepiej pozostanę „autorem listu” lub „korespondentem”. Pozdrawiam serdecznie.

KORESPONDENT



List ten otrzymałem w Paryżu przez okazję 15 grudnia 1970. Wręczający otrzymał go w Warszawie do przekazania w pierwszych dniach grudnia. Autor listu jest osobą znaną w polskim świecie kulturalnym. (*Gustaw Herling-Grudziński*).

Odpowiedź

Drogi Panie,

Nie wiem czy przy nieczęstych zetknięciach z zeszytami *Kultury* miał Pan okazję przeczytać nadesłany do niej, przed rokiem blisko, z kraju szkic Zenona Mielnickiego *W polskich oczach*. Na wszelki wypadek przypominam jego główną myśl. Robię to na Pana i mój użytek: Pan zobaczy może w szerszej perspektywie swój list, mnie łatwiej może będzie nań odpowiedzieć.

Osią długich refleksji Mielnickiego jest następujące twierdzenie: „Właśnie Polakom dane jest wyjątkowo ostre widzenie spraw rosyjskich, tu tkwi ważna strona ich wkładu do europejskiego dorobku, oto głęboki dzisiejszy sens tak nierozumianego pojęcia Przedmurza”. Przedmurzem ma być przeciwstawienie wszystkiego, czym szczęśliwie (według Mielnickiego) dysponujemy, „duszy rosyjskiej” nieodwołalnie napiętnowanej i odepchniętej za jej „maksymalizm”: a więc naszego „kształtu polskości”, naszej „misji cywilizacyjnej”, naszego „oryginalnie polskiego punktu widzenia”, naszej „jedyniej integralnej i niepodległej tradycji wewnątrz dzisiejszej orbity rosyjskiego maksymalizmu”. Byłoby rzeczą zbyt prostą a nawet prostacką skwitować wzruszeniem ramion szkic Mielnickiego, widząc w nim tylko wybuch megalomanii narodowej, dość nieoczekiwany w obecnej chwili. Manifest wskrzeszonego polskiego Przedmurza jest w rzeczywistości programem polskiego Obłązonego Miasta. Polska ostryga, zamknięta szczelnie w swojej skorupie, obiecuje sobie utoczyć po cichu perłę którą kiedyś z okrzykiem podziwu oceni zdumiony i wdzięczny świat. Można także posłużyć się innym porównaniem, jak Hanna Kostek w przysłanej z kraju do *Kultury* odpowiedzi na artykuł Mielnickiego: *Struś a sprawa polska*. Kluczowe zdanie

tej odpowiedzi brzmi: „To co Mielnicki proponuje jest dumnym chowaniem głowy w stary, polski piasek”. Dodajmy: w stary, polski piasek starej, wyanielonej „duszy narodowej” Polaków jako odwrotności starej, zdemonizowanej „duszy narodowej” Rosjan.

Mielnicki wskazuje swoich mistrzów, są nimi Jan Kucharzewski i Marian Zdziechowski. Ale Zdziechowskiego czytał albo nieważnie, albo nie w całości. Przytacza koronne świadectwo z *Wpływów rosyjskich na duszę polską*, natomiast pomija to co w *Widmie przyszłości* Zdziechowski pisał w związku z opinią Stanisława Grabskiego o „duszy rosyjskiej zgoła różnej od duszy europejskiej”. A pisał tak: „Nie godzę się z tym, może dlatego że Rosję znałem mało i że patrzałem tylko na duchowe szczyty myśli rosyjskiej. Lecz wielu z jej najznakomitszych przedstawicieli znałem z bliska, i z niektórymi łączył mnie stosunek serdeczny. Byli to ludzie *organicznie związani z kulturą zachodnią* (podkreślenie Zdziechowskiego)”. Domyśla się Pan zapewne w jakim celu zabawiam się kosztem Mielnickiego w pedanta. Nie żęby włączyć się ochoczo do dyskusji o rosyjskiej czy polskiej „duszy narodowej”. Wprost przeciwnie — żęby z góry ostrzec polemistów, że wkraczają na śliski i grząski grunt. W pierwszym rzędzie Pana, skoro to z Panem właśnie mam polemizować.

Bo wbrew deklaratywnym zapewnieniom, i Pan jest zwolennikiem tłumaczenia sytuacji społecznych i politycznych fenomenem „duszy narodowej”; i Pana również list napisany jest z polskiego Oblężonego Miasta. Różnicę stanowi rodzaj piasku. Podczas gdy Mielnicki chowa głowę w piasek rzekomej polskiej wielkości i oryginalności, Pan chowa ją w piasek rzekomej polskiej małości i nijakości. W obu wypadkach Polakom nie pozostaje nic innego jak czekać: albo na klęskę oblężycieli i własny triumf, albo na ostateczną kapitulację i zagładę. W ujęciu Mielnickiego polska „dusza narodowa” szybuje na skrzydłach „jedynej integralnej i niepodległej tradycji” w orbicie rosyjskiej; w Pana ujęciu tarza się w rodzimym chlewiku ciągot faszystowskich, antysemityzmu i endeckości. Brzozowski mógłby tu sporo powiedzieć o chronicznej dezorientacji i bezzadności inteligencji polskiej, jakkolwiek sam nie zawsze był jej najlepszym wychowawcą; Zdziechowski, tak adorowany przez Mielnickiego, mógłby tu powtórzyć co w *Bolszewizmie rosyjskim i półbolszewizmie polskim* pisał o inteligencji polskiej „kierującej się samymi tylko nastrojami”. Ale odłóżmy to na później. Teraz chciałbym Panu zwrócić uwagę na pewien drobiazg, pozornie marginesowy w istocie bardzo symptomatyczny. Rozprawiając się z „polską duszą”, w którą Pan mimo tylu zastrzeżeń i zaprzeczeń jednak wierzy, powołuje się Pan na taki dowód jej istnienia: „Przypomnijmy sobie, że

zagraniczni spece od spraw komunistycznych, zastanawiając się nad różnymi możliwościami w krajach bloku po ewentualnym rozpadnięciu się ZSSR, w punkcie „Polska” piszą najspokojniej: „zwyciężyłby tam jeden z kierunków nacjonalistycznych”. Wie Pan dlaczego tak piszą? By dać delikatnie do zrozumienia swoim czytelnikom, że co prawda komunizm nie głaszcze Polaków po głowach, ale w Polsce jego alternatywa byłaby jeszcze gorsza; to znakomicie wpływa na spokój sumień i polityczny system trawienia cudzej niewoli w stolicach „wolnego świata”. Wie Pan kim są ci „zagraniczni spece od spraw komunistycznych”? Przeważnie absolwentami szkółki nieboszczyka Deutschera. Należy pamiętać co „zagraniczni spece od spraw faszystowskich” pisali niegdyś w „wolnym świecie” o włoskim faszystwie: że co prawda nie jest najmilszym z ustrojów na naszym smutnym padole łez, ale dla Włochów w sam raz, pasuje do nich jak ulał, każda alternatywa byłaby wielokrotnie gorsza, znowu knąbrni i bałaganiarscy mieszkańcy boskiego Półwyspu podcieraliby sobie tyłki rozkładem jazdy pociągów. Wśród tych „speców” byli tacy prominenci z „oboza postępu” jak Emil Ludwigo i Stefan Zweig; mało znaczący nawet to, że pokrewny ustrój wygnał ich z ich własnej ojczyzny. O rozkładzie jazdy pociągów przestano mówić w „wolnym świecie” dopiero wówczas, gdy Mussolini wprowadził pod naciskiem Hitlera „ustawy rasowe”.

Zatrzymajmy się jeszcze we Włoszech. Mieszkam w tym kraju od piętnastu przeszło lat, nauczyłem się szybko lubić i cenić u Włochów głęboką ludzkość, inteligencję, trzeźwość, sceptycyzm i wstręt do fanatyzmu, nie zamykając naturalnie oczu na dziesiątki ich wad i przywar. O faszystwie wiedziałem jedynie tyle, ile mogłem wyłuskać z książek i opowiadań *viva voce*. Któregoś dnia, w rok bodaj po osiedleniu się w Neapolu, poszedłem do kina na film dokumentarny *All'armi siam fascisti*. Był to długometrażowiec sklejonny bardzo zręcznie z kronik filmowych dwudziestolecia, pod tytułem nawiązującym nie bez odcienia ironii do naczelnego hasła „czarnych koszul”: *Do bronì, jesteŹmy faszystami*. Siedziałem dwie godziny w ciemnościach małej salki na peryferiach miasta z wypiekami wstydu i upokorzenia na twarzy. A więc tacy byli *wtedy* ci moi ludzcy, inteligentni, trzeźwi, sceptyczni i antyfanatyczni Włosi? Takie były te setki tysięcy ludzi, wrzeszczących, wyjących, podskakujących, plujących, klaszczących, przytupujących z uciechy, wpatrzonych ekstazy w wzrokiem w numer cyrkowy dziesięciorzędnego aktorzy i kaboty na balkonie Pałacu Weneckiego? Tak, na jego pytanie epileptyka politycznego *A chi impero?*, odpowiadały rykiem z jednej piersi *A noi, a noi!*? Nie ukrywam przed Panem, że na jakiś czas był to dla mnie prawdziwy wstrząs. Wyzwoliłem się z niego,

napisawszy opowiadanie *Książę Niezłomny*: próbę spojrzenia na okres faszyzmu włoskiego przez pryzmat postaw z jednej strony emigranta wewnętrznego, a z drugiej emigranta rzeczywistego. Zrozumiałem po prostu, pisząc moje opowiadanie, że człowiek jest wszędzie taki sam w obliczu problemów ostatecznych, przede wszystkim śmierci której nie potrafi przyniknąć we własnym doświadczeniu; ludzie i narody natomiast ulegają, w tym co dobre i w tym co złe, okolicznościom i ustrojom w których dane im jest żyć. Wkrótce po incydencie z *All'armi siam fascisti* otrząsnąłem się zatem z mojego „włoskiego” przygnębienia, polubiłem na nowo Włochów bez przesadnego i ślepego poddawania się tej sympatii, a ich szmatławą „duszę narodową” w stylu owego filmu miałem sposobność oglądać raz jeszcze po kilku latach na wielkim wiecu Togliattiego w Neapolu. Byłem już jednak dostatecznie immunizowany przeciw zbyt pochopnym wnioskom, nie zrobiła na mnie wrażenia nawet obserwacja towarzyszącego mi tubylca że w tłumie rozkołysanym okrzykiem *Pal-mi-ro, Pal-mi-ro* nie brakowało osób, które za młodu skandowały *Du-ce, Du-ce* i w inny znak układały wzniezione do góry dłonie.

Rozpisałem się na tematy włoskie. Wróćmy do Pana listu: „Który kraj, bodaj nawet z bloku komunistycznego, wydał z siebie tak odrażające niesamowitości jak PAX i ZBOWiD?”. PAX i ZBOWiD oceniam podobnie jak Pan i ani myślę minimalizować ich złowrogię funkcji w dzisiejszym życiu polskim, ale w kontekście Pana listu wygląda to trochę tak jakby Pan w roli diagnosty naszych chorób narodowych załamywał ręce nad świerzbem u pacjenta chorego na raka. Rakiem jest komunistyczna dyktatura policyjna, z parchami wysypek ubocznych czy bez nich. I zaatakował on wszystkie kraje podbite (lub, jeśli kto woli, „oswobodzone”) przez Związek Sowiecki, łącznie z bogatą w tradycje demokratyczne Czechosłowacją. Posunąłbym się dalej: proces chorobowy w swym najcięższym stadium był o wiele dotkliwszy w Czechosłowacji niż gdzie indziej, o czym łatwo się przekonać czytając pamiętnik Artura Londona. Może dlatego właśnie Karel Kosik, młody praski filozof marksistowski, poświęcił „kryzysowi narodu” jeden z rozdziałów swej książeczki *Nasz obecny kryzys*. Warto posłuchać ekspertyzy tego Czecha. Żaden naród nie jest raz na zawsze zdeterminowany przez swoją przeszłość, ani w tym co dobre ani w tym co złe. Jeśli jakiś naród zdołał sobie stworzyć w przeszłości wielką tradycję demokratyczną, nie oznacza to bynajmniej że sens demokracji jest mu niejako z natury dany na dziś i na jutro. O własny charakter narodowy walczy się bez przerwy, powstaje się lub upada jako naród codziennie. Nigdy nie znika całkowicie groźba zniaczenia narodowego, tym podstępniejsza im słabiej dostrzegalna dla gołego oka. Bywają

przeobrażenia w których naród, zachowując swoje cechy powierzchowne, zatracą swoją twarz i zamienia się w tłum producentów i konsumentów związanych jedynie wspólnym językiem ojczystym.

Nie trzeba wyjaśniać o jakich „przeobrażeniach” pisze Kosik. Tłum zamiast narodu widuje się we wszystkich reżymach totalitarnych, niezależnie od takiego czy innego dziedzictwa przeszłości. Starczyło po wojnie kilku lat, by zdruzgotać i zemleć na prosek demokrację czeską. Rzecz jasna, wolimy dzisiaj wspominać Praską Wiosnę i „nowy kurs”. Powiada Pan: „Chodzi o sporządzenie rachunku strat i bilansu własnej niedojrzałości. Nie wszystko chyba dokonało się za sprawą obcej przemocy. Nie tylko na skutek interwencji z zewnątrz, lecz także z przyczyn rodzimych, Październik nie wyłonił prawdziwych demokratycznych przywódców i nie pozostawił swych 2000 Słów. Demokracja czeska okazała się dojrzalsza”. W moim przekonaniu nie jest to wyłącznie kwestia większej bądź mniejszej dojrzałości otrzymanych w spadku wzorów demokracji, choć nie posądzę mnie Pan z pewnością o lekceważenie dobrej szkoły Masaryka i wagi podstawowych instytucji demokratycznych w międzywojennej Czechosłowacji. Odwołuję się powtórnie do surowych sądów Brzozowskiego i Zdziechowskiego o inteligencji polskiej. W 1956 roku błysnęła ona starym zwyczajem całą swoją łatwopalną emocjonalnością, z uszczerbkiem dla cnót wytrwałości i konkretności, i wypaliwszy się spoczęła na spopielenych laurach. Czesi wynieśli przynajmniej z roku 1968 rewolucyjny sojusz robotników i intelektualistów, który wbrew ciosom i porażkom ma szansę przetrwania do lepszych czasów. My wynieśliśmy z października 1956 i z marca 1968 zjawisko zmęczonych i rozgoryczonych bohaterów. To nie moje urojenie, powołuję na świadka Kołakowskiego: „Główną słabością lewicy nie był fakt że wyrosła z negacji, ale fakt że jej negacja doszła do poziomu moralnego protestu, a nie do poziomu myślenia praktycznego. Lewicowość, która zatrzymuje się na stadium przeżycia moralnego, jest mało skuteczna praktycznie. *Katzenjammer* nie jest stanowiskiem politycznym”. Sam *Katzenjammer* bez programu rodzi *Poemat dla dorosłych* Ważyka albo opowiadania Brandysa, a nie polskie 2000 Słów.

Pana okrzyk na temat PAXu i ZBOWiDu ma swój dalszy ciąg: „Trzeba pamiętać, że nie są to produkty importowane. PAX jest kontynuacją nazistowskiego ONR, zaś ZBOWiD reinkarnacją faszystowskiego Ozonu. Lata trzydzieste w Polsce były złe”. Mniejsza o ścisłość tych powinowactw, wchodzimy w każdy razie na teren dwudziestolecia. Jeżeli mnie coś uderza w zestawione przez Pana liście jego hańb (getto ławkowe na uniwersytetach, Bereza, Zaolzie), to brak Brześcia oraz burzenia cerkwi na Wołyniu i na Polesiu. Tak, lata trzydzieste w Polsce były złe.

Nie były też najlepsze lata dwudzieste, ze strasznym cieniem zamordowanego Narutowicza. Nie o to więc będziemy się spierać. Budzi we mnie sprzeciw Pana ciągła skłonność do generalizacji. Zgadza się, na przykład, że pod okupacją niemiecką powinien być wydany dekret karzący zbrodnię denuncjowania obywateli polskich narodowości żydowskiej. Ale na czym opiera Pan twierdzenie, że „75 % Akowców miało dusze ofiarne i poczciwie endeckie”? Przeprowadził Pan wśród nich ankietę? To samo dotyczy dwudziestolecia niepodległości. Niemało na nim czarnych plam. Ale chociaż używa Pan w jednym miejscu zwrotu „część społeczeństwa”, ogólny ton Pana listu jest taki jak gdyby należało całą Polskę identyfikować z tym co było złe. Co do mnie, wiem jakie były ograniczenia i błędy Piłsudskiego, wiedząc równocześnie że rośnie i dlatego rośnie jego legenda (nawiasem mówiąc, nie bardzo rozumiem czemu wśród dat znaczących „zdolność Polaków do zrywów w obronie wolności” pominął Pan rok 1918 i rok 1920). Zazwyczaj przywraca się proporcje dwudziestolecia 1918-1939 argumentem krótkotrwałości rozwoju odrzonej Polski, sięgając po dodatkowe okoliczności łagodzące do długotrwałego okresu niewoli. W zasadzie jest to słuszne, wypada jednak pójść dalej i — jak to zrobił Pragier w swoich pamiętnikach — posłużyć się, zwłaszcza w odniesieniu do ostatnich lat niepodległości, rozróżnieniem Maurrasa między *pays légal* a *pays réel*. Pragier precyzuje: „Z tym że u nas *pays légal* wcale nie był zgodny z prawem pisanym, a *pays réel*, odepchnięty od wpływu na życie państwa, był zorganizowany w masowych stronnictwach”. Daje dużo do myślenia fakt, że znaczny odłam inteligencji polskiej znajdował najłatwiejszy wyraz swego rozczarowania do *pays légal* w generalnej obrazie na *pays réel*. Znajduje go i teraz, czego dowodem jest w jakiejś mierze Pana list. Stąd *Katzenjammer* w regularnych przyływach, z towarzyszeniem nieodłącznej polskiej kołowaniny we mgle. Czy nie prościej, rozumniej i zgodniej z rzeczywistością powiedzieć sobie za młodym czeskim filozofem, że o własny charakter narodowy walczy się bez przerwy, że powstaje się lub upada jako naród codziennie? Czy historia wszystkich narodów nie składa się ze wzlotów i upadków, podobnie zresztą jak historia wszystkich ludzi? Czy nie zdarza się Panu nigdy zaglądać z uczuciem wstydu albo co najmniej zażenowania do niektórych rozdziałów własnej biografii? Mnie zdarza się to często.

Istotne wydaje mi się jedno: jak ognia unikać grzechu uogólnienia, którego klasycznym objawem jest to niepokalana to zaświnniona „dusza narodowa” w Oblężonym Mieście. Zastanawiałem się nie raz nad nieustanną huśtawką inteligencji polskiej od narodowego samochwalstwa do narodowego samobiczowania, bez żad-

nych przystanków po drodze. Łatwiej stosunkowo wytłumaczyć samochwalstwo, oczywiście pobudkami *ad usum Delphini*. Jerzy Stempowski opisuje w *Eseju dla Kassandry* swoje przedwojenne spacerki warszawskie z Szymonem Askenazym. Przed każdym starym domem Askenazy zatrzymywał się i opowiadał co się w nim działo w Noc Listopadową. Wersja opowiadania w cztery czy odbiegała niekiedy poważnie od tej, jaką zostawił w swoich książkach. Z narracji „prywatnej” wyłaniał się obraz chaosu, rozbieżnych i bezwstydných interesów, nieporadności, bohaterstwo sąsiadowało w nim o krok z bezmyślnym egoizmem i prowokacją. „Historię — mówił Askenazy — pisałem w znacznej mierze *ad usum Delphini*, dla młodzieży, którą starałem się wychować, przygotować moralnie do nowej walki o niepodległość. Dziś można by to oczywiście opowiedzieć na nowo, inaczej, ale dla kogo? Kto się tym interesuje? Komu taka wiadomość może być potrzebna?”. Nie była nikomu potrzebna w roku 1932. Nie nadszedł jeszcze czas przeskoczenia po nowej kłesce, w myśl praw Oblężonego Miasta które nie znoszą światłocieni, prosto z ożywczej kąpieli wychowawczej pod autodestrukcyjny pręgierz masochistyczny.

Pora kończyć. Pisał Pan swój list przed grudniową rewoltą robotniczą. Chcę wierzyć że gdyby go Pan pisał dzisiaj, stuszowałby Pan w nim zdania o „gniciu żywej tkanki społecznej w kraju”, o zaniku „społecznych szans myślenia”, o „paraliżującej umysły” sytuacji która przekreśla wszelką „celowość protestu”. Powiedziałem „stuszowałby” a nie „zmieniłby”, bo w Pana obrazie przesada jest przemieszana z jakąś dozą prawdy. Chodzi mi jednak o przesadę. Pana i Panu podobnych, pogrążonych w Ogólnej Polskiej Niemożności (czy wpadł ktoś na pomysł zestawienia Gombrowicza z Gałczyńskim, autorem wiersza o „tęskniącej nacji” i „ginącej klasie” inteligentów?), musiał chyba wytrącić z odrętwienia Polski Grudzień. W ciągu kilku dni robotnicy Trójmiasta i innych miast polskich dowiedli, że nie zgniła jeszcze całkowicie w kraju żywa tkanka społeczna, że myślenie ma tam jeszcze wystarczająco duże szanse społeczne, że za wcześniej jeszcze ogłaszać definitywny paraliż umysłów i powszechną bezcelowość protestu. Jaka nauka z tych wydarzeń? Pisze Pan sam słusznie, że Październik 1956 i Marzec 1968 *razem wzięte* były powstaniem narodowym, zadając sobie (mniej słusznie) pytanie w jakim stopniu nowe formy oporu będą pozytywistyczne a w jakim rewolucyjne. Los Października i Marca wykazał dostatecznie jasno, że mogą być tylko konsekwentnie i świadomie rewolucyjne, i taką właśnie odpowiedź dał teraz na Pana pytanie Grudzień 1970. Rzecz w tym czy przyjmie ją do wiadomości inteligencja demokratyczna, czy wyciągnie z niej wszystkie wnioski, stając obok

robotników w ich walce, nawiązując łączność i współdziałanie z opozycją w Rosji, w krajach bałtyckich, na Ukrainie i na Białorusi, szukając dróg do animatorów i spadkobierców Rewolucji Węgierskiej i Wiosny Praskiej.

Potrafi się na to zdobyć, odnajdzie swoje miejsce w procesach drążących podskórnie Imperium z przyległościami? Pierwsze grudniowe znaki nie wróżą najlepiej. Londyński *Observer* z 3 stycznia napomyka w reportażu z Warszawy o kredycie zaufania jaki intelektualści gotowi są dać „nowemu kierownictwu”, w przeciwieństwie do nieufnych robotników. Zaczę tu wkrótce spotykać Pana kolegów, Posłów Dobrej Nowiny, zapewniających na podstawie kilkuset „odmrożonych” paszportów i kilku „odblokowanych” książek, że mamy nareszcie w osobie Gierka naszego Męża Opatrzności i że winniśmy mu śpiewać Sto Lat? Jeżeli się tak stanie, to po następnym *Katzenjammerze* inteligencki jęk Ogólnej Niemożności nie zostanie już nawet dosłyszany.

Łączę przyjazne słowa.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

15 stycznia 1971 r.

NA ANTENIE

PRZYNOŚI CO MIESIĄC WYBÓR NAJWAŻNIEJSZYCH AUDY-
CJI NADANYCH PRZEZ ROZGŁOŚNIĘ POLSKĄ RWE ZE
SZCZEGÓLNYM NACISKIEM NA AKTUALNE SPRAWY KRA-
JOWE.

Adres redakcji: RFE - Polish BD. English Gdn.
MUNICH, GERMANY.

Administracja: KSIĘGARNIA SPK, PCA PUBL. LTD., 20, QUEENS
GATE TERRACE, LONDON, S.W.7. dokąd należy kierować zamó-
wienia. Prenumerata roczna z przesyłką £ 2.2.0 lub \$ 5,00, F. 25,00.

Archiwum polityczne

Refleksje grudniowe

Gdyby ktoś w październiku ubiegłego roku powiedział Go-
mułce, że jako prezent „gwiazdkowy” otrzyma dymisję — tow.
Wiesław nigdy by w to nie wierzył.

Gdyby jakiś znakomity specjalista od Europy Wschodniej
w październiku ubiegłego roku ogłosił przepowiednię, że w Szcze-
cinie pomiędzy 17 a 25 grudnia istnieć będzie „Szczecińska Re-
publika Robotnicza” — uznano by go za pomyślnika.

W krajach totalistycznych stopień przewidywalności — jeżeli
można się tak wyrazić — jest znacznie mniejszy niż w ustrojach
demokratycznych. W tych ostatnich istnieje wiele „barometrów”,
które umożliwiają odczytywanie nastrojów społeczeństwa. W to-
talizmie „pogoda” nie jest badana tylko dekretowana z góry.

Post factum wszyscy mówią o „ostatniej kropli”, która do-
pełniła miary. Oceniano powszechnie, że drakańskie podwyżki
cen artykułów pierwszej potrzeby na krótko przed świętami Bo-
żego Narodzenia — były ową kroplą, która dopełniła miary roz-
goryczenia i cierpliwości. Dodam jeszcze, na marginesie, że cier-
pliwość robotników polskich — w znacznej mierze chłopskiego
rodowodu — jest wręcz wyjątkowa.

Oczywiście jeżeli ktoś „ostatnią kroplą” przelewa naczynie —
oznacza to, że jest ślepy i nie wie do jakiego stopnia naczynie
było pełne.

Po fakcie i po zmianie ekipy rządzącej dokonano odkrycia,
że partia nie utrzymywała dostatecznego kontaktu ze społeczeń-
stwem a w szczególności z klasą robotniczą. *Trybuna Mazowiecka*
zaatakowała uprzedni reżym a w *Polityce* ukazał się artykuł
stwierdzający, że choć są różne stopnie odpowiedzialności —
partia jest odpowiedzialna za to co się stało.

Na owe zarzuty odpowiedź jest prosta. Partia nie miała kon-
taktu ze społeczeństwem — ponieważ partia nie może mieć kon-
taktu ze społeczeństwem. Jeżeli ktoś chce mieć kontakt z księ-
życem — musi mieć na powierzchni naszego satelity statek

kosmiczny, który by przekazywał na ziemię informacje. Jeżeli ktoś chce mieć kontakt ze społeczeństwem — musi mieć instytucje demokratyczne, ponieważ tylko poprzez instytucje demokratyczne rząd może utrzymywać stały kontakt ze społeczeństwem.

Komuniści boją się instytucji demokratycznych dopatrując się w nich głównego zagrożenia dla swojej władzy. Jeżeli komuniści utracą władzę — utracą ją dlatego, że nie umieli wytworzyć instytucji demokratycznych, które wiązałyby rząd ze społeczeństwem i chroniły wszystkich przed „niespodziankami”.

Podobno Gierek, gdy był jeszcze „gubernatorem” Śląska — chodził wieczorami po barach — pił piwo z robotnikami i rozmawiał z nimi. Lecz tego typu towarzyskie kontakty, choć mogą być cenne — nie zastąpią autentycznych rad robotniczych, władz samorządowych wyłonionych z wyborów, itp.

W państwie w którym nie ma ani swobód obywatelskich ani instytucji demokratycznych — strajk nabiera nowego charakteru.

Gdy nadeszły pierwsze wiadomości o strajkach na Wybrzeżu — komentatorzy brytyjscy w radio i w telewizji podkreślali, że strajki mają charakter czysto ekonomiczny. Wyczuwało się ulgę w ich głosach — ulgę, że nie zanoszą się na drugą Czechosłowację i że czołgi sowieckie nie opuszczają swoich baz.

To jest jeden z wielu przykładów niezrozumienia sytuacji — ponieważ w Polsce Ludowej — każdy strajk jest zawsze strajkiem politycznym. W Anglii, jeżeli robotnicy strajkują w prywatnym przedsiębiorstwie — ich akcja nie ma charakteru politycznego lecz wyłącznie ekonomiczny. Natomiast w Polsce Ludowej każdy strajk z definicji jest strajkiem politycznym, ponieważ wymierzony jest przeciwko kierownictwu partii, które odpowiada za decyzje gospodarcze.

Robotnicy we wszystkich krajach w większości wypadków przystępują do strajków ze względów gospodarczych. Polska nie stanowi od tej reguły wyjątku. Byłoby naiwnością przypuszczać, że robotnicy w Gdańsku czy w Szczecinie podejmą strajk tylko w tym celu, by przywrócić wolność polskiej prasie. Lecz to powiedziawszy należy stwierdzić, że w państwie komunistycznym nie ma rozróżnienia pomiędzy ekonomią a polityką. Gospodarką komendują aparatczyki kalibru Gomułki — z wiadomymi skutkami. W takich warunkach strajk jest nie tylko protestem przeciwko kierownictwu partii lecz jest również protestem przeciwko systemowi zarządzania — przeciwko totalizmowi.

Zaczyna się zawsze od chleba. Hasła wolnościowe pojawiają się w następnej kolejności. Fakt, że w czasie wydarzeń grudniowych robotnicy polscy wysunęli hasła wolnościowe dowodzi, że zaczynają zdawać sobie sprawę, że bez wolności nigdy chleba nie będzie pod dostatkiem.

Jeżeli przez ruch rewolucyjny rozumieć ruch zmierzający do obalenia lub radykalnej przebudowy ustroju — to należy obiektywnie podkreślić, że wydarzenia grudniowe choć nie były rewolucją miały jednak charakter rewolucyjny.

W tym punkcie chciałbym zwrócić uwagę Czytelnika na pro-

blem przemocy. Obawiam się, że nie dowiemy się nigdy prawdziwej cyfry rannych i zabitych w okresie wydarzeń grudniowych. Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że milicja, wojsko, i specjalne oddziały — użyły w stosunku do robotników nie tylko przemocy fizycznej lecz i broni palnej.

W pracy emigracyjnej ukazały się wówczas apele by „oszczędzać krwi”. Owe apele były zwrócone do robotników — by na przemoc i prowokacje nie odpowiadali przemocą i tym samym nie powiększali liczby ofiar.

Jestem przeciwnikiem przemocy jako instrumentu działania politycznego — lecz niemniej są sytuacje w których użycie przemocy jest moralnie i politycznie usprawiedliwione.

W chwili gdy piszę te słowa odbywają się w Anglii demonstracje robotnicze, w których biorą udział setki tysięcy ludzi. W tym kraju policja nie strzela do strajkujących czy demonstrujących robotników. Dzięki temu robotnicy nie strzelają nigdy do policjantów. Robotnicy brytyjscy posiadają duże wyrobienie polityczne i społeczne — lecz gdyby zaczęto do nich strzelać, gdyby przeciwko nim użyto wozów pancernych i czołgów — jestem przekonany, że na przemoc odpowiedzieliby przemocą.

Na dnię duszy konserwatywni Polacy, którzy stanowią większość w naszym społeczeństwie, uważają że strajk jest czymś złym, nielegalnym i organizowanym zawsze przez „wywrotowców”. W Polsce przed-wrześniowej policja również strzelała do demonstrujących robotników, a rotmistrz Bochenek, kawaler Virtuti Militari poległ na bruku krakowskim na czele swego szwadronu ułanów — tłumiąc rozruchy robotnicze. Wówczas strajkujący robotnicy to byli „bolszewicy” a dziś strajkujący robotnicy to są „chuligani” i „wywrotowcy”.

Strajk musi być nie tylko ulegalizowany ustawą — lecz musi być również powszechnie społecznie zaakceptowany jako jedna z normalnych robotniczych akcji przemysłowych. Komuniści swoją anty-socjalistyczną i anty-demokratyczną postawą i ustawodawstwem powodują, że w PRL — strajk nie jest zwyczajną akcją przemysłową lecz jest akcją polityczną a nawet rewolucyjną. Nie ma więc winy „po obu stronach”. Wina jest całkowicie i tylko po jednej stronie. O tym kardynał Wyszyński też nie pamiętał.

Polaka, nawet gdyby nie była państwem komunistycznym, znajdowałaby się w niezmiernie trudnej sytuacji gospodarczej. Gomułka zwlekał z podpisaniem układu polsko-niemieckiego prowadził bowiem równocześnie pertraktacje z Ulbrichtem. NRD jest zamożnym krajem i Ulbricht, gdyby chciał, mógł być Polsce przyjść z pomocą. Lecz rokowania w tej sprawie zakończyły się fiaskiem. Ulbricht odmówił jakiegokolwiek pomocy finansowej.

Trzeba mniej konsumować a więcej produkować i eksportować. To wskazanie głoszone przez partię jest w zasadzie słuszne. Polacy mają wszelkie powody do zaciskania pasa.

Nie ma czystej ekonomii — tak jak istnieje czysta fizyka czy czysta matematyka. Ekonomia musi być zawsze rozpatrywana w danym kontekście społecznym. Jest różnica czy ja sam decy-

kam mój własny pas — czy ktoś inny — nie pytając mnie o zgodę — dociska na mnie pasa. Operacja dociskania pasa w żadnym kraju nie jest popularna. Jednak w kraju demokratycznie rządzonej odpowiedzialnie ustawy są debatowane i uchwalane przez parlament a nie narzucane przez KC, którego naród nie wybierał.

Socjologia jest zawsze ważniejsza od ekonomii. Prawidłową gospodarkę można prowadzić tylko w ramach prawidłowego systemu społecznego. Ciężary muszą nie tylko być sprawiedliwie rozłożone — lecz rząd musi uzyskać zgodę od społeczeństwa na nałożenie owych ciężarów. Dlatego powiadam jeszcze raz: nawet gdyby PRL dysponowała najlepszą na świecie ekipą technokratów i menadżerów — w ramach obecnego ustroju ekipa ta nie mogła by prowadzić prawidłowej gospodarki.

Dwadzieścia kilka lat temu wszystko to wyglądało inaczej. Hasłem była odbudowa kraju i położenie fundamentów pod przemysł. Lecz dziś Polska w znacznej mierze jest uprzemysłowiona i robotnicy oraz pracownicy związani z produkcją stanowią większość. Profil społeczny Polski uległ zmianie, lecz nie jej ustrój. Społeczeństwo przemysłowe posiada swoją własną „gramatykę” socjalną niezależną od ideologii. Ponieważ politycy nie umieją dostosować ustrojów — przeważnie przestarzałych — do owej „gramatyki” — obserwujemy w krajach przemysłowych rosnącą falę strajków i niepokojów robotniczych. W Anglii strajkują nie tylko robotnicy lecz również urzędnicy państwowi. Strajki nauczycieli czy urzędników pocztowych stanowią zupełnie nowe zjawisko socjalne, które byłoby wręcz nie do wyobrażenia jeszcze 15 lat temu.

Komunizm z wszystkich współczesnych ustrojów jest najmniej elastyczny, najmniej reformatorski i najbardziej konserwatywny. Choć może się to wydać paradoksem — komuniści rozbudowując przemysł — kręcą bicz na samych sobie. Celem dyktatury jest umacnianie i kontynuacja dyktatury. Przemysł w oczach komunistów mają kontynuować bazę ich dyktatorskiej władzy. Komuniści zapominają jednak, że uprzemysłowienie produkuje nie tylko dobra materialne, lecz również nową klasę robotniczą, której siła i uświadomienie polityczne rosną z każdym miesiącem.

Wydarzenia grudniowe stanowiły wielkie zaskoczenie w tym sensie, że wielu nie przypuszczało, że robotnicy polscy są do tego stopnia organizacyjnie uświadomieni i zdyscyplinowani. W wielu miastach powstawały komitety strajkowe, które funkcjonowały wzorowo. Rzecz jest tym bardziej godna podziwu, że większość owych robotników to są robotnicy w pierwszym pokoleniu — bez zaplecza doświadczonych klasy robotniczej.

Wydarzenia grudniowe potwierdzają również naszą tezę, którą na tych łamach powtarzaliśmy dziesiątki razy, a mianowicie, że tylko poprzez napór społeczeństwo może coś osiągnąć. Bez naporu i bez walki nie ma niczego.

Ktoś powie, że robotnicy polscy swoją akcją grudniową wiele nie osiągnęli. Nie podzielał tego poglądu. W mojej ocenie osiągnęli bardzo wiele. Przede wszystkim udowodnili samym sobie,

że są zdolni do zorganizowania nowoczesnego strajku na dużą skalę. Swoją akcją skupili na polskiej klasie robotniczej i jej problemach uwagę całego świata. Pojawiło się setki artykułów we wszystkich pismach zachodnich. Polska nagle stała się znów problemem.

Lecz to jeszcze nie wszystko. Może za największe osiągnięcie należy uznać fakt, że robotnicy polscy podjęli pierwszy krok na właściwej drodze. Drugi krok będzie łatwiejszy ponieważ robotnicy przekonali się, że nawet w Polsce Ludowej nie święci garnki lepią. Robotnicy swą akcją i postawą przekonali społeczeństwo, że Bezpieka nie jest tak potężna jak ogólnie przypuszczano. Kompromitacja Bezpieki będzie miała trwałe i poważne konsekwencje.

Jakie należy wysunąć wnioski z omawianej sytuacji?

W grudniowym numerze *Kultury* wysunęliśmy postulaty stanowiące minimum. Lecz i owo minimum nie będzie łatwe do osiągnięcia jeżeli nie zostaną spełnione pewne warunki. Jak podkreśliłem uprzednio, robotnicy walczą na całym świecie o wyższe płace i poprawę warunków bytowych. Trzeba przekonać polskich robotników, że bez przebudowy ustroju nie będą mieli nigdy lepszych płac, wydatniejszych służb społecznych i korzystniejszych warunków bytowych. Trzeba przekonać robotników, że radykalna reforma ustroju to nie jest zamówienie społeczne inteligentów i studentów — lecz winno być w pierwszym rzędzie zamówieniem społecznym klasy robotniczej.

Osobiście nie wierzę w schematy ustrojowe wypracowane przy biurku w Londynie czy w Warszawie. Ustrój musi być wywalczony i wypracowany w praktyce i budowany w całości z „lokalnych” materiałów społecznych. W gruncie rzeczy w tych sprawach nie można niczego kopiować, bo każdy naród jest inny i owa „inność” musi znaleźć wyraz w budowie ustroju.

W przeciwieństwie do maksymalistów emigracyjnych w *Kulturze* uważamy, że na drabinę winno się wchodzić zaczynając od najniższego szczebla a nie od najwyższego. Samorząd robotniczy w postaci prawdziwych rad robotniczych należałoby uznać za osiągnięcie pierwszego szczebla.

Przekonać robotników, że dążyć muszą nie tylko do podwyżek płac lecz również do zmiany ustroju — jest bardzo trudną sprawą. Znaczny procent robotników nie pamięta Polski niepodległej i inteligentkie tyrady o pięcioprzymiotnikowych wyborach, wolnej prasie itp., nic im nie mówią. Powinniśmy oddziaływać na polską klasę robotniczą specjalnie zredagowaną literaturą polityczną, której celem byłoby wyjaśnić, w sposób nie pompacyjny a rzeczowy i przystępny, związek pomiędzy ustrojem a gospodarką. Trzeba również wyjaśnić bez szumnych słów, że choć Gomułka odszedł, gomułkizm pozostał. Na spętanym koniu najlepszy jeździec nigdzie nie zajędzie. Konia trzeba rozpętać jeżeli wóz gospodarki polskiej ma ruszyć z miejsca. Choć reforma ustroju byłaby dla wszystkich w Polsce błogosławieństwem — robotnicy walcząc o reformy działają przede wszystkim w swoim

imieniu i dla siebie — ponieważ z gomułkizmu nie wycisną już niczego. Po kilku miesiącach przyjdą nowe podwyżki cen artykułów pierwszej potrzeby i jeżeli będą poważniejsze strajki — w najlepszym razie skończy się na przyznaniu doraźnych premii, które załatwiają budżety robotnicze na kilkanaście dni. Szkoda więc owego strajkowego wysiłku — jeżeli temu wysiłkowi nie mają odpowiadać konkretne rezultaty. Trzeba robotników przekonać, że każdy poważniejszy strajk musi w wyniku przynieść nie tylko podwyżkę płac, lecz również określoną zdobycz socjalną i umocnienie pozycji rad robotniczych w zakładach pracy.

Ktoś powie, że komunizm nie można naprawiać tylko trzeba go obalić i zastąpić nowym ustrojem. Jeżeli mamy stary samochód a nie stać nas na kupno nowego samochodu — musimy naprawiać stary samochód do chwili kiedy lepsza koniunktura umożliwi nam zdobycie nowego. To jest tzw. zdrowy rozsądek, który dotyczy zarówno samochodu jak i rewolucji.

Nie ma komunizmu z ludzkim obliczem. Tylko socjalizm może być z ludzkim obliczem. Niemniej pomiędzy komunizmami są wielkie różnice. Gdyby robotnicy polscy korzystali z tych praw co ich koledzy jugosłowiańscy — byłby to już wielki postęp.

Nie chciałbym, by Czytelnik odniósł wrażenie, że jestem zwolennikiem wejścia tylko na najniższy szczebel drabiny. Przeciwnie, naszym celem jest najwyższy szczebel drabiny czyli pełna demokracja. Jestem pewien, że robotnicy polscy nie pozwolą sobie odebrać ich najważniejszej broni jaką jest strajk. Jestem również przekonany, że strajków będzie coraz więcej i będą coraz lepiej zorganizowane. Wówczas robotnicy przestaną być wyzyskiwanym „niemową” i przekształcą się w nową siłę, która obali „gomułkizm” i stworzy zręby demokratycznego ustroju.

A emigracja? W moim przekonaniu w obliczu Polskiego Grudnia emigracja polityczna nie stanęła na wysokości zadania. Lecz to jest temat odrębny.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

Oczywiście na emigracji główną wagę przywiązujemy do polskości. Przystalibyśmy być emigracją gdybyśmy nie chronili i nie pielęgowali polskości. Gdy ktoś mieszka w Rzeszowie czy w Radomiu jego polskości nie nie zagraża. Gdy ktoś mieszka w Londynie jego polskość poddawana jest wpływowi obcej kultury, obcego języka i zmasowanemu naciskowi wszystkich mediów komunikacji.

Szkoły sobotnie, instytucje kulturalne i społeczne, biblioteki, prasa emigracyjna — to są wszystko rzeczy wielkiej wagi pod warunkiem, że będzie-

my zawsze świadomi faktu, że celem polskości jest Polska. Nie ma polskości bez Polski. Natomiast na emigracji często odnosi się wrażenie, że polskość jest celem sama w sobie.

Głównym problemem jest sprawa identyfikacji. Emigrant nie identyfikuje się z PRL lecz czy może identyfikować się z ośrodkami politycznymi Rady Trzech czy prez. Zaleskiego? Oba te ośrodki reprezentują Drugą Rzeczpospolitą i jej konstytucję. Jest oczywiste że Drugiej Rzeczpospolitej nigdy nie będzie a jej konstytucja jest dziś dokumentem historycznym a nie politycznym. W rezultacie powstała próżnia pomiędzy PRL, którą odrzucamy — a Drugą Rzeczpospolitą, której nie zdołaliśmy wskrzesić.

Polska jest krajem nie komunistycznym rządzonym przez komunistów. Lecz nie sądzę by Polacy nie-komuniści w Kraju mogli się identyfikować z jednym z dwóch ośrodków politycznych londyńskich. Druga Rzeczpospolita powstała w specyficznych warunkach. Nie może być Drugiej Rzeczpospolitej bez piłsudczyków, tak jak nie może być Polski stanisławowskiej, bez króla Stanisława. Nawet gdyby nie było drugiej wojny światowej Polska zmieniłaby swój charakter z chwilą zejścia do grobu pokolenia piłsudczyków. Podtrzymywanie mitu Drugiej Rzeczpospolitej jako żywej formacji politycznej jest nie tylko nonsensem lecz i szkodliwym nonsensem.

To nie są rozważania czysto teoretyczne. Gdy w Polsce wybucha strajk na wielką skalę — gdy leje się krew na ulicach — uświadomiamy sobie nagle, że na emigracji nie ma nikogo. Każdy z ośrodków wydaje oświadczenie potępiające milicję i Bezpiekę i na tym jest koniec.

Nie można robić polityki bez pieniędzy. Kilkanaście miesięcy temu rozmawiałem z pewnym Polakiem londyńskim, który czynnie zajmuje się polityką. Ów znajomy zauważył, że w prasie brytyjskiej panuje głuche milczenie na temat Polski. Istotnie przed grudniem ub. roku można było czytać prasę brytyjską tygodniami i nie spotkać najmniejszej wzmianki o Polsce. Mój znajomy splonął świętym oburzeniem, gdy mu powiedziałem, że *publicity* kupuje się tak jak wszystko inne na świecie. „Mam nadzieję, że Polacy nigdy tak nisko nie upadną” — oświadczył mój znajomy — „by płatną reklamą zwracać uwagę obcych na sprawę polską”.

To jest typowo polskie nieporozumienie. Wszystkie wielkie sprawy w Anglii i w innych krajach są reklamowane — inaczej nikt by się o nich nie dowiedział. Weźmy dla przykładu taką wspaniałą instytucję jak Oxfam. Gdyby Oxfam żałował pieniędzy na *publicity* nie mógłby prowadzić swojego wspaniałego dzieła.

W mojej opinii w grudniu i w styczniu winny się były ukazać w wielkich dziennikach brytyjskich, francuskich i belgijskich ogłoszenia następującej treści: „Strajkujący Robotnicy Polacy apelują o pomoc i poparcie do Klasy Robotniczej Zachodu”.

Oczywiście tego typu kampania kosztowałaby znaczne pieniądze lecz mogłaby przynieść pewne rezultaty. Moglibyśmy również naciskać by brytyjskie, francuskie i belgijskie związki zawodowe wyłoniły specjalne komisje, których celem byłoby zbadać na miejscu, to znaczy na wybrzeżu — przebieg wypadków grudniowych. Wówczas robotnicy polscy wiedzieliby, że nie są osamotnieni, ponieważ w chwili kryzysu emigracja podejmuje inicjatywy międzynarodowe w ich obronie.

To byłyby akcje „na Polskę” a nie „na polskość”. Emigranci płacą na SPK, na Bibliotekę, na Macierz Szkolną — jednym słowem płacą na Polskość

a nie na Polskę. Jak zauważyłem uprzednio podtrzymywanie i krzewienie polskości jest ogromnej wagi — lecz w ścisłym tego słowa znaczeniu to jest polityka emigracyjna a nie polityka niepodległościowa.

Nikt nie wie ile Polaków w Wielkiej Brytanii, ponieważ wielu przyjęło obywatelstwo brytyjskie lub wyemigrowało. Polak obywatel brytyjski może zachować ścisłe więzy z polskością lecz statystycznie Polakiem nie jest. Można więc tylko oprzeć się na oszacowaniu sytuacji — przy czym cyfry będą w znacznej mierze dowolne. Po drugiej wojnie światowej osiadło w Anglii około 100 tysięcy Polaków. Załóżmy pesymistycznie, że 50 % z powyższej cyfry odeszło od polskości z różnych przyczyn z śmiercią włącznie. Przyjmijmy dalej hipotetycznie, że na Wyspach Brytyjskich żyje tylko 50 tysięcy aktywnych Polaków. Ci ludzie w większości wolą płacić na swoje gminy, kluby i parafie niż na dwa konkurujące ze sobą skarby narodowe, których to skarbów dysponenci nie prowadzą żadnej polityki niepodległościowej.

Jestem przekonany, że nie skompromitowana niedołęstwem instytucja zdołałaby zebrać poważne sumy dla „akcji na Polskę”. Każdy chciałby solidaryzować się z robotnikami w Kraju — każdy chciałby widzieć polską sprawę nie pogrzebaną lecz odgrzebaną na forum międzynarodowym i jeżeli można by to osiągnąć wpłacając dwa funty rocznie — wielu by to uczyniło. Sądzę, że instytucja polityczna o której mówimy — w samej Anglii mogłaby sobie zapewnić budżet około 100 tysięcy funtów rocznie.

Trzeba jasno stwierdzić co następuje: Nigdy nie dojdzie do zgody na emigracji — jeżeli przez zgodę rozumieć połączenie się dwóch londyńskich ośrodków politycznych. Oba ośrodki wychodzą z fałszywego założenia, że legalizm to jest konstytucja. W rzeczywistości konstytucja już dawno nie obowiązuje i można przyjąć za pewnik, że nigdy więcej obowiązywać nie będzie.

W sumie uważam, że oba ośrodki londyńskie wyczerpały swoje możliwości i nawet gdyby się połączyły nie by z tego nie wyszło. Trzeba więc powołać nowy ośrodek polityczny o zupełnie innych celach i strukturze.

Być może projekt, który ośmielałem się przedstawić Czytelnikom jest nie-realny, ponieważ na emigracji na wszystko jest już za późno. Z drugiej strony gorzko mi pogodzić się z myślą, że w okresie kiedy sytuacja w Polsce zaczyna dojrzywać i wielkie przemiany są bliskie — na emigracji nie ma ośrodka politycznego, który dorastałby do swojego zadania.

Niestety jakże łatwo sobie wyobrazić, że Polacy w Kraju — a w szczególności polska klasa robotnicza — wszystkiego dokonają sami — bez nas. Wówczas wielkie dni w Polsce będą dniami wielkiej kompromitacji emigracji — bo się okaże, że nie zrozumiałyszy naszego zadania — w chwili próby byliśmy nieprzydatni.

W grudniu ub. roku, gdy telefonicznie rozmawiałem z kolegą dziennikarzem relacjonując mu to co przed chwilą usłyszałem przez radio — usłyszałem w odpowiedzi: „co się Pan tak tym wszystkim przejmuje — to przecież ciągle jeszcze jest komunizm”.

Gdyby robotnicy wywalczyli mozołem i krwią rady robotnicze z prawdziwego zdarzenia i pewien samorząd w zakładach pracy — emigranci pokiwotaliby te osiągnięcia uwagą, że to jeszcze ciągle jest komunizm. My wprawdzie w Polsce przedwrześniowej nie umieliśmy zbudować rzetelnego ustroju demokratycznego a nawet w godzinie śmiertelnego zagrożenia okaza-

liśmy się niezdolni do stworzenia rządu koalicyjnego — lecz wszystko to nam nie przeszkadza przybierać pozy surowych nauczycieli demokracji w stosunku do Kraju. Niepokalanymi demokratami staliśmy się dopiero na Zachodzie — co o tyle przyszło nam łatwo, że na Zachodzie demokracje robimy nie my tylko obcy.

Osobiście cieszyłbym się z najmniejszego osiągnięcia społecznego klasy robotniczej, pomimo, że to ciągle jeszcze byłby komunizm.

My bylibyśmy dopiero wówczas zadowoleni gdyby robotnicy wywieszali na latarniach wszystkich komunistów i zaprosili jednego z członków Rady Trzech na prezydenta Rzeczypospolitej. Wszystko inne jest pogardy godnym minimalizmem i ewolucjonizmem.

Jesteśmy gotowi krytykować wszystkich polskich rewizjonistów i reformatorów gdyby się pojawili — lecz dopóki to byłoby ciągle komunizmem nie zamierzamy angażować się w żadnych „akcjach na Polskę”. Urlopy w Kraju, paczki do rodziny — tak, ale to i wszystko. A poza tym jak tu się angażować skoro robotnicy w PRL to nie są PPSowcy tylko w większości członkowie PZPR. Innymi słowy dopóki to ciągle jest komunizm — Polskę należy studiować podobnie jak inne kraje Europy Wschodniej — skupiając całą energię na krzewieniu polskości na emigracji.

Jestem zbyt wielkim realistą, by nie zdawać sobie sprawy z faktu, że projekt jaki zamierzam przedstawić jest nierealny. Nawoływanie do rozsądku i racjonalizmu jest jednym z najbardziej nierealnych zadań na świecie. Niemniej tak wygląda moje publicystyczne powołanie, któremu pozostanę wierny.

Powinniśmy powołać na obczyźnie Tymczasowy Rząd Polski, który nie miałby nic wspólnego ani z Radą Trzech ani z prezydentem Zaleskim. Rząd Tymczasowy w pierwszym orędziu musiałby stwierdzić, że odrzuca zarówno konstytucję Polski przedwrześniowej jak i konstytucję PRL. Swoją legalizm rząd tymczasowy czerpałby z poparcia i uznania Polaków tak za granicą jak i w Kraju. Również w pierwszym orędziu należałoby stwierdzić jasno i otwarcie, że w dniu w którym w Kraju powstaną warunki umożliwiające przeprowadzenie demokratycznych wyborów — Rząd Tymczasowy złoży swój urząd. Celem rządu byłoby nie krzewienie polskości na emigracji lecz wyłącznie „Akcja na Polskę”. Zbudowaliśmy w ciągu lat wiele instytucji, którym ze spokojem powierzyć można troskę o krzewienie polskości na obczyźnie. Rząd tymczasowy zajmowałby się wyłącznie bezpośrednią polityką niepodległościową i niczym więcej. Siedzibą rządu winien być Paryż lub Bruksela. Jego skład osobowy wyłaniałby kolejno i rotacyjnie niezależne instytucje niepodległościowe na emigracji.

Nie chodzi mi w tej nocie o szczegóły organizacyjne tylko o przedstawienie samej koncepcji. Niepodległości Polski trzeba przywrócić status jednej z wielkich spraw międzynarodowych. Tego zadania mogą się podjąć tylko ludzie fachowi i uzdolnieni. Niektóre kraje arabskie jak na przykład Jordania robią to znacznie lepiej od nas. Państwo Izraela przez długi czas było tylko problemem międzynarodowym. Lecz Żydzi mieli pieniądze i wybitnie uzdolnionych działaczy międzynarodowych. Polityka tego typu musi być realizowana całkowicie nowoczesnymi metodami, których Polacy muszą się dopiero nauczyć. Nie wystarczy mieć rację — trzeba jeszcze umieć współczesnymi metodami tę rację utrzymywać na powierzchni życia międzynarodowego. Ludzie na Zachodzie są znużeni masowymi protestami, których jest

zbyt wiele. Niepodległość Polski to nie jest protest, ale wielki problem i tak winno być to być zaprezentowane. Powtarzam jeszcze raz: metody naszego politycznego działania muszą być radykalnie unowocześnione. Gdyby Rada Trzech stanęła na czele Oxfam'u, który reprezentuje wielką sprawę — doprowadziłaby tę instytucję do upadku w przeciągu tygodnia. Panom o których mowa nie brakuje dobrych chęci lecz brak im znajomości metod nowoczesnego działania.

Najłatwiej jest zanurzyć się w polskości. Organizować szkoły sobotnie, teatr emigracyjny, zakładać gminy polskie, restaurować kościoły a od czasu do czasu wystąpić z imponującym kongresem nauki i kultury polskiej. To wszystko są rzeczy cenne i potrzebne, lecz nie zastąpią niestety nowoczesnej polityki niepodległościowej.

ZAMEK I KATYŃ

W ubiegłych latach było wiele projektów odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie. Gomułka był przeciwnikiem tego projektu. Obecnie plan odbudowy Zamku wysunęli przywódcy partyni wysokiego szczebla.

Odbudowa Zamku jest typowym projektem „zjednoczeniowym”. Nie ma Polaka w Kraju ani za granicą przeciwnego odbudowie Zamku, który stanowi historyczny symbol królewskiego stołecznego miasta Warszawy. Warszawa bez Zamku nie jest w pełni Warszawą.

Zbędne dodawać, że projekt o którym mowa byłby bardzo kosztowny. Skąd na to wziąć pieniądze? Oczywiście faworyzowany będzie odwieczny schemat. Składki w Kraju i za granicą — „dobrowolne” opodatkowanie robotników, urzędników, nauczycieli, itd.

W Redakcji Kultury jesteśmy zdania, że Zamek królewski w Warszawie winni odbudować ci, którzy wysadzili go w powietrze, tzn. Niemcy. Wsadzenie zamku nie miało nic wspólnego z operacjami wojskowymi a czyn ten stanowi przykład barbarzyństwa i wandalizmu hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy. Tak Federalna Republika jak i NRD odpowiadają za szkody wyrządzone przez hitlerowców. Trzeba obiektywnie stwierdzić, że Federalna Republika wydatkowała znaczne sumy, by częściowo wyrównać krzywdy.

Osobiście nie wątpię, że gdyby władze PRL zasugerowały by NRF pokryła pewną część kosztów odbudowy Zamku — kanclerz Brandt przychyliłby się do tego projektu. Wówczas nie tylko słuszności stałoby się zadość, lecz *image* Niemiec wśród Polaków w Kraju uległoby wielkiej poprawie.

Gdyby Federalna Republika pokryła część kosztów odbudowy — Ulbricht znalazłby się w niełatwej sytuacji. Hitlerowska trzecia Rzesza obejmowała bowiem zarówno dzisiejszą NRF jak i NRD. Niemiecka Republika Demokratyczna zawarła z Polską „traktat przyjaźni” — natomiast Federalna Republika zawarła z Polską tylko układ, którego celem jest „normalizacja stosunków pomiędzy obu państwami”. Byłoby dziwne gdyby rząd w Bonn zgodził się pokryć część kosztów odbudowy Zamku a natomiast „przyjaciel” i towarzysz Ulbricht odmówił jakiegokolwiek pomocy.

Jest jeszcze jedna sprawa, która w imię poprawnych stosunków polsko-niemieckich winna być oficjalnie wyjaśniona. Mam na myśli Katyń. Niemcy popełnili dostateczną ilość zbrodni w Polsce i doprawdy nie mają powodu brać jeszcze na siebie odpowiedzialności za zbrodnie popełnione przez Rosjan.

Trudno wyobrazić sobie normalizację stosunków polsko-niemieckich bez uwolnienia Niemców od odpowiedzialności za zbrodnię w Katyniu. W Polsce wszyscy wiedzą, że Katyń jest zbrodnią sowiecką. Lecz w podręcznikach szkolnych i w całej tzw. propagandowej literaturze — Katyń jest oficjalnie przypisywany Niemcom.

Kancelerz Brandt winien domagać się od Rosjan, by raz wreszcie skończyli z rzekomą „zagadką” Katynia i stwierdzili, w krótkim artykule w *Prawdzie*, że masowy mord polskich oficerów w lesie katyńskim został dokonany na rozkaz Stalina w okresie „błędów i wypaczeń”. Polacy powinni poprzeć Niemców w tej sprawie.

Po XX Zjeździe Chruszczow był gotów ujawnić prawdę o Katyniu lecz Gomułka sprzeciwił się temu. Argumentował, że wywoła to wzmoczenie uczuć antyrosyjskich w Polsce. Od tego czasu ukazało się sporo prac o Katyniu, z których znaczną część przemycono do Polski, tak że ujawnienie prawdy w tej sprawie byłoby tylko potwierdzeniem faktu, który jest powszechnie znany.

Jednym z podstawowych postulatów normalizacji stosunków polsko-niemieckich winno być oczyszczenie historii obu narodów z jawnych fałszów. Dopóki Polacy fałszują historię stosunków polsko-niemieckich — dopóty nie mają prawa domagać się od Niemców by nie fałszowali historii stosunków niemiecko-polskich.

Ofiar Katynia nikt nie wskrzesi, lecz należy im się przynajmniej tyle, by ich śmierć nie była zafałszowana.

PARADOKS INFLACJI

Wszyscy ekonomiści bez względu na kolor skóry, narodowość i wyznanie twierdzą zgodnie, że inflacja prowadzi prosto do katastrofy. Inflacja postępuje od lat, natomiast katastrofy — na szczęście — jak nie ma tak nie ma. Towary są coraz droższe lecz równocześnie jest ich coraz więcej. Z każdym rokiem przybywa samochodów, samolotów nie mówiąc o telewizorach i powodzi elektronicznych „gadżetów”. Z każdym rokiem przybywa ludzi, którzy mają wysokie pensje — po 10 tysięcy funtów rocznie, a często więcej.

Polacy z Kraju, którzy odwiedzają Anglię co kilka lat — podkreślają zawsze ze zdumieniem wzrost stopy życiowej, nieprawdopodobne bogactwo i różnorodność towarów w sklepach, doskonałe zaopatrzenie żywnościowe itp., itd. W Londynie mamy dziś mnóstwo dobrych restauracji włoskich, chińskich, polskich — a sklepy win zaopatrzone są w wina i w *drink*'i dosłownie z całego świata.

W sumie wypada obiektywnie stwierdzić, że inflacja nie jest chorobą śmiertelną. Przeciwnie z inflacją można doskonale współżyć, oczywiście pod warunkiem, że się ma pieniądze.

Patrząc na współczesną Anglię — trudno dziwić się robotnikom, że stracili wiarę w demoniczną, niszczycielską siłę inflacji. Anglia jest bogatsza i we wszystko niepomiernie lepiej zaopatrzona dziś niż 10 lat temu. Jeżeli inflacja nie przeszkadza ludziom w kupowaniu co roku nowego modelu samochodu i w spędzaniu urlopu na egzotycznych wyspach — dlaczego też sama inflacja miałaby przeszkadzać w podwyższeniu płac robotniczych?

Z inflacją współżyjemy już tak długo, że możemy empirycznie stwierdzić,

że kontrolowana inflacja nie prowadzi do katastrofy. Natomiast masowe strajki mogą doprowadzić do katastrofy. Cyfra strajków rośnie z miesiąca na miesiąc z przerażającą szybkością. Umniejszyć cyfrę strajków można by tylko za cenę zwiększenia inflacji. Wydaje mi się jednak, że byłoby bezpiecznie mieć nieco większą inflację lecz mniej strajków — niż odwrotnie.

LONDYŃCZYK

Legenda pierwszego sekretarza

Każdą legendę można szyć cienkimi lub grubymi nićmi. Ta nowa o Pierwszym Sekretarzu Gierku i pogomułkowskim reżymie w Warszawie szyta jest nie tylko grubymi — ale wyprutymi ze starej garderoby, w którą przyoblekano kolejno wszystkich mężów opatrnościowych epoki po-stalinowskiej. Każdy z nich był tym, który otwierał nową erę. Taką właśnie nową erę — otwiera Gierek i takim go od czasu do czasu przedstawia *New York Times*, pokazując I Sekretarza rozmawiającego z roześmianymi od ucha do ucha stoczniovcami Gdańska. Najwidoczniej już sam kontakt z Edwardem Gierkiem działa na nich konstruktywnie. Ani im już w głowie podpalanie budynków wojewódzkich urzędów Partii lub UB. Pokochali Wielkiego Brata w polskim skromnym wymiarze: Gierka, Moczara lub gen. Szlachcica. Do tych obrazków dochodzą w *New York Times*ie nie odznaczające się nadmierną głębią korespondencje p. Feron. P. James Feron nie jest wprawdzie człowiekiem zbyt przenikliwym, ale ma za sobą doświadczenie ośmiu wypędzonych z Warszawy korespondentów *N.Y. Times*'a i wie jak trzeba pisać, żeby nie być tym dziwiątym. Przynajmniej tak długo, póki mu się PRL nie znudzi. Inne pismo amerykańskie, tygodnik *Time*, pisze o Edwardzie Gierku, że jest człowiekiem Zachodu, czego dowodem jest fakt, że czyta codziennie *Le Monde*.

Rzeczywiście, sądzimy, że czyta na pewno. I to przede wszystkim warszawskie korespondencje p. Margueritte'a. A ponieważ p. Margueritte ma ważne powody osobiste, żeby przebywać w Polsce jak najdłużej, bo taki jest już los kolejnych korespondentów *Le Monde*'u, że żenią się z Polkami, którym rząd polski jak zechce, to może całkiem po prostu odmówić paszportu, więc p. Margueritte pisze jak należy, a I Sekretarz może go spokojnie czytać bez narażania na szwank swych nerwów.

N.Y. Times i inne gazety zachodnie przedstawiają Gierka jako dobrego gospodarza, technokratę i pragmatystę, który się niezbyt przejmuje ideologią, byle by ekonomia funkcjonowała.

Powiadają, że technokrata Gierek wywiódłszy Polskę z domu gomułkowskiej niewoli, poprowadzi ją szerokim szlakiem technokracji. Może tak jak Walter Ulbricht, który też jest technokratą i dlatego musiał w Berlinie zbudować mur, żeby mu technicy nie uciekali. Bo oni akurat coś innego w Ulbrichcie widzieli. Nie technokratę, ale stalinowca i dzierzymordę. Brak im było uświadomienia — ot co. Mur pomógł.

Nikt dokładnie nie wie jaki ma być ten technokrata Gierek i technokratyczna Polska, ale każdy dobrze wie, że I Sekretarz jest wiernym synem Partii, wychowanym przez Partię, zrośniętym z biurokracją komunistyczną tak samo jak jego poprzednik i poprzednik jego poprzednika. Komunizm jest pojęciem, wykluczającym technokrację, ponieważ komunizm — to biurokracja totalna, a więc ciemna, reakcyjna, pozostająca w bezustannym strachu o swój stan posiadania, siła, gotowa odwołać się w momencie zagrożenia do najbardziej barbarzyńskiego terroru. Pokazała to już w grudniu 1970 roku i pokaże jeszcze nie raz. Na razie przeżywa stan niepewności. Skłócona wewnętrznymi walkami, przerażona nagłą rebelią, musi chwilowo paktować. Być może, że dla polskiej klasy robotniczej i polskiej inteligencji jest to szansa jedyna — niepowtarzalna. Możliwość rozpalenia tlejącego się od lat zarzewia.

Biuro Polityczne KC PZPR, wyczuwa chwiejność i płynność obecnej sytuacji i dlatego za wszelką cenę potrzebuje legendy i mitu odnowiciela PRL. Gierkowi potrzebna jest aureola bohaterstwa i niezłomności, utkana choćby z najbardziej prymitywnych kłamstw. Kto i w jaki sposób może dostarczyć tych kłamstw opinii krajowej i zagranicznej? Stworzenie legendy o Gierku na użytek krajowy jest w Polsce niemożliwe. PRL produkuje buble towarowe na rynek wewnętrzny, a lepsze artykuły na eksport. W propagandzie obowiązuje odwrotny podział. Przyczyna prosta. W Kraju nie można już pewnych kłamstw propagandowych sprzedać. Nie ma frajerów, którzy by zakupili legendę o niezłomnym Gierku i patriotycznym Moczarze, którzy uchronili Polskę przed interwencją sowiecką. Ten towar jest tylko na eksport — do Stanów Zjednoczonych, Anglii, Francji, Kanady. Tam są odbiorcy propagandowych buble, których nie można upłynnić na rynku polskim. Wśród nich kolportuje się bzdurę o areszcie, w którym znaleźli się obrońcy Polski, Gierek i Moczar, zamknięci przez Gomułkę, ponieważ sprzeciwili się strzelaniu do robotników i wezwaniu armii sowieckiej.

Ponieważ idiotyzm ten nie został wydrukowany ani w *Trybunie Ludu*, ani w *Życiu Warszawy*, nie można go za granicą publikować otwarcie. Musi być rozpowszechniany prywatnie w formie „poufnych wiadomości”, zdobywanych na podstawie „absolutnie pewnych źródeł”, drogami ściśle konfidencyjnymi. Prosi się o dyskrekcję, żeby „broń Boże nie kompromitować” informatorów. Kim są ci informatorzy? Nie stanowią żadnej nowej kadry. Są komiwojażerami Polski Ludowej nie od dzisiaj. Są ludźmi wielorakiej profesji. Mogą być delegatami handlowymi,

dyplomatai, a nawet pracownikami kultury, towarzyszącymi zespołom artystycznym typu „Mazowsze”, odbywającemu ostatnio *tournée* po Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Nie muszą być nawet wyraźnie i bezpośrednio inspirowani przez „odnośne władze” na ul. Koszykowej w Warszawie. Po co? Mają za sobą długoletnią praktykę, która wyrobiła w nich coś na kształt odruchów warunkowych. Posiedli absolutną doskonałość w sztuce niezwołanego afirmowania każdej nowej władzy i negowania tej, która odeszła. Znają dobrze kalendarz i wiedzą dokładnie kiedy powinny otworzyć im się oczy na błędy czy zbrodnie tych, którzy odchodzą i kiedy powinni rozdzierać na sobie szaty. Czynią to bardzo dokładnie i terminowo. Co do dnia i godziny. Nigdy za wcześniej i nigdy za późno. Mają nieprawdopodobnie wyostrzony węch polityczny i w swej rutynie afirmacji i negacji osiągnęli szczyty doskonałości równe chyba słynnemu mówcy z powieści Orwella, który, nie przerwawszy nawet na moment przemówienia, rzucił tylko okiem na podsuniętą mu kartkę — i już wiedział, że od tej chwili trzeba mówić odwrotnie.

Gomułka miał swoją legendę. Nie uszytą, ale prawdziwą. Zrodziła się z jego autentycznej opozycji wobec hegemonii Sowieców w roku 1948. Gomułka zmarnował ją sam, gdy wymienił poparcie Narodu na pewniejszą, w jego mniemaniu, walutę uznania aparaczyków. W efekcie stracił i Naród i aparaczyków. Gdy doprowadził Kraj do ruiny gospodarczej, paraliżu i międzynarodowej niesławy, pozostawił po sobie tylko nienawiść i pogardę. Ale Gierek nie ma najmniejszego tytułu do tego, aby z bankrucstwa rządów Gomułki zbijać kapitał.

Gierek i jego frakcja usiłują nadać rozprawie z Gomułką i jego grupą pozory konfliktu, którego źródła mają rzekomo tkwić w odmiennych koncepcjach ekonomicznych. Jest to fałsz.

Wszyscy rozsądni ludzie w Polsce wiedzą, że winien jest system i że Gomułka był tylko jednym z jego wyrazicieli. Ale ponieważ system musi pozostać nietykalny, cenę musi zapłacić poprzednik Gierka. Były I Sekretarz nie został dopuszczony na toczące się w pierwszej połowie lutego plenum. Gierek nie lękał się krytyki własnych projektów, ponieważ żadnymi takimi projektami nie dysponował. Obawiał się dwóch rzeczy: tego, że Gomułka i jego przyjaciele udowodnią jasno, że w granicach istniejącego modelu wszelkie inne możliwe wersje są — tak samo jak ich własna — wielokrotnie już odgrzewaną potrawą. I tego — że Gierek, jako druga osoba po Gomułce, do ostatniej chwili aprobował i firmował plany gospodarcze Jaszczuka wraz z dalszymi ich konsekwencjami, które w ostatecznej konsekwencji doprowadziły do groźnej rewolty robotniczej na Wybrzeżu.

Żeby do upadku swego mitu nie dopuścić, uniemożliwiono Gomułce udział w plenum przy użyciu, stosowanej od dawna i z powodzeniem, metody im. Kosygina i Breźniewa. Uwielbianego do niedawna tow. Wiesława nie zamknięto wprawdzie jeszcze w Tworkach, ale wystawiono mu lekarskie zwolnienie od obowiązków partyjnych ze szczególnym podkreśleniem procesów

sklerotycznych mózgu. Świadectwo podpisał sam Minister Zdrowia. W ten sposób nadał dokumentowi charakter nietyle medyczny, co partyjno-rządowy.

Zwykłą koleją losów Gomułka — do niedawna oprawca — stał się ofiarą komunizmu.

Gomułce, jak każdemu przestępcy, przysługuje sąd i sprawiedliwość. Ale, to co się odbywa w Polsce, nie ma nic wspólnego z jakimkolwiek wymiarem sprawiedliwości. Jest typową metodą niszczenia przeciwników metodami politycznego gangsterstwa.

Zbigniew BYRSKI

New York, luty 1971

Widziane z Brukseli

„Polska w tych dniach przypomina Hyde Park...”

Kiedy przeczytałem te słowa w jednej z wielkich gazet zachodnich ogarnęło mnie prawdziwe wzruszenie. Z komunikatów radia Warszawa, odbieranych przez mój stary odbiornik jedynie o 11-ej w nocy, wiedziałem już, że na temat poprzednich rządów można obecnie w Polsce głośno mówić, a nawet pisać w słowach, za które w ciągu ostatnich lat kilka tysięcy osób straciło posady, zdrowie, a czasem nawet „drugą ojczyznę”. Co prawda, jak dawniej, ciągle jeszcze dziennik wieczorny rozpoczyna się na ogół od piętnowania agresji izraelskiej w 1967 roku, ale po tym można za to usłyszeć także co nie co na temat niektórych wydarzeń na Wybrzeżu, pewnych nowych nurtów w polityce partii, a nawet niektórych zmian personalnych i nagłych chorób byłych przywódców.

Kiedy więc przeczytałem o tym Hyde Parku, to się wzruszyłem i postanowiłem, niezależnie od słuchania drugiego wydania dziennika wieczornego, pilnie studiować prasę zachodnią. Przypomniałem sobie, że kiedy w Polsce jest Hyde Park, to dostęp do informacji jest łatwy, obraz sytuacji jasny i prosty do przekazania, że więc, skoro przyszło mi żyć na tym Zachodzie, to nie tylko powinienem słuchać radia Warszawa, ale przede wszystkim studiować, te, jak je nazywa polska prasa i Wolna Europa, masowe środki przekazu, czy środki masowego przekazu, to znaczy miejscowe gazety.

Słowo się rzekło... Po pewnym czasie stwierdziłem jednak, że coś, panie, tutaj nie gra. Im więcej czytałem, tym więcej miałem wątpliwości. A przecież czytałem tylko najpoważniejsze gazety

francuskie, a w nich przede wszystkim relacje korespondentów własnych lub wysłanników specjalnych.

„Mogło być gorzej...”

Pierwsze wątpliwości zrodziły się od razu na starcie, jeszcze wtedy kiedy na Wybrzeżu trwały tzw. wydarzenia grudniowe. Z jednej z najbardziej poważnych gazet paryskich, o światowym zasięgu, dowiedziałem się wtedy, za pośrednictwem jej korespondenta od dawna akredytowanego w Warszawie, że:

„... PZPR składa się z trzech głównych nurtów, odpowiadających zresztą trzem pokoleniom w partii. Są to działacze z awangardy, z których wielu odnalazło się w Moskwie i wśród których było wielu Żydów, komunistów z ruchu oporu z gen. Moczarem na czele, tworzący tzw. 'grupę partyzantów', i w końcu pokolenie uformowane już w Polsce socjalistycznej”.

Korespondent własny stwierdza w tym miejscu, że rola tych młodych wzrosła ostatnio poważnie, że mają oni zdecydowane przekonania ideologiczne, ale że są pragmatyczni w działaniu. Otóż właśnie w obliczu naporu tych młodych:

„... doszło do zbliżenia przedstawicieli dwóch starszych pokoleń”,

to znaczy tej awangardy, z Żydami w środku, i partyzantów. Jak stwierdza autor, a było to dnia 18 grudnia 1970 roku:

„... to właśnie tłumaczy, że stosunki gen. Moczara z p. Gomułką są dziś lepsze niż kiedykolwiek”.

Jak jednak wiadomo, już nazajutrz stosunki te się nieco pogorszyły i gen. Moczara musiał, z powodu choroby, zwolnić p. Gomułkę z zajmowanego przez 14 lat stanowiska. Mogło to zaskoczyć nieprzygotowanego czytelnika francuskiego (jeszcze w przeddzień „stosunki były lepsze niż kiedykolwiek”), gdyby szybko nie otrzymał wyjaśnienia przyczyn tego nagłego ochłodzenia. Jak czytamy mianowicie w innej wielkiej gazecie francuskiej:

„P. Gomułka, zręczny polityk w dziedzinie międzynarodowej, pozostał wierny swej robotniczej przeszłości: był skromny, a nawet ascetyczny, a wiadomo, że asceci u władzy są najgroźniejsi... W Gdańsku właśnie on osobiście zdecydował, iż bloki robotnicze będą dysponowały tylko jednym klozetem na każdym piętrze. Za moich czasów — mawiał Gomułka — robotnicy jedli mięso raz w tygodniu, a załatwiali się w głębi podwórza...”.

Sięgając tak głęboko w istotę konfliktu na Wybrzeżu i przekazując historii, nieznane dotąd szerzej, teoretyczne sformułowania byłego kierownictwa, bystry reporter francuski wskazał na pewną ciągłość problemów władzy nad Wisłą, nieświadomie nawiązując do podobnych problemów premiera Sławoja-Składkowskiego. Równocześnie jednak rozumiał, iż samo tylko — jak widać nader uzasadnione — ustąpienie Gomułki nie może wszystkiego załatwić.

„W Polsce bowiem” — czytamy po francusku — „doświadczeni politycy trafiają się rzadko... Co 10 lat zryw ludu zmiata ich z powierzchni... Po wojnie u władzy byli marksiści, ale Poznań 1956 wyeliminował Bieruta i jego stalinowców. Po Gdańsku 1970 znikają Gomułka i jego ekipa. W rezerwie pozostają tylko młodzi sekretarze z prowincji, którzy mają wielkie apetyty, ale słabo znają sprawy krajowe i międzynarodowe...”.

Jak jednak wiemy, udało się jakoś temu brakowi doświadczonych polityków zaradzić i władzę objęła nowa ekipa, która, jak wynika z historycznej analizy naszego kolegi, ma przed sobą ok. 10 lat czasu, zanim nowy zryw ludu nie zmiecie ich z powierzchni. Z tym tylko, iż sprawa tego zrywu nie jest dla wszystkich zupełnie jednoznaczna. Mogłoby się bowiem zdawać, iż zanim „niedoświadczeni sekretarze terenowi” objęli władzę, coś się odbyło, że była na Wybrzeżu rewolucja, że byli zabici, że była tragedia ludzi i dramat narodu. Jeżeli jednak czytelnik trafił na tę samą co i ja gazetę, to wtedy mógł się dowiedzieć, że:

„P. Gomułka odsunięty został od władzy w warunkach nie tyle dramatycznych — mogło być gorzej — co rozczarowujących i przykrych... Czy wydarzenia na Wybrzeżu miały charakter polityczny? Wydaje się, iż stanowiły one raczej 'rewolucję głodnych', jeden z tych wybuchów, które w mniejszym stopniu kierują się przeciw ideologii czy ustrojowi, a bardziej przeciw tym, których uważa się za odpowiedzialnych za nędzę... System nie został więc zakwestionowany. Nie było ani zamachu stanu, ani rewolucji pałacowej. Nowy pierwszy sekretarz od dawna już był uznanym 'delfinem' p. Gomułki...”.

„Ani w lewo, ani w prawo...”

Z tego co wyżej wynika wiele rewelacyjnych uogólnień teoretycznych, albowiem, jeżeli „rewolucja głodnych” jest tylko wybuchem, to tylko „wybuch sytych” może być rewolucją, jeżeli odpowiedzialni za nędzę nie reprezentują ideologii, to reprezentują ją tylko odpowiedzialni za sytość? itd., itp... Dla nas, dziś, inny wniosek jest podstawowy. Jeżeli mianowicie nie było ani zamachu stanu, ani rewolucji pałacowej, to — *tertium non datur* — i Edward Gierek doszedł do władzy w wyniku zwyczajnych wolnych wyborów, powszechnie w tym celu stosowanych w krajach Europy Wschodniej. Kto zacytuje więc ów nowy przywódca, za którym tak jednomyślnie oddali swe głosy stoczniowcy z Gdańska i Szczecina?

„Edward Gierek” — dowiadujemy się od własnego korespondenta świątowej gazety francuskiej — „znany jest opinii polskiej nie tylko przez swoje idee, ale także z tego co potrafił już dokonać na Śląsku”.

Przy czym, aby rozwiać wszelkie wątpliwości co do skali wartości, wspomniany wyżej ekspert od współczesnej historii Polski dodaje:

„Ta śląska powaga może okazać się bardziej owocna, niż entuzjazm z roku 1956...”.

A dlaczego powaga śląska 70 jest lepsza od entuzjazmu 56? A no dlatego, że:

„P. Gierek jest zwolennikiem zdecydowanych, głębokich i radykalnych reform gospodarczych, przeprowadzanych przy udziale i poparciu opinii... Wiele osób żywi przekonanie, iż rozpoczyna się nowy okres historii Polski socjalistycznej...”

Brzmi to dumnie i zachęcająco, tym bardziej, że w odróżnieniu od wspomnianego uprzednio przez tego samego korespondenta, zawartego w obliczu ciśnienia „młodych sekretarzy” sojuszu starej awangardy (z Żydami w środku) z gen. Moczarem, tym razem:

„...P. Gierek oparł się na pokoleniu powojennym, które przejmuje ster kraju...”

Jak widać, dla korespondenta własnego, kulisy władzy na żadnym etapie w PRL nie kryją większych tajemnic. Godzi się więc wspomnieć, że jego niektórzy koledzy są w trudniejszej sytuacji, gorzej poinformowani, no, i nie u źródła. Stąd drobne nieporozumienia. Wielka agencja donosi np., że:

„Nowy szef polskiej partii uważany jest w Waszyngtonie za przekonanego komunistę o tendencjach umiarkowanie liberalnych. W 1968 roku popierał on liberalizację Czechosłowacji, zanim nie została ona zduszona przez Rosjan...”

Ten nieznany fragment biografii nowego I sekretarza — myśleliśmy, że było nawet wprost przeciwnie — zostaje uzupełniony przez pewien duży dziennik rewelacjami z bardziej oddalonej epoki.

„Kariery p. Gierka” — donosi on — „została nieco przyhamowana po dojściu do władzy p. Gomułki, ale przy pomocy mas robotniczych udało mu się (tzn. Gierkowi) umocnić swą pozycję i przejąć kierownictwo woj. katowickiego — płuc przemysłu polskiego...”

Znowu bolesna rewizja przeszłości. My co prawda myśleliśmy, że to p. Gierek poparł, przy pomocy mas robotniczych, p. Gomułkę, obiecując połamać kości jego przeciwnikom, ale skoro woj. katowickie to płuca, to wszystko staje się możliwe. Po nabraniu więc głęboko w płuca katowickiego powietrza, stwierdzamy, sumując to co wyżej, że wszystko jest cacy: reformy są głębokie i radykalne, młodzi są u steru i nowy okres się rozpoczyna. Martwimy się tylko, że Gierek jest sam na sam z młodymi, ale niedoświadczonymi. Zaglądamy więc do gazety i znowu od razu wszystko jest jasne:

„Wprowadzając p. Moczara do Biura Politycznego, a p. Kociołka do sekretariatu, nowy I sekretarz skupił zważnionych braci w imię obrony wspólnej sprawy: jedności partii. Patriota Moczar i neo-liberał Kociołek bez

zdziwienia mogli więc obserwować jak to p. Gierek z jednej strony porozumiewawczo mruga do kardynała Wyszyńskiego, a z drugiej — obiecuje robotnikom poprawę ich losu... Ukoronowaniem tego gmachu jest postawienie na czele państwa p. Cyrankiewicza, człowieka którego obecność u władzy nieprzerwanie od roku 1947 świadczy, iż jest on barometrem systemu. Któż więc śmiałby jeszcze twierdzić, że Polacy są porywczy? Mądre i spokojne rozwiązanie kryzysu politycznego, największego od 1945 roku, świadczy właśnie o czymś wprost przeciwnym...”

Ale nawet taka drużyna, złożona z mrugającego z jednej strony Gierka, z patrioty Moczara i neo-liberała Kociołka nie sprostają sama zadaniu. Obraz uzupełnia więc nasz stary znajomy korespondent własny, kreśląc sylwetkę nowego premiera:

„Krytyczne i precyzyjne wystąpienia premiera Jaroszewicza wzbudzały często zainteresowanie obserwatorów... Ma on opinię człowieka stosunkowo niezadowolonego ze sposobu budowy socjalizmu w jego kraju... W chwili gdy problemy ekonomiczne wysuwają się na czoło, nominacja tego kompetentnego i umiarkowanego specjalisty na szefa rządu tłumaczy się sama przez się...”

Tak uzupełnione kierownictwo przestaje być stosunkowo niezadowolone i jasno widzi przyszłość. Korespondent własny stwierdza, że:

„Przemówienia Gierka rysują program 'reformistyczny', centrowy. 'Nasza droga nie prowadzi ani na lewo, ani na prawo od socjalizmu’”.

cytuje korespondent słowa Gierka, po czym tak informuje opinię zachodnią:

„W ten sposób nowy pierwszy sekretarz zajmuje miejsce tradycyjnie zajmowane przez samego p. Gomułkę”.

Stały czytelnik własnego korespondenta mógłby w tym miejscu zapytać po co Polacy jedli tę żabę i niby dlaczego zajęcie miejsca tradycyjnie zajmowanego przez Gomułkę nazywa się „nowym okresem w historii Polski socjalistycznej”, ale uwagę jego przykuwa już barwna i waleczna sylwetka gen. Moczara, patrioty i legendarnego dowódcy partyzantów.

„Generał bezradny i izolowany...”

Lekko poruszeni dowiadujemy się na wstępie, że:

„Sowieckie Biuro Polityczne nie bez niechęci musiało pogodzić się z awansem gen. Moczara, uważanego za zażartego nacjonalistę. Nie bez wewnętrznej rozdarci Rosjanie stwierdzili, że szef partyzantów odgrywa istotną rolę w równowadze sił politycznych w Polsce. Rozwaga i spokój wymagają więc, logicznie biorąc, aby Rosjanie grali do końca kartę Gierka przeciw rosnącemu wpływowi Moczara...”

To nie żarty, pomyśleliśmy. Rosjanie są wewnętrznie rozdarci, więc perspektywa starcia między zażartym patriotą a reformato-

rem czy neo-liberałem wydawała się nieunikniona. Od czegoż jednak korespondent własny. Uspokoił nas natychmiast, a on wie co mówi, że:

„Rosjanie uważają, że wybór Moczara nie stanowi obecnie poważniejszego niebezpieczeństwa, ponieważ Gierek i jego przyjaciele mocno dzierżą ster państwa...”.

Obawy takie byłyby tym mniej uzasadnione, że przecież, wbrew, wydawało się, powszechnemu mniemaniu:

„Generał Moczar” — *jak stwierdza korespondent własny* — „wchodzi do Biura Politycznego nie jako przywódca kierunku tzw. 'partyzantów', ale jako odpowiedzialny za sprawy bezpieczeństwa, co jest rzeczą zrozumiałą w tych niespokojnych czasach... Jest on zresztą dość osamotniony w składzie nowego Biura...”.

Łza zwilżyła mi papier. Biedny generał! Po pierwsze — nie jest to żaden przywódca żadnego ruchu tzw. „partyzantów”. Po drugie — jest to wybitny specjalista, który nie może odmówić Ojczyźnie swych usług w niepewnych chwilach. Po trzecie — i tak jest osamotniony w Biurze i nie należy się go czepiać. Widać jednak współczucie dla generała było na Zachodzie nie dość silne, bo po kilku dniach nasz sprawozdawca wraca do delikatnej sytuacji osamotnionego specjalisty od spraw bezpieczeństwa w niepewnych chwilach:

„Generał Moczar” — *czytamy mianowicie w światowym dzienniku paryskim* — „odgrywa dziś poważną rolę w Biurze Politycznym raczej *à titre personnel* niż jako przywódca prądu ideowego 'partyzantów'. Generał, jak się wydaje, nie jest jednak w stanie przeszkodzić niektórym ze swych przyjaciół wyciągać określonych korzyści z kryzysowej sytuacji. Niesłychanie sprytnie grają oni ostro kartę liberalizmu i dokładają wysiłków, aby wykazać, że decyzje podjęte przez nowe kierownictwo są niewystarczające. Osoby te, wśród których znajduje się sporo członków partii, kreślą przed korespondentem prasy zachodniej skrajnie czarny obraz sytuacji, krytykują powolność władzy i ograniczenie wolności wypowiedzi w prasie...”.

„... ale zdyscyplinowany i bogobojny...”

Generał więc, choć taki wielki specjalista, jest jednak bezradny, albowiem nie jest już przywódcą prądu ideowego, a tylko członkiem *à titre personnel*. Sytuacja musiała się nadal pogarszać, izolacja generała rosła, a zagrożenie w dziedzinie, która jest specjalnością generała wzrastało, skoro już w 3 dni po poprzedniej korespondencji własnej, mogliśmy znowu w tej samej gazecie czytać doniesienia z frontu niemocy zażartego nacjonalisty.

„Utrzymywanie wzburzenia” — *donosi korespondent własny* — „odpowiada określonym siłom w partii, które chciałyby przedstawić się, także w Moskwie, jako jedynie zdolne przywrócić ostatecznie porządek w kraju. Niektórzy z 'partyzantów’ — mimo, iż generał Moczar, ich domniemany przy-

wódca, pozostaje na uboczu tej operacji — rzucają hasła liberalne i nie cofają się przed wysuwaniem najzupełniej nierealnych postulatów... W kołach bliskich nowego kierownictwa zapewnia się jednak, że gen. Moczar ma obecnie jak najlepsze stosunki z p. Gierkiem, a prywatnie zapewnia się, że partyzanci, którzy rozrabiają zostaną szybko doprowadzeni do porządku”.

Voilà! P. Moczar, który jeszcze niedawno, jak pamiętamy, miał jak najlepsze stosunki z p. Gomułą, teraz ma już świetne stosunki z p. Gierkiem. To cieszy, a zarazem tłumaczy dlaczego domniemany przywódca nie może nie pozostawać na uboczu (chciałoby się krzyknąć: na UB-eczu”, ale to prostacki kalambur), operacji, kiedy to niegrzeczni partyzanci rzucają hasła, o zgrozo, liberalne i nierealne. Jakie to szczęście, że czytelnik francuski korzysta z pośrednictwa korespondenta tak wysoce ustosunkowanego i tak świetnie mającego kontakty! Koła z dołów partii kreślą przed nim skrajnie czarny obraz sytuacji, krytykują powolność władzy i ograniczenie wolności słowa; koła bliskie góry zapewniają go o intymnej przyjaźni przywódców, prywatnie go uprzedzają, że fałszywie liberalnych rozrabiaczy weźmie się za buzię. Czytelnik, już wzruszony samotnością generała (takie polskie Colombey-les-Deux-Eglises), podziwia jego ponad wszelkie próby silniejszą lojalność, podziwia tym bardziej, iż generał słynął dotąd na Zachodzie z innych raczej cech charakteru.

Nie trzeba się jednak dziwić, trzeba za to czytać gazetę. Mianowicie już nazajutrz po stwierdzeniu, że generał stoi na uboczu „operacji”, czytelnik francuski otrzymuje próbę genezy tego stanu z bronią u nogi. Oto bowiem:

„Generał Moczar osobiście poparł Edwarda Gierka. Zresztą zachowuje on (*znaczy się Moczar*) dyscyplinę od zjazdu w listopadzie 1968 roku. Generał jest zadowolony widząc, iż niektóre z jego 'patriotycznych' koncepcji weszły do programu partii i jest rzeczą jasną, iż nie popiera on tych, co pragną następnego etapu. Ktoś mógłby pomyśleć, że chodzi tu o podział ról, ale nie wydaje się, aby miało to odpowiadać prawdzie. Ostatnio zresztą stanowisko gen. Moczara jest ostro krytykowane przez niektóre środowiska 'partyzanckie'. Nowy prąd, który można by nazwać 'neo-partyzanckim' zaczyna się ujawniać... Ich hasła są dość znamienne. Pewien członek KC powiedział nam, iż znalazł tam akcenty gauchistowskie...”.

Nie wiem kto mógłby posądzać generała o podział ról i inne makiawelizmy, ale na pewno nikt z czytelników korespondenta światowej gazety francuskiej. My czytamy dalej. Stwierdzamy, że ujmująca sylwetka generała-patrioty, który lojalnie przestrzega dyscypliny już od listopada 1968 roku (a przedtem?) i jest bezradny wobec polskich gauchistów pod wodzą tow. Józefa Kępy (nazwisko cytowane jako przywódcy neo-partyzantów, coś w rodzaju polskiego Cohn-Bendita), że ta sylwetka nabiera wprost anielskich blasków po lekturze korespondencji własnej na temat artykułu pisarza Mieczysława Moczara w *Polityce*. Francuski czytelnik słusznie dowiadyuje się natychmiast o tym wydarzeniu literackim i nowym sukcesie pióra generała (we Francji takie *hobby* jest zrozumiałe u generałów: kiedy wreszcie ukażą się „Barwy

walki" po francusku?!). P. Moczar, delikatnie i w słowach pełnych szacunku dla misji Kościoła w Polsce opowiada o swych serdecznych stosunkach z arcybiskupem Jasińskim. To prawie nawrócenie jest — zdaniem korespondenta własnego:

„... tym bardziej znamienne, że generał Moczar jest obecnie odpowiedzialny w Biurze Politycznym za stosunki z Kościołem”.

Dziennikarz francuski dodaje zresztą, że nie jest to wcale zaskakujące, jako że:

„... dla tego nacjonalisty, Kościół, niezależnie od różnic ideologicznych, należy do wielkiej tradycji polskiej...”.

Było naturalnie obowiązkiem korespondenta zagranicznego odnotować tak rzadkie zjawisko, jak artykuł napisany — sądząc ze stylu — najzupełniej samodzielnie przez generała-przyjaciela duchownych. Mimochodem tylko dorzucmy, iż należy wyrazić żal, że tej operatywności zabrakło przy okazji innych wystąpień literackich takich jak np. z jednej strony przemówienie Andrzeja Jędrzejewskiego na pogrzebie Jasienicy, a z drugiej strony — serii *Życia Literackiego* na temat światowej siatki szpiegowskiej złożonej z żydowskich emigrantów z Polski (tak ustosunkowany korespondent mógłby nawet ujawnić nazwisko pana Wacława Szafrńskiego), lub też wielkiego dziennikarskiego *come back*, jakim stał się sensacyjny artykuł niejakiego Gontarza. To, ostatecznie wydarzenie pozwoliłoby korespondentowi własnemu na szersze wyjaśnienie historii dyscypliny osamotnionego generała z 1968 roku, ujawniłoby powody bezradności byłego przywódcy prądu ideowego wobec tez zawartych w artykule p. Gontarza. Sięgając przy tej okazji w niedawną przeszłość mógłby korespondent własny zatrzymać się również nad operacją, na której uboczu w 1968 r. p. generał nie stał, i w ramach której ściśle współpracował nie tylko z p. Gontarzem, ale także z p. Szlachcicem, ostatecznie mianowanym ministrem spraw wewnętrznych. Z tym właśnie p. Szlachcicem, który, jak to jakby z żalem, określa nasz korespondent:

„... jest, trzeba to przyznać, przyjacielem p. Moczara”.

Skojarzenie zaradności dziennikarza z bezradnością generała byłoby tym ciekawsze, iż tezy p. Gontarza są najzupełniej sprzeczne z zasadami polityki p. Gierka. Dzieje się tak mimo, iż przeciw cenzura w Polsce nie została zlikwidowana. Ba, jest ona — według paryskiej gazety — nawet potrzebna:

„Mimo wyraźnych chęci” — *pisze nasz korespondent własny* — „nie można szeroko zliberalizować informacji prasowej. Jak nam to wytłumaczył pewien polski kolega: jeżeli zlikwidujemy cenzurę prasy, to byłoby to na rękę jedynie demagogom w partii”.

Wynika z tego po pierwsze, że antygierkowskie i pro-marcowe tezy Gontarza nie są demagogiczne. Wynika, po drugie, że podob-

nie jak we Francji, brak cenzury jest na rękę nie tyle demagogom w partii, ile właśnie w prasie. I wynika z tego, po trzecie, że korespondent własny ma bardzo złych polskich kolegów.

A priori — nie bardzo...

Na tle szerokiej panoramy izolowanego generała, błędnie reszta cennych skąd inąd spostrzeżeń naszego korespondenta. Według niego np.:

„Odejście Logi Sowińskiego umożliwi szeroką reorganizację związków zawodowych. Ich autonomia zostanie wzmocniona, i przekształcą się one, zgodnie z ich powołaniem, w rzecznika interesów klasy robotniczej...”.

To powiedziawszy nasz korespondent spokojnie czeka na nominację następcy Logi. Niestety nazajutrz musi stwierdzić:

„Prawdę mówiąc nominacja p. Kruczka nie daje *a priori* gwarancji odnośny w związkach zawodowych. Jest on raczej znany jako człowiek bezwzględny o tendencjach dogmatycznych”.

Ale nie martwmy się. Kruczek — prawdę mówiąc — jest *a priori* zwyczajnym stalinowskim dzierżymordą, ale *a posteriori* na pewno dojrzeje i przekształci się w prawdziwego demokratę. Perspektywa tym bardziej nieuchronna, że jak donosi nasz korespondent:

„Pewna osobistość z bliskiego otoczenia ekipy, interpelowana przez nas na temat manifestacji (styczeniowych) w stoczni gdańskiej, odpowiedziała nam spokojnie: 'Robotnicy wysuwają postulaty i jest rzeczą normalną, że ich bronią. Jest to sytuacja, do której musimy się przyzwyczaić'... Takie słowa” — *dodaje nasz obserwator* — „byłyby nie do pojęcia w czasach Gomułki. Wykazują one wielkość przemian, jakie dokonały się w Polsce...”.

Módlmy się, bracia...

Przyszłość więc przed nami, dopiero musimy się do niej przyzwyczaić, tym bardziej, że daleko do końca przeżyć i przekształceń. Oto bowiem, tak obficie dziś przytaczany korespondent własny, sięga, z końcem stycznia, ponownie do swych przebogatych kontaktów, aby zapowiedzieć, że:

„Jak mi powiedziano z kół politycznych, VIII plenum KC stanie się polskim XX zjazdem”.

Przypuszczam, że ta osobistość z kół politycznych wzięła swe życzenia za rzeczywistość i wyraziła się dość nieprecyzyjnie. Bez zasięgania już opinii kół politycznych, nasz korespondent musi więc, w dzień po VIII plenum, które, jak wiadomo, nie stało XX zjazdem, z żalem stwierdzić:

„Margines działania p. Gierka jest zbyt wąski, a naciski z różnych stron są zbyt silne, aby mógł on przedstawić jakiś realny i generalny program...”.

Przykro nam, ale niestety, musimy kończyć, bo drukarnia czeka. Nie dowiedzieliśmy się więc ani z jakich to kół politycznych pochodziły te, tak gęsto cytowane a tak często mylące się, osobistości, ani jakie to określone siły w partii korzystają z sytuacji kryzysowej, aby przedstawić się w Moskwie, ani jakie to naciski i z czyjej strony tak bardzo ograniczają margines działania p. Gierka. Nic nam więc nie pozostaje innego, jak czekać na dalsze opowieści o smutnej izolacji, stojącego na uboczu *à titre personnel* domniemanego przywódcy prądu ideowego, bezradnego, choć taki wielki on specjalista, wobec polskich guchistów z Kępą na czele i wobec niesfornych publicystów, którzy tylko czekają na obalenie cenzury, choć mogą swobodnie wypisywać co chcą mimo, że cenzura istnieje.

Elementy przyszłości są dla nas tym ważniejsze, że nasz korespondent własny tak wysoko ocenia zmiany w Warszawie, iż:

„Mówi się tutaj nawet o ewentualnym powrocie niektórych intelektualistów, którzy opuścili Polskę w 1968 roku”.

Jeżeli się nie mylę to ma on tutaj na myśli tych intelektualistów, którzy padli ofiarą pewnej operacji, kiedy to żaden z obecnych przywódców z generałem na czele nie stał na uboczu, kiedy ci przywódcy nie odczuwali żadnych nacisków, ograniczających margines ich działania, zmierzającego do usunięcia tych właśnie intelektualistów z posad i z kraju.

Tym wszystkim, którym sposób przekazywania obrazu sytuacji w Polsce, mimo Hyde Parku itp., odbiera resztkę zaufania do prasy, mówimy: nie wszystko stracone. Albowiem, jak się dowiadujemy:

„Wyjątkowo zdolny organizator, błyskotliwy mówca, Edward Gierek jest, jak większość polskich komunistów, praktykującym katolikiem”.

No to, amen!

Pisane 13 lutego 1970

BRUKSELZYK

P.S. Nie podaję nazw gazet, ani nazwisk korespondentów, albowiem tylko przypadek sprawił, że czytałem akurat francuskie gazety, a w tym wyjątkowo pilnie studiowałem jedną o światowym zasięgu. Gdyby ktoś inny przeglądał np. gazety niemieckie, znalazłby zapewne równie dużo zabawnych — i tendencyjnych — informacji czy komentarzy. Na szczęście, zakneblowana prasa na Zachodzie, spełnia w mniejszym niż gdzie indziej stopniu, rolę zbiorowego organizatora i monopolistycznego informatora.

Nie muszę dodawać, że wszystkie zacytowane fragmenty wraz z datami i innymi szczegółami są w moim biurku. Na wszelki wypadek. I na dowód, że nie stałem na uboczu...

B.

Sąsiedzi

Zgryźliwe uwagi na tematy ukraińskie

I. CIEN POSSEWINA

Jak wiadomo, Ukraińcy, żyjący w diasporze, dążą do utworzenia własnego Katolickiego Patriarchatu. Wiadomo również, że Watykanowi dążenia te wielce nie przypadają do smaku. Na tym tle, w lipcu ub. roku doszło do ogłoszenia listu kardynała Tisseranta, przyjętego przez opinię ukraińską w wolnym świecie z całkowicie usprawiedliwionym oburzeniem. List miał charakter prywatny, ale poruszył sprawy publiczne; Tisserant skierował go do pewnej Ukrainki, zamieszkałej w Nowym Jorku, po czym adresatka ogłosiła jego tekst w prasie. Nie będę się rozwodzić, jak doszło do wymiany korespondencji, to zresztą ma drugorzędne znaczenie. Ważne jest, co kardynał Tisserant miał do zakomunikowania na temat katolickiego kościoła ukraińskiego i samego ukraińskiego narodu. List jest dość krótki, więc przytaczam go w całości.

„Droga Pani! Otrzymałem Pani list z dnia 29 czerwca 1970, oraz załączoną broszurę. Przeczytałem obydwie teksty, broszurę raczej pobieżnie, gdyż nie znalazłem w niej nic dla mnie nowego. Pani zakłada, że poszczególne ludy tworzą swoje patriarchaty, co nie jest zgodne z dziejami Kościoła. Tytuł 'patriarcha', nazwa 'patriarchat' powstały w pierwszych wiekach naszej ery na konsyliach ekumenicznych. Jest prawdą, że patriarchat rosyjski nie powstał decyzją ekumeniczną i nie istniał przed rokiem 1589. Ale w Rosji nikt nie myślał o rozbijaniu Kościoła i utrzymywano jego jedność stworzoną przez książąt Wielkiej, Małej i bielickiej (!) Rosji. Toteż nie istnieje żadna racja historyczna, aby wyodrębnić w nazwie diecezję kijowską i diecezję halicką. Ukraina to nie jest nazwa tradycyjna, nawet gdy chodzi o historię polityczną. Nazwa ta zjawiała się dopiero za czasów Mazepy i wkrótce zaginęła. W cesarstwie austro-węgierskim pojawiła się nazwa Rutheni, w ostatnich dziesięcioleciach XIX wieku, ale nikt, z wyjątkiem bardzo nielicznych kół, nie zwrócił na to uwagi. Pani przodkowie nosili narodową naz-

wę „Rusinów”, przełożoną w sposób poprawny przez autorów zachodnich na *Rutheni*. Pasje polityczne mogą tylko zaszkodzić waszej społeczności katolickiej, co zresztą już się stało. Pragnąłbym, aby wasi przełożeni to zrozumieli i poświęcili większą uwagę doskonaleniu życia religijnego. To jedyna, naprawdę doniosła sprawa.

Z szacunkiem pozostaje w Chrystusie
+ Eugene Card. Tisserant”.

Wydawałoby się, że pisząc list w sprawie żywo obchodzącej miliony ludzi, książe Kościoła, zajmujący tak wysokie stanowisko, powinien był przynajmniej uważnie przeczytać tekst listu przed jego podpisaniem. Bo cóż to właściwie znaczy — cytuję według angielskiego oryginału — „Princes of Welikia, i Malia i bielikia Rossii”? To ostatnie to zapewne Białoruś, a wyszedł kapitalny dziwoląg, kompromitujący autora. Doprawdy to już nonszalancja posunięta zbyt daleko!

Ostatecznie, przy bardzo dobrej woli można by się zdobyć na pewną wyrozumiałość: może to błąd maszynowy, może *lapsus linguae*? Niestety, list każdym swoim zdaniem świadczy o absolutnej ignorancji kardynała Tisseranta w sprawach Europy Wschodniej. A na to nie ma ani usprawiedliwienia ani pobłażania. Materie historyczne, fakty, daty są w tym krótkim liście tak pomieszane ze sobą, że przysłowiowy hultajski bigos może wydać się wytwornym daniem. Niedobrze! Bo do tej absolutnej ignorancji doszła zarozumiała pewność siebie i arogancki ton, użyty w stosunku do narodu, o którym kardynał wie tyle, co nic. A nawet gorzej, bo powtarza on szowinistyczne opinie rosyjskie, dawno obalone przez poważną wiedzę historyczną. Gdyby carski minister Wałujew, i osławiony pseudo-historyk, Iłowajskij, dożyli do naszych czasów, Tisserant mógłby się poczuć znakomicie w ich towarzystwie. Zarzuty są ciężkie, trzeba je solidnie umotywić.

Z listu wynika jakoby nazwy Wielkiej i Małej Rosji istniały już w chwili powstania kościoła chrześcijańskiego. Przede wszystkim już samo użycie określenia „Rosja” w stosunku do średniowiecza jest grubym anachronizmem. A także w czasach późniejszych aż do wieku XVIII. Słowo *Rosja* (*Rassija*) przyjęło się dopiero w okresie „petersburskim”, przedtem używano pojęcia *Ruś*, a to przecież nie to samo. Średniowieczna Ruś zaczęła różniczkować się bardzo szybko, bo już w wieku XI, zaś przeszło dwa stulecia trwające jarzmo tatarskie dokonało reszty. Gdy powstał patriarchat moskiewski (a nie rosyjski, jak chce kardynał Tisserant) o jedności narodowej między Kijowem, Haliczem, Włodzimierzem Wołyńskim z jednej strony, a Moskwą, Suzdałem, Włodzimierzem nad Kłazmą, Ugliczem z drugiej — nie było już mowy. To samo zresztą da się powiedzieć o Wilnie, Grodnie, Nowogródku, ale by nie rozszerzać problematyki, ograniczę się do sprawy ukraińskiej.

Jedna tylko marginesowa uwaga: gdyby Nowogród Wielki zdołał obronić swoją niepodległość państwową, najprawdopodobniej powstałby jeszcze jeden naród wschodniosłowiański, odrębny od Moskwy. Ale to też zupełnie inna kwestia. *Ad rem*.

Tisserant z całą powagą przyjmuje ahistoryczny podział na Wielkorosję i Małorosję, nie zdając sobie sprawy, że to fikcja wykoncyptowana przez petersburskich urzędników. Skąd się wzięła sama nomenklatura? Otóż ktoś wyszperał, że w Bizancjum istotnie nazywano Ruś Kijowską, czyli dzisiejszą Ukrainę *Mikra Rosia*, w przeciwieństwie do Rusi północnej, którą nazywano *Megale Rosia* — Wielka Ruś. Ale obydwie przymiotniki *mała* i *wielka* dotyczyły nie obszaru, ani tym bardziej znaczenia politycznego, lecz wyłącznie odległości geograficznej.

Przypomnijmy, że Sycylia i południowa Italia, skolonizowane przez Doryjczyków, nosiły w starożytności nazwy Wielkiej Grecji (dla Rzymian *Magna Graecia*), to znaczy bardziej odległej. Mamy tu pełną analogię. *Mikra Rosia*, to była Ruś najbliższa, z którą Grecy od dawna utrzymywali bliskie stosunki wojenne, handlowe, kulturalne. Zaś oddalone kolonie ruskie nad górną Wołgą i Oką, to była *Megale Rosia*, ze względu na wielką odległość. W interpretacji imperialnego Petersburga pierwotne znaczenie uległo odwróceniu. Przeciwstawienie *wielka* - *mała* zatraciło swój sens geograficzny, nabrało sensu wartościującego. Wielka Rosja — panująca, Mała Rosja — rządzona. To właśnie wtedy zaczęło klarować się pojęcie „starszego brata”, a następnie przywódcy całej Słowiańszczyzny.

Nazwa Ukraina pojawiła się — według kardynała Tisseranta — dopiero za Mazepy, więc na przełomie XVII i XVIII wieku i wkrótce potem zagięła. Na jak długo „zagięła”, kardynał wyjaśnić nie zechciał. Było, oczywiście, inaczej. Po raz pierwszy słowo Ukraina, w archaicznym formie Oukraina, utrwalała została na piśmie przez kijowskiego kronikarza, gdy w roku 1187 opłakiwał śmierć perejaśławskiego księcia, Włodzimierza Hlibowicza: „poszedł jęk po Oukrainie...”. Następna wzmianka, pod datą 1189, dotyczy ziemi halickiej, jeszcze późniejsza, z 1213 — Nadbuża.

Nie ulega wątpliwości, że ówczesnie chodziło o określenie tylko ziem pogranicznych, ale z biegiem czasu jego zakres ulegał stałemu rozszerzaniu. Siedemnastowieczne mapy obejmują tą nazwą trzy województwa: kijowskie, braclawskie i czernihowskie. Wcześniejszy o pół wieku francuski inżynier Beauplan określa granice w sposób bardzo zbliżony. Ale już w odezwach Bohdana Chmielnickiego czytamy słowa: „Ukraina, odwieczna ojczyzna nasza...” — o zupełnie wyraźnym wydzwiku.

Że nazwa, wbrew zapewnieniom kardynała Tisseranta, nie

zaginęła, mamy dowodów, aż za wiele. Jeżeli Taras Szewczenko wyda się komuś podejrzanym, że nieobiektywny, oto liczni świadkowie w osobach pisarzy polskich i, co ważniejsze, rosyjskich. Malczewski, Goszczyński, Zaleski, Słowacki, Grabowski, Czajkowski prawie zawsze pisali o Ukrainie, z rzadka o Rusi. U Puszkina: „Ticha ukrainskaja noc”, a nie małoruskaja; u Lermontowa: „Cwietuszczija stiepi Ukrainy ana pramieniała”; u Aleksieja Tołstoja: „Ty pomnisz noc nad spiaszczaju Ukrainoj”, itd., itd. Takich przykładów — na kopy!

To, oczywista, nie żadne rewelacje i aż wstyd, że trzeba służyć informacjami, elementarnymi dla każdego kto jako tako wprowadzony jest w materię, i odpowiedź na „argumenty” wybitnego księcia Kościoła zaczynać od historycznego i politycznego abecadła.

Z listu wynika również wnioski zupełnie już niesamowity. Dążenie do utworzenia ukraińskiego patriarchatu katolickiego uznane zostało za próbę rozbijania jedności kościelnej. Jakiej jedności? Jakiego kościoła? Gdy kler diecezji halickiej przyjął definitywnie unię brzeską, patriarchat moskiewski w ogóle nie istniał, zniesiony przez Piotra I. Kościół katolicki obrządku wschodniego na tych ziemiach nigdy nie miał i nie mógł mieć nic wspólnego z prawosławną hierarchią rosyjską. Samo wymienianie jednym z prawosławnego patriarchatu moskiewskiego i katolickiej diecezji halickiej jest więc skandalicznym nieporozumieniem. Jeśli skandal istotnie ogranicza się tylko do nieporozumienia.

Czy list kardynała Tisseranta można uznać za wyłączny wyraz jego osobistych opinii? To byłoby najwygodniejsze wyjście z sytuacji, ale obawiam się, że grzeszące nadmiernym optymizmem. Watykan już od dość dawna uprawia politykę dziwnej kokieterii pod adresem wielkorządców Związku Sowieckiego. Zaczęło się, jeszcze za Jana XXIII, od takich pozornie niewinnych posunięć, jak przyjęcie na specjalnej audyencji towarzysza Adzubeja i ofiarowanie różańca córeczce Nikity Chruszczowa.

Potem przyszły, w odstępach paru lat, audyencje dla Podgornego i Gromyki, a przede wszystkim wręcz niebywały w swojej treści list gratulacyjny Ojca Świętego, wystosowany w roku 1969 do patriarchy moskiewskiego. Tak jest! W pięćdziesiątą rocznicę odnowienia patriarchatu Paweł VI uznał za wskazane oświadczyć, że, poczynając od roku 1919, nastąpiło moralne odrodzenie rosyjskiego prawosławia i usamodzielnienie się jego hierarchii. Stąd owe serdeczne gratulacje.

I tu zaczęła się jakaś surrealistyczna gra, z którą nie wiadomo, co począć i jak się do niej ustosunkować. Nie mieści się w głowie przypuszczenie, że w Watykanie nie orientują się, iż kult religijny w Sowietach jest oficjalnie dozwolony w niewielu miejscach i służy propagandzie. Słynny klasztor w Zagorsku, do którego docierają

nawet zagraniczne wycieczki turystyczne, to przecież rodzaj wystawy, mającej oszukiwać naiwnych. Tym samym celom służy np. niedawno nakręcony film o ikonografii słynnego Rublowa.

Główni przedstawiciele patriarchatu są marionetkami w rękach władzy sowieckiej i stanowi tajemnicę Poliszynela, że hierarchia jest gęsto przetkana agentami bezpieczeństwa i prowokatorami. Czyż taką hierarchię w ogóle można brać na serio? Widocznie można i nawet wiązać z nią określone nadzieje na przyszłość. A ta enigmatyczna przyszłość to, naturalnie, stare marzenie: nawrócić całą Rosję na katolicyzm.

I tak oto zamierzchły cień Possewina znowu pada na te zawiłe sprawy i przywołuje niewesołe wspomnienia przeszłości. Dyplomacja Iwana Groźnego wywiodła Possewina w pole, obiecując mu wszystko, czego nigdy nie zamierzała dotrzymać. Na Possewina raczej trudno się pieklić: włoskiego jezuitę z końca XVI wieku łatwiej zrozumieć i rozgrzeszyć. Owczesna Moskopia to przecież była na Zachodzie *terra ignota*, nie trudno było popełniać pomyłki i błędy. Ale Watykan ma za sobą już kilkusetletnie doświadczenia w stosunkach z Rosją i prawosławiem, więc był czas wyleczyć się ze starych złudzeń.

W grudniu 1845 roku zjawił się w Rzymie cesarz Wszechrosji, Mikołaj I, i został przyjęty na specjalnej audyencji u papieża, którym był ówczesnie Grzegorz XVI. Trzydzieści lat wcześniej, w niecały rok po upadku powstania Listopadowego Grzegorz XVI wydał słynne *breve* do biskupów polskich, w którym potępiał zbrojne zrywy i wzywał do posłuszeństwa władzy państwowej. Wiadomo jak bardzo to wystąpienie rozgorczyło współczesnych Polaków („na pobitych Polaków pierwszy kławę rzuce” — pisał młody Słowacki w „Kordianie”).

Później jednak papież niejednokrotnie dawał wyraz swemu niezadowoleniu i trosce z racji prześladowań katolików w Rosji. Wizyta Mikołaja I miała te sprawy załatwić i doprowadzić do porozumienia. Namiętny apologeta Grzegorza XVI, Jean Lacordaire, utrzymywał, że *breve* z roku 1832 podyktowane było „chęcią ułagodzenia tyrana”. Kardynał Wiseman podaje w swoich „Recollections of the last four Popes”, wersję naocznego świadka, który widział Mikołaja I, gdy ten wychodził po skończonej audyencji. Podobno wyglądał na przybitego i upokorzonego tym, co usłyszał.

Jak było tak było, ale znamy słowa, wypowiedziane przez papieża w parę tygodni po wizycie Mikołaja I: „Wśród wydarzeń najbardziej pocieszających, jakie nastąpiły podczas naszego pontyfikatu, wymienić musimy przybycie cesarza Rosji do Rzymu. Przemówiliśmy do niego w sposób zgodny z naszymi obowiązkami

kapłańskimi i oczekujemy, że ten wspaniałomyślny monarcha załatwi w duchu przyjaznym istniejące dotychczas trudności”.

Minęło sto dwadzieścia pięć lat. Następcy Grzegorza XVI nie doczekali się żadnych objawów pożądanej „wspaniałomyślności”. Odwrotnie. Mikołaj I zlikwidował Unię na terenach zabużańskich, Aleksander III uczynił to samo na Podlasiu i Chełmszczyźnie, w międzyczasie Aleksander II zniósł wszystkie zakony, istniejące na terenie zaboru rosyjskiego. Dzieła zniszczenia Kościoła grecko-katolickiego dokonali bolszewicy pod egidą Stalina. Jeżeli w Rzymie już o tym zapomniano, godzi się przypomnieć encyklikę, wydaną na ten temat przez Piusa XII, w dniu 23 grudnia 1945 roku. No, ale od śmierci Piusa XII wiele zmaconej wody upłynęło w Tybrze.

Wciąż liczy się na załatwienie przez „wspaniałomyślną” Moskwę „istniejących dotychczas trudności, w duchu przyjaznym”. Stąd te audyencje, udzielane wszystkim Podgornym i Gromykom. Wyniki będą takie same, jak po wizycie Mikołaja I, to znaczy żadne. To nie byłoby takie okropne, gdyby nie fakt, że za umizgi i puste obietnice płaci się takimi listami, jak kardynała Tisseranta. Wymienia się konkrety na fikcje. Nie ma co, wspaniały interes!

Tisserant zarzucił Ukraińcom w diasporze, iż zamiast pogłębiać życie religijne, dają się ponosić pasjom politycznym. Pewnie, te pasje, polityczne i narodowe, grają i nie może być inaczej. Ale list kardynała był również napisany z nieukrywaną pasją polityczną, w imię oczywistego, choć wyraźnie nie sformułowanego postulatu: — Nie drażnić Rosji! Nie zawracać sobie głowy Ukrainą! Nie chcemy słyszeć o żadnych Ukraińcach, bo to nam psuje stosunki z Moskwą i dalekosiężne wobec niej plany.

Ostatecznie, można by takie stanowisko zrozumieć — co nie znaczy, moralnie zaakceptować — gdyby stała za nim jakaś rzeczywistość. Gdy ktoś chce wygrać na rulecie, stawia na numer, który wydaje mu się najlepszy. Ale tu nie ma nic do wygrania, wszystko — do przegrania. Czy stary kardynał zdaje sobie sprawę, jaką szkodę wyrządził Kościołowi swoim listem, który go skompromitował pod każdym względem, nie uzyskując nic w zamian. A już największa kompromitacja jako znawcy — pożał się, Boże! — historii narodów wschodnioeuropejskich.

Cień Possewina padł znowu na Watykan. Najwidoczniej Kuria Rzymska ani rusz, nie może zdać sobie sprawy, że cała jej polityka wschodnia to gra chińskich cieni, surrealistyczny teatr, fantazyjna fatamorgana. Żaden z wystawionych weksli nie zostanie nigdy wykupiony. I w ostatecznym wyniku to ambitne polowanie na rosyjskiego mastodonta może narazić tylko na naruszenie obecnego stanu posiadania.

Nie ma się co dziwić, że ukraińska prasa emigracyjna głośno protestuje i wyraża swoje oburzenie. Ale tego i owego publicystę poniosło przy tej okazji. Tak np. Denys Kwitkowskyj-Kwitka przypomina przy okazji w *Ukraińskim Słowie* (27. XII. 1970) o „ukochanych w Watykanie Polakach”. Ejże, czy naprawdę tak bardzo ukochani? Z drugiej jednak strony rozumiem ten żal. Wszystko jest względne. Gdy kogoś obdarto do naga, zazdrości temu, co biega w jednej koszulini. Nie należy przecież tej nędznej koszuli utożsamiać z wytwornym frakiem. A zapewniam ukraińskich publicystów, że polski kościół katolicki wcale nie ma w Watykanie frakowej sytuacji. Jeśli to im posłuży jako pociecha...

Nieprzyjemne to sprawy i lepiej by o nich nie pisać. Emigracjom politycznym z krajów opanowanych przez komunizm — nie tylko ukraińskiej — można wiele zarzucić, ale mimo swoich grzechów zasługują one chyba na życzliwe poparcie Opoki Piotrowej, bo w miarę swoich sił przeciwstawiają się mocy sowieckiego Antychrysta. A tu powstała sytuacja dość paradoksalna, raczej nie przewidziana przez żadnego z ojców Kościoła: Dobry Pasterz ofiarowuje drapieżnemu wilkowi jedną z owieczek, w nadziei, że wilk po jej zjedzeniu natychmiast przystąpi do Związku Jaroszków.

Kochani pasterze! Tylko tak dalej, a wkrótce zostaniecie bez owieczek. I tak jest ich coraz mniej.

II. CIEN BEREZY KARTUSKIEJ

Emigracyjna prasa ukraińska doniosła niedawno, że na zjeździe w Nowym Jorku, który odbył się w drugiej połowie ub. roku, powołana została do życia nowa organizacja, pod nazwą „Zjednoczenie Byłych Więźniów Berezki Kartuskiej”. Na razie objęła ona b. więźniów, przebywających na terenie Stanów Zjednoczonych i Kanady.

Rzecz prosta, każda społeczność posiada pełne prawo do stowarzyszenia się, jak się jej podoba. Przebywający w Ameryce Ukraińcy, którzy niegdyś mieli wątpliwą przyjemność zapoznania się z metodami, stosowanymi w Berezce Kartuskiej, również mają prawo do zrzeszania się według własnego gustu.

Ale... Przeczytałem sobie uważnie sprawozdania z owego Zjazdu w Nowym Jorku. Potraktowano tam *en bloc* wszystkich ukraińskich więźniów politycznych i „uczczono minutą milczenia wszystkim... którzy zginęli w więzieniach i obozach koncentracyjnych wszystkich wrogich okupantów Ukrainy”. Uchwalono odpowiednią rezolucję, w której postawiony został znak równania między „piekłem polskich katowni — obozów jenieckich, politycznych aresztów i więzień, i zwłaszcza obozu koncentracyjnego

w Berezie Kartuskiej”, a niemieckimi „więzzeniami i kacetami — Oświęcim, Sachsenhausen, Dachau, Mathausen, Ravensbrück, Florensbürg...”, oraz „straszными moskiewsko-bolszewickimi obozami koncentracyjnymi śmierci — na Sołowkach, Kołymie, w Karagandzie, Norylsku, Kingirze itd.”.

Postawmy sprawę jasno. Nikt z odpowiedzialnych Polaków nie bronił i nie broni Berezę Kartuskiej. Na łamach *Kultury* ukazało się kiedyś wspomnienie wybitnego Ukraińca, który przeszedł przez ten obóz, a wspomnienie to, mówiąc nawiasem, przełożył na polski niżej podpisany. Mniejsza o to. Ale co innego potępienie Berezę, a co innego wrzucanie jej do wspólnego worka z Oświęcimiem i Kołymą. Na to już nie ma i nie może być zgody.

W zacytowanym powyżej tekście łagry sowieckie określone zostały jako „straszne” albo może lepiej „przeraźliwe”, kacyty niemieckie nie zasłużyły na żaden przymiotnik, a tylko „polskie katownie” zostały uznane za „piekło”. Jeżeli Bereza była „piekłem”, to czym był Oświęcim? Czyśćcem? Czy nie jest to wyróżnienie, powiedzmy, z lekka przesadzone? Czytelnik, nie znający historii ostatnich pięćdziesięciu lat, musiałby po przeczytaniu tego tekstu dojść do wniosku, że w „polskich katowniach” działo się najgorzej, a dopiero na drugim planie w hitlerowskich kacetach i sowieckich łagrach.

Niniejsze uwagi ukazują się w piśmie, w którym od dwudziestu kilku lat dość systematycznie bronione są prawa narodu ukraińskiego do samodzielnego bytu. Niejeden Ukrainiec zalicza się do współpracowników *Kultury* i z całą swobodą wyklada swoje narodowe racje, przy czym sformułowania i uzasadnienia tych racji nie zawsze są przyjemne dla Polaków. Gorzkich prawd polskim czytelnikom na tych łamach nigdy nie szczędzono. No, to pozwólcie, panowie, że w imię pewnej sprawiedliwości a przede wszystkim historycznej i politycznej prawdy postawimy na cenzurowanym także i tę hecę z Berezą Kartuską.

Zgadzamy się bez zastrzeżeń, że Bereza to jedna z czarnych kart w dziejach Drugiej Rzeczypospolitej, ale nie tyle dlatego, że siedzieli tam w wiadomych warunkach Ukraińcy (bo siadywali także Polacy, Żydzi, Białorusini, Niemcy), lecz dlatego, że samo powstanie obozu odosobnienia było pogwałceniem obowiązującej konstytucji. Do tego doszła smutna okoliczność, że wszechwładnym komendantem został komisarz Greffner, znany uprzednio z sadystycznych skłonności. Ci, którzy o tym wiedzieli, a nie protestowali, także ponoszą część winy.

Wolno jednak zapytać: ilu Ukraińców zginęło w „polskich mordowniach”? Nie usprawiedliwiamy ani Berezę Kartuskiej, ani „pacyfikacji”, burzenia cerkwi w południowo-wschodnich powiatach województwa lubelskiego, ani całej nonsensownej, a często

godnej najwyższego moralnego potępienia przedwojennej polityki wobec Ukraińców. I w takim właśnie sensie niżej podpisany wypowiadał się wielokrotnie zarówno w *Kulturze*, jak w innych czasopismach emigracyjnych.

Ale to wszystko nie upoważnia nikogo do stawiania znaku równania między najgorszymi nawet wyczynami administracji polskiej a zbrodniami masowego ludobójstwa, popełnionymi przez Niemcy hitlerowskie i Rosję Sowiecką. Kto taki znak równania stawia, sam przekreśla własne prawo do moralnego protestu, a tym bardziej potępienia.

Bereza Kartuska została zlikwidowana przed przeszło trzydziestu laty. W maju ubiegłego roku minęło całe ćwierćwiecze od zakończenia drugiej wojny światowej. Nie brakowało w tym czasie prób doprowadzenia do ugody polsko-ukraińskiej na emigracji. W zasadzie niby wszyscy, albo prawie wszyscy zgadzają się, że to konieczne i pozytywne, ale w praktyce niewiele z tego wynika.

No, więc trudno — muszę napisać kilka gorzkich słów pod adresem Ukraińców. „Jam się za polskie winy spowiadał dość, teraz i ty mi klękaj do konfesjonau!” Gdy strona ukraińska wypomina swoje krzywdy i żąda się na antyukraińskie wystąpienia pewnej części Polaków, wszystko w porządku. Nie jest natomiast w porządku propagandowe mijanie się z prawdą. A jest tego, niestety, za dużo.

Dawno już temu otrzymałem książkę, wydaną w języku hiszpańskim w Buenos Aires, pt. „Ucrania”. Zaraz na wstępie dowiedziałem się, że minister Bronisław Pieracki został zastrzelony na warszawskiej ulicy w konsekwencji zapowiedzi „eksterminacji wszystkich Ukraińców, zamieszkałych na terenie Rzeczypospolitej Polskiej”. Zabrakło jedynie informacji, gdzie mianowicie i kiedy Pieracki złożył to rzekome oświadczenie. Mój znajomy Hiszpan, mówiąc nawiasem, profesor uniwersytetu, żywo interesujący się sprawą Ukrainy i życzliwie do niej ustosunkowany, przeczytał zacytowane słowa ze zdziwieniem i zapytał, czy to prawda. Poradziłem mu, żeby czytał dalej. Po przerzuceniu kilku kartek trafił na inną informację, mianowicie, że między rokiem 1921 a 1939 wykonano w Polsce siedemnaście wyroków śmierci na ukraińskich nacjonalistach. Roześmiał się: — Rzeczywiście, jeden wyrok śmierci co roku, to prawdziwie masowa eksterminacja! *A estos propagandistas* — dodał — *les ha salido tiro por culata* (porzekadło hiszpańskie: kula poszła w kierunku kolby, wyszła od tyłu, czyli wynik odwrotny od zamierzonego).

Byłoby, rzecz prosta, o wiele lepiej, gdyby tych wyroków w ogóle nie było. Byłoby o wiele lepiej, gdyby Biłasa i Danyłyszyna ułaskawiono. Ale także byłoby o wiele lepiej, gdyby Tadeusz Hołówko nie zginął od ukraińskich kul. A już całkiem

byłoby nieźle, gdyby nie wypisywano takich np. bzdur, że jeżeli Polacy nie wymordowali kilku milionów Ukraińców, to tylko dlatego, że nie mieli Sybiru ani Wysp Sołowieckich. Bo i taką opinię zdarzyło mi się swego czasu przeczytać.

Wstyd, proszę panów, tak dawać się zaślepiac nierozumnej, niekontrolowanej nienawiści! Że i po polskiej stronie zdarzają się tego rodzaju wyskoki? Zgoda, ale od tego właśnie są ludzie trzeźwi, żeby nałogowych alkoholików przywoływać do porządku. Znowu użyję tej samej formy gramatycznej: lepiej byłoby, gdyby to, co piszę, wyszło spod pióra ukraińskiego publicysty i ukazało się w ukraińskim czasopiśmie. Takie sprawy należy załatwiać na własnym podwórku.

A teraz małe *pro domo mea*. W roku 1959, nakładem Instytutu Literackiego w Paryżu wyszła niewielka książeczka, pt. „Pieśń o Ukrainie”. Książeczka dwujęzyczna, gdyż oryginałowi polskiemu towarzyszył przekład ukraiński Swiatosława Hordyńskiego. Poemat jak poemat, nie do mnie należy wydawanie jego oceny. Mam jednak prawo wykłócać się o jego treść ideologiczną i polityczną, jeżeli jest fałszowana.

W jednym z dzienników ukraińskich ukazała się recenzja *kisłostadkaja*, jak powiadają Rosjanie (kwaśno-słodka), a jej sens końcowy streszczał się w jednym zwrocie: „Dopóki Józef Łobodowski będzie przypisywać całą winę Ukraińcom, to...”. Oto respons! A ciż sami Moskale powiadają, że *czto napisano pierom, tawo nie wyrubisz toporom*. A tu mi wyrąbano siekierą cały dłuższy poemat i to jak!

Żeby nie być gołosłownym zacytuję kilka wersów, wyrwanych na chybił-trafił. „Wyrósł wysoki kurhan u Kaniowa, lecz nie dojrzano go z warszawskich okien...”. Chyba jasne, pod czym adresem zarzut: w Warszawie nie raczono zauważyć początków ukraińskiego odrodzenia narodowego. „Biliśmy sami ostry ćwiek po ćwieku do wspólnej trumny...”. „Biliśmy”, czyli i wy i my, więc wina wspólna, jak i trumna. A w dalszym ciągu takie dwie zwrotki:

*A odnowią przymierze, wskrzeszą wieki złote
Mazur, ślepym zrodzony, i stepowiec ponury,
gdy do mogił braterskich będą kłaść się pokotem
na dymiących sopkach Mandzurii.*

*A gdy krzyk buchnie krajem, gdy się spiętrzą kurhany,
kiedy w próchnie mogilnym pęknie trumna Tarasa,
tylko czarny watażka na taczance pijanej,
tylko rotmistrz w ułańskich lampasach.*

I wreszcie w kulminacyjnym urywku poematu: „Że nie chcecie się godzić na tej ziemi, to się godzić wam we wspólnej mogile!” Zdawałoby się, że odpowiedzialność za dramat dziejowy została rozłożona po obydwu stronach. Ale nie — ów recenzent uznał, że Łobodowski „przypisuje całą winę Ukraińcom”, więc nie ma podstaw do żadnego porozumienia. Istotnie, gdy się tak fałszuje jednoznaczne teksty, nie może być porozumienia. I nie ma!

Nie sam fakt powstania „Zjednoczenia Byłych Więźniów Berezy Kartuskiej” — choć jak na mój gust, niepotrzebny i spóźniony o całe ćwierćwiecze — napawa smutkiem. Smutne jest, że uznano za właściwe ustawienie cierpień Ukraińców w Polsce w tej samej perspektywie co martyrologię Ukraińców w Sowietach. Z jednej strony paruset czy kilkuset (nie znam liczby dokładnej) Ukraińców, którzy przeszli przez Berezę, byli tam bici i maltretowani, a z drugiej — miliony zamordowanych. Czy nie zbyt wielka dysproporcja? Więc powtórzę jeszcze raz impertynenckie pytanie: — Ile milionów Ukraińców zginęło w „piekle polskich katowni”?

Sądzę, że od byłych więźniów Berezy wolno oczekiwać, aby ustosunkowali się do milionowych ofiar sowieckich łagrów i hitlerowskich kacetów z nieco większą powagą i szacunkiem, nie utożsamiając własnych losów z męczeństwem tamtych. Osobiście, przeszedłem w różnych okresach mego życia przez areszty i więzienia sześciu krajów, i zdarzały się chwile bardzo nieprzyjemne, ale ani mi w głowie upominać się o palmę męczeńską. Naraziłbym się po prostu na śmieszność, gdybym własne nieprzyjemne przeżycia zestawiał z doświadczeniami ludzi, którzy przeszli przez Oświęcim albo Kołymę.

Na tym można by skończyć, gdyby nie to, że w gruncie rzeczy chodzi nie tylko o Berezę. W gruncie rzeczy chodzi o to, że wielu Ukraińców nie może się zdecydować, kto właściwie jest ich głównym wrogiem — Rosja czy Polska? Przyznaję lojalnie że podobne zwątpienie rozdziera czułe serce niejednego Polaka, zwłaszcza tych od Łyczakowa i Brzuchowic — komu najpierw należy życzyć „niech ci jasna krew zaleji!” — Moskalom czy Ukraińcom? Ale to nie zmienia stanu rzeczy. Minęło chyba już ze dwadzieścia lat, odkąd pewien ukraiński humorysta trafił w sedno rzeczy: — Pisz się Kijów, a czyta się Lwów. A właśnie!

W obliczu wspólnego wroga należałoby zachować przynajmniej pozory jakiejś solidarności. Metropolita Szeptycki mówił na parę lat przed śmiercią, że kiedy dżungla płonie, zwierzęta się nie gryzą. Ludzie gryzli się przed pożarem, w czasie pożaru i po pożarze. Gryzą się po dziś dzień. Widocznie są głupszy od zwierząt.

Byłem jeszcze studentem pierwszego roku prawa na Uniwersytecie Lubelskim, kiedy w redagowanym przeze mnie miesięczniku młodzieżowym *Trybuna* zamieściłem artykuł pod tytułem zapewne nazbyt patetycznym — „Serca za barykadą”. Był to mój debiut w tematyce polsko-ukraińskiej. Minęło czterdzieści lat. Gdyby znalazł się wydawca, który by zechciał dać do druku wszystko, co na ten temat napisałem, zebrałoby się kilka grubych tomów. I gdy teraz, na progu starości, choć ani stary, ani zrezygnowany, ani wybity ze strzemion i wysadzony z siodła, oglądam się wstecz, stwierdzam nie bez żalu jak mało z tego wszystkiego zostało. Nie, źle to ująłem, raczej należy powiedzieć: w jak niewielkim stopniu ta serdeczna i uczciwie przemysłana pisanina wpłynęła na serca i umysły.

Jurij Kosacz — poświęciłem mu przed wojną wiersz, który zyskał uznanie Burkharda-Kłena, co już było nie byle jakim wyróżnieniem — napisał w wiele lat później, gdy nagle stał się entuzjastą „*Radianńskiej*” Ukrainy, artykuł, w którym zachłystywał się radością, że oto pod władzą sowiecką zjednoczyły się nareszcie wszystkie ziemie ukraińskie, ze „Srebrną Ziemią” włącznie. Otóż niektórzy powiadają, że nie wszystkie, bo jeszcze sporo pozostaje pod „laską przemocą”. Przemysł, Jarosław, Chełmszczyzna, wschodnia część Podlasia, nie mówiąc już o Łemkowszczyźnie i Bojkowszczyźnie. Gdybyż tylko to! Bodajże przed rokiem przeczytałem czarujący wywód pt. „Na ziemiach zagrabionych przez Polskę”. Tu już chodziło nie o Chełmszczyznę i Zasanie, lecz o całą dolinę górnej Wisły, z Sandomierzem, Wislicą i... Krakowem. Bo według autora artykułu żywioł ukraiński sięgał kiedyś poza Kraków, więc wszystko to są ziemie zagrabione przez wiarołomnych Lachów.

Nie jest to odpowiednia okazja do wdawania się w dyskusję historyczną i archeologiczną (bo archeologia ma tu głos decydujący ze względu na szczupłość przekazów piśmiennych), wolno przecież z całym spokojem stwierdzić, że nie jest najważniejsze, jak daleko sięgał na zachód etniczny żywioł ukraiński w wieku VIII-IX. Choćby sięgał poza Kraków, nie ma to dziś żadnego znaczenia. Poszczególne ludy, plemiona, szczepy wędrowały, rozpychały się w poszukiwaniu najdogodniejszych miejsc osiedlenia, granice etniczne były płynne, o dzisiejszym pojęciu narodowości nikomu się nie śniło.

Istnieje interesująca i wielce prawdopodobna hipoteza (niektórzy przyjmują ją za pewnik), że dzisiejsi Chorwaci to potomkowie Scytów i Sarmatów, przemieszanych z podbitymi szczepami słowiańskimi. Według tej hipotezy nazwa Krakowa jest pochodzenia irańskiego, od *krk* — miejsce ufortyfikowane. U wybrzeży dalmatyńskich znajduje się wyspa Krk, identycznie nazywa się

stara forteca krzyżowców w Syrii. Legenda o Kraku i smoku podwawelskim przywędrowałaby zatem wraz ze Scytami z Chin, o które otarli się w swoich poprzednich wędrówkach. Mitologia starożytnej Europy znała różne potwory, ale nie smoka. Więc założycielem Krakowa mógł być jakiś scytyjski, zatem irański książę. O ile wiem, w Teheranie nikt na tej podstawie nie zamierza zgłaszać pod adresem Polski żadnych rewindykacji terytorialnych.

Poczynając od Mieszka II, granice państwowe między średniowieczną Polską i zachodnimi księstwami ruskimi ulegały tylko minimalnym zmianom i najprawdopodobniej pokrywały się z grubszą z granicą etniczną. Sięgała ona daleko za San, a na północy podchodziła pod Lublin. Ale potem zaczął się proces polonizacyjny i rozwijał się już bez przerwy. Był to proces spontaniczny, przez nikogo nie organizowany. W młodości zwędrowałem na piechotę cały powiat krasnostawski, zamojski, chełmski. Same nazwy większości miasteczek i wsi wskazywały, że kiedyś była to wyłączna domena Rusi. Na kilkanaście kilometrów przed Krasnystawem, w kierunku na Lublin była — nie wiem jak teraz wygląda — ludna i zamożna wieś Łopiennik. Stanowiła całość, ale tradycyjnie dzielono ją na dwie części: Łopiennik Ruski i Łopiennik Lacki. Wtedy, w roku 1933, gdy tam po raz pierwszy zajrzałem, była to wieś już czysto polska. Oto przykład nieodwracalnego procesu.

Ukraińcy powinni pamiętać, że od średniowiecza, pomimo pewnych strat, co najmniej podwoili swój obszar etnicznego zasiedlenia. Krym, wybrzeża Czarnego i Azowskiego morza, południowa Besarabia, Donbas, północny Kaukaz. Tak się potoczyły wydarzenia historyczne i na to nie ma rady. Więc po co spoglądać ku górnej Wiśle i urągać Lachom, że zasymilowali tych kilka powiatów?

Zdarza się niekiedy, raczej dość rzadko, że — znużony historyczno-politycznym gwarem — zdobywam się na postawę właśnie a-historyczną i spoglądam na te wszystkie sprawy z góry, z całkowitą, choć przelotną obojętnością. Wtedy wszystko razem wydaje mi się niezmiernie zabawne, a już moje publicystyczne wysiłki najbardziej. Polsko-ukraiński spór na emigracji sprawia wówczas na mnie wrażenie kłótni dwóch facetów, siedzących w ludożerczym kotle, pod którym już pichci się ogień. A oni, zamiast wspólnym wysiłkiem starać się wyskoczyć z kotła, kłócą się zawzięcie. O co? — o ukradziony kiedyś krawat? — o krwawe mordobicie sprzed iluś tam lat? — o uwiedzenie narzeczonej, która i tak wyszła za kogo innego? Kłócą się i wygrażają nawzajem, ku wielkiej uciesze ludożerców, odprawiających dokoła kotła swój rytualny taniec.

Mamy — Polacy i Ukraińcy — niewielu przyjaciół i sojusz-

ników. Kto wie, może tak prawdę mówiąc, nie mamy ich wcale. List kardynała Tisseranta chyba przekonał Ukraińców, jak nisko stoją ich papiery na giełdzie watykańskiej. Jeżeli wywołał on taką gwałtowną reakcję, to tylko dlatego, że został zredagowany z wyjątkową szczerością. Inni, stojąc na takim samym antyukraińskim i prorosyjskim stanowisku, zachowują się bardziej dyplomatycznie, ale myślą to samo. Gdzie szukać sprzymierzeńców na szerokim świecie? Niemcy byli na Ukrainie dwukrotnie — w 1918 i w latach 1941-44. Nie były to doświadczenia zbyt zachęcające.

Więc może by jednak pomyśleć o Hadziaczu. Może jednak doprowadzić do prawdziwego porozumienia polsko-ukraińskiego. Na razie nie dałoby natychmiastowych owoców, ale trzeba planować na przyszłość. Wiem, że o to bardzo trudno, bo też w trudnych żyjemy czasach. Znając wszystkie opory przeciw tej idei w obu społeczeństwach, pytam Ukraińców: — Czy rzeczywiście była to właściwa chwila, aby zakładać Zjednoczenie Byłych Więźniów Berezy? A gdyby Polacy założyli Związek Tych Co Przeżyli Janową Dolinę? Także radziłbym nie zakładać.

Natomiast bardzo bym się ucieszył, gdyby powstał Międzynarodowy Związek Byłych Więźniów Łagrów Sowieckich. Mogliby do takiego Związku wstąpić liczni Polacy i liczni Ukraińcy. I kto wie, może by uradzili wspólnie coś rozsądnego.

Józef ŁOBODOWSKI

W sowieckiej prasie

W ostatnim tygodniu grudnia 1970 prawie wszystkie pisma zamieszczały na pierwszej stronie informacje o procesie w Leningradzie. Procesy Basków w Hiszpanii i Żydów w Związku Sowieckim spowodowały spontaniczne, całkowicie jednomyślne oburzenie w świecie. Oburzenie w związku z procesem leningradzkim było nieoczekiwane. Przywódcy sowieccy przywykli bowiem do tego, że wszystko uchodzi im płazem. Interwencja w Czechosłowacji, w sierpniu 1968 roku, była najlepszym tego dowodem.

Ale tym razem nie udało się. Może z powodu ogłoszenia wyroku 24 grudnia, w dzień narodzin Chrystusa, może z powodu naśladowania wyroku sądu frankistowskiego. W każdym razie wszyscy: od Papieża i prezydenta Nixona do *leader'ów* francuskiej i włoskiej partii komunistycznych zaczęli błagać przywódców sowieckich o zastanowienie się.

Aluzja została zrozumiana. 30 grudnia, zebrawszy się z niebywałym pośpiechem, Najwyższy sąd RSFSR zamienił karę śmierci, wymierzoną dwu oskarżonym, na 15 lat obozu o „specjalnie surowym reżymie”.

Obywatele sowieccy dowiedzieli się po raz pierwszy o procesie i o obu wyrokach dopiero 31 grudnia z artykułu w *Izwiestiach*, jak również i o tym, że 1 czerwca 1970 r. miała miejsce próba porwania na lotnisku w Leningradzie samolotu AN-2, lecącego do Tallina. Spiskowcy zostali aresztowani jeszcze przed wejściem do samolotu. Znalaziono przy nich jeden pistolet, topór i sznury. *Izwestia* przedstawiły czytelnikom plan spiskowców, którzy chcieli zawładnąć samolotem i uciec do Izraela. Plan (wszyscy, jak należy, przyznali się) — był tak dziwny, że powstają wątpliwości co do stanu umysłowego dwunastu spiskowców, albo... śledczych, którzy go wymyślili. Od Leningradu do najbliższej granicy jest mniej niż dwie godziny lotu (do Danii, Szwecji), ale — jak podały *Izwestia* — spiskowcy zdecydowali pierwsze lądowanie zrobić na terytorium sowieckim w pobliżu Priozierska i tam pozostawić dwóch pilotów. Naturalnie uprzednio miano ich związać, zakneblować im usta, a następnie rozbić głowy (!). To jeszcze nie wszystko — przygotowane były jakoby specjalne plakaty: „Ostrożnie, niebezpieczeństwo śmierci!”, które miano rozwieść wokół miejsca, gdzie miano pozostawić pilotów, aby możliwie jak najdłużej nikt do nich nie zbliżył się.

Wszystkim wiadomo, że w Związku Sowieckim dopiero w ostatnich czasach zaczęto przekładać powieści Agaty Christie i Simeona, tym niemniej głupota planu wyłożonego w centralnym organie rządu sowieckiego, rzuca się w oczy.

Przeczytawszy artykuł w *Izwiestiach* przypomniałem sobie ulubioną anegdotę Stalina, którą — jak pisze Swietłana Allilujewa — Stalin zwykle opowiadał, by podrażnić Berię. W tym samym domu mieszkali czekista i uczony. Uczony nie lubił czekisty i często mu mówił: „Wy nie wiecie nawet kto napisał 'Jewgenija Oniegina'”. Czekista rzeczywiście nie wiedział i dlatego aresztował uczonego, a następnego dnia z dumą powiedział przyjaciółom: „Przyznał się, on sam napisał 'Jewgenija Oniegina'”.

Swietłana pisze, że Josif Wissarionowicz zawsze po zakończeniu tej anegdoty zaśmiewał się. On dobrze znał swoich czekistów.

Ale nie tylko akt oskarżenia wydaje się dziwnym w procesie leningradzkim. Dziwna i niezwykła jest zmiana wyroków śmierci pod naciskiem opinii światowej.

Przez 53 lata istnienia Związku Sowieckiego zdarza się to dopiero po raz drugi. Pierwszy raz — w kwietniu 1922 roku — gdy Bucharin i Radek, prowadzący w Berlinie pertraktacje z przedstawicielami europejskich partii socjalistycznych, zobowiązali się, że władze sowieckie nie zastosują kary śmierci wobec 47-miu socjalistów-rewolucjonistów, których proces rozpoczynał się wtedy w Moskwie. Wielki humanista, Lenin, uważał że za życie 47-miu eserów można było wytargować znacznie więcej. Artykuł, w któ-

rym bardzo ostro skrytykował Bucharina i Radka, nosił tytuł „Zapłaciliśmy zbyt drogo”.

Przywódcy sowieccy dzisiaj zapłacili znacznie mniej, zmieniałi bowiem wszystkiego tylko dwa wyroki śmierci. Charakterystyczne jednak, że byli zmuszeni pójść na ustępstwo podobne do tego, jakie zrobił Związek Sowiecki w okresie swojej największej słabości, w 1922 roku.

(W nawiasach warto zaznaczyć, że leninowska „cena” nie była zbyt wysoka. Ani jeden z ułaskawionych eserów nigdy nie wyszedł na wolność).

Na początku nowego roku, po raz pierwszy w historii Związku Sowieckiego, życzenia narodowi złożył „sam” generalny sekretarz, Breżniew, występując przed mikrofonami radia i telewizji. Jego zdaniem rok poprzedni pozostawił dobre wspomnienia. „Podniosło się morale i utrwaliła polityczna jedność sowieckiego społeczeństwa, braterstwo sowieckich narodów... Nigdy międzynarodowa pozycja Związku Sowieckiego nie była tak silna, ani jego prestiż tak wysoki”.

Czy jednak te słowa mogą zatrzeć ślady porażek kierownictwa sowieckiego? Są wszelkie dane by przypuszczać, że proces leningradzki był związany z XX Zjazdem i miał na celu skompromitowanie Breżniewa. Widać nie przypadkiem były partyjny boss Leningradu, Tołstikow, który polecił przygotowanie prowokacji, był latem usunięty ze swego stanowiska i mianowany posłem w Chinach. Nie ma wątpliwości, że i w Leningradzie i w Moskwie wśród kierowników partii pozostali ludzie, myślący tak jak i on.

Tymczasem konkretnymi rezultatami protestów było odłożenie dalszych procesów żydowskich i wydanie „w obcych językach” broszury piętnującej fałszywe plotki o dyskryminacji Żydów w Związku Sowieckim.

Do konkretnych rezultatów można również zaliczyć poniższe rozporządzenie, rozesłane kasjerom Aeroflotu w Związku Sowieckim: „Z polecenia naczelnika transportu Zarządu Lotnictwa Cywilnego zakazuje się sprzedaży biletów w jakimkolwiek kierunku grupom Cyganów”.

Okazuje się, że nie tylko wśród Żydów są chętni do opuszczenia ojczyzny światowego proletariatu.

Jeśli o procesie leningradzkim pisma sowieckie uporczywie milczały, to z niezwykłym zapałem piszą o procesie, który ma mieć miejsce w Kalifornii. Już od dwóch miesięcy nie ma pisma bez sloganu „Wolność dla Angeli Davis”. „Czyż — pisze *Prawda* — można oczekiwać od Temidy amerykańskiej obiektywnego zbadania sprawy i sprawiedliwego sądu?”. Czternastu najwybitniejszych sowieckich uczonych zwróciło się do Nixona z prośbą by „ocalił życie Angeli Davis i dał jej możliwość dalszej pracy naukowej”. Szczegół pikantny: uczeni sowieccy zwrócili się z tą hu-

manitarną prośbą 25 grudnia, na drugi dzień po zapadnięciu w Leningradzie dwóch wyroków śmierci.

Z podpisanych na petycji jedynie akademik Sacharow zwrócił się jednocześnie do przewodniczącego prezydium Rady Najwyższej ZSSR z prośbą o ułaskawienie leningradzkich skazańców.

Prasa sowiecka szeroko informowała o szlachetnym postępku czternastu uczonych, ale gdy chytry Nixon zaprosił wszystkich, którzy podpisali petycję, by przyjechali do Kalifornii na proces jako obserwatorzy — prasa sowiecka nie uważała za potrzebne poinformować o tym swych czytelników.

Przygotowania do XXIV Zjazdu partii, który zbierze się 30 marca, zajmują główne miejsce w prasie sowieckiej. Byłoby jednak nieścieśle przypuszczać, że walka z Żydami lub Cyganami zajmuje w tych przygotowaniach najważniejsze miejsce. 17 grudnia w *Prawdzie* ukazał się artykuł pt. „Nędza antykomunizmu”, podpisany przez I. Aleksandrowa. Podpisu tego *Prawda* używa tylko od wielkiego święta, pod artykułami o charakterze instrukcyjnym. „Nędza antykomunizmu” ustala generalną linię walki ideologicznej w przededniu Zjazdu. W pierwszej części artykułu przedstawiono koszmarną sytuację w świecie zachodnim, a w pierwszym rzędzie w Stanach Zjednoczonych, gdzie „najlepsze umysły i talenty, reprezentujące honor i sumienie narodu, są systematycznie poddawane prześladowaniu i sądowo-policyjnym represjom. Za odmienne myślenie sadza się tam na ławy oskarżonych i za więzienne kraty świat współczesnej amerykańskiej nauki i kultury. Zamyka się usta tym wszystkim, którzy opowiadają się za sprawiedliwością”.

W drugiej części jest opisane radosne życie w Związku Sowieckim, gdzie wszystko byłoby znakomite, gdyby nie „żałosna garstka odszczepieńców, zdemoralizowanych oszustów i schizofreników, wyżebrujących whisky i papierosy w zamian za brudne wymysły”. W artykule wymienia się ich po nazwisku: Walerij Tarsis, Anatolij Kuzniecowa, Władimir Bukowski, Andriej Amalrik, Aleksander Sołżenicyn. Trzeba przyznać, że autor, czy autorzy, artykułu robią subtelne rozróżnienia między wyżej wymienionymi wrogami narodu. Tarsis to schizofrenik, Kuzniecowa — zdrajca ojczyzny, udający pisarza, Bukowski — usunięty z WUZ'u za niedostateczne postępy, Amalrik — to darmozjad, mały oszczerca, handlarz walutami. Sołżenicyn to tylko „wewnętrzny emigrant, obcy i wrogi życiu narodu sowieckiego”, który stoczył się „w brudną jamę”. Został nagrodzony Nagrodą Nobla „nie za talent, ale za oczernianie sowieckiej rzeczywistości”.

Sygnał dany przez *Prawdę* z miejsca znalazł oddźwięk. Kampania przeciwko wszystkim inaczej myślącym rozwija się z dawno nie spotykaną siłą. W piśmie *Kommunist woorużennych sił* (Nr 2/1971) płk. Sapunow po wojskowemu, prosto, uzupełnia myśli Aleksandrowa. Według niego Sołżenicyna nagrodzono No-

blem „jak kainowym stygmatem za zdradę swego narodu”. Ze zdrajcami, jak wiadomo, rozmowa jest krótka. 27 stycznia *Litieraturnaja Gazieta* powtarza myśli płk. Sapunowa, ale w bardziej — jeśli tak można powiedzieć — literackiej formie. Gazeta zamieszcza „list otwarty do A. Sołżenicyna” niejakiego Deana Reed'a, nazwanego we wstępie znanym śpiewakiem, który zwraca się do laureata Nobla z chamską familiarnością: „Drogi kolego w sztuce”.

Ten „kolega” przekonuje wielkiego pisarza, że krytykując Związek Sowiecki, mówi zapewne o Ameryce, nie o Rosji. Bo wtem temu śpiewakowi Stany Zjednoczone bardzo się nie podobały, porzucił swoją „ciężko chorą ojczyznę” i zamieszkał we Włoszech. Jeśli czasami „Związek Sowiecki się potknie — poucza śpiewak — to my (!) nie powinniśmy osądzać systemu, a winniśmy gratulować mu odwagi”. List odważnego śpiewaka, nie lubiącego Stanów Zjednoczonych, a lubiącego ZSSR, który woli jednak mieszkać we Włoszech, zajmuje w *Litieraturnoj Gaziecie* trzecią część strony. Wątpliwe czy Sołżenicyn będzie miał możliwość odpowiedzi nań choćby w dziesięciu słowach.

Zastosowano represje do Mstisława Rostropowicza, który niedawno wystąpił z odważnym listem w obronie swego przyjaciela Sołżenicyna. Rostropowiczowi zabroniono na pół roku wyjazdów za granicę z koncertami. Ma się rozumieć bywały już w Związku Sowieckim i bardziej surowe kary. Ale, jak już zazaczyliśmy, władze sowieckie nie mogą już wszystkich karać z jednakową siłą.

Artykuł „Nędza antykomunizmu” nie oszczędza zbuntowanych pisarzy. Nie wspomina jednak ani słowem o Komitecie Obrony Praw Człowieka, stworzonym przez uczonych tuż przed ukazaniem się artykułu. Ale jednak Aleksandrow nie decyduje się podnieść głosu na akademika Sacharowa i jego przyjaciół.

Nie znaczy to bynajmniej, że nie wyraża się niezadowolenia i uczonym. Lecz robi się to „kulturalnie”. Najpierw w *Prawdzie* ukazał się wywiad z Wiktorem Silinym, doktorem nauk matematyczno-fizycznych, laureatem państwowej nagrody, kierującym laboratorium w słynnym Instytucie Fizyki Akademii Nauk. Organ Komitetu Centralnego poprosił dr. Silina o wywiad nie dlatego, że to jest najwybitniejszy uczony w Instytucie. Bynajmniej, pracują tam laureaci nagrody Nobla: Czerenkow, Basow, Prochorow, Tamm. W Instytucie pracuje również i Sacharow. Silin jest sekretarzem partbiura; przyznał on że są niedociągnięcia w pracy partorganizacji, następnie wystąpił w telewizji, gdzie odpowiadał na pytania dziennikarza o sytuacji w świecie naukowym w dziedzinie ideologii. Sekretarz partbiura obiecał w przededniu zjazdu wzmocnić pracę ideologiczną uczonych, obiecał również zorganizować kilka zebrań, ale nie dał się wciągnąć w polemikę ze swymi kolegami.

Za to pisarz Arkadij Pierwiencew, występując w telewizji, nie kłepował się „osądzić” Sołżenicyna „gdyż stał się on narzędziem walki ideologicznej w rękach naszych przeciwników”.

Te dwa wystąpienia w moskiewskiej telewizji przekonująco charakteryzują odmienną sytuację pisarzy i uczonych w społeczeństwie sowieckim.

Jest zasadą, że w instruktażowych artykułach z dziedziny ideologicznej wrogów wymienia się po nazwisku, a tych którzy „są w linii” traktuje się *en bloc*. Pismo *Kommunist* odeszło tym razem od tej zasady i w wielkim artykule o zagadnieniach ideologicznych, wyciągając wnioski z dyskusji które się toczą w środowiskach pisarzy, artystów i filozofów, wyraźnie wskazało na kogo dzisiaj należy równać krok. *Kommunist* poddał ostrej krytyce tych wszystkich, którzy próbują zapoznać obywateli sowieckich z „współczesną zachodnią pseudo-kulturą”, tych którzy próbują rehabilitować kulturę sowiecką lat dwudziestych — a między innymi twórczość futurystów z wczesnym Majakowskim. Gdy — twierdzi *Kommunist* — wszystko to prowadzi do przyjęcia „niebezpiecznej teorii konwergencji” wszystkich krajów o rozwiniętym przemyśle.

Głównym celem ataków organu Komitetu Centralnego był miesięcznik *Nowyj Mir* w okresie, gdy jego redaktorem był Aleksander Twardowski. *Nowemu Miru* przeciwstawia się miesięcznik *Mołodaja gwardia*, organ wojujących neo-słowianofilów. I chociaż *Kommunist* krytykuje *Młodą Gwardię* za zbytne przejmowanie się niekiedy „arcyreakcyjnymi” rosyjskimi filozofami, jak np. K. Leontjewym i W. Rozanowym to, w zasadzie, uważa on kierunek pisma za właściwy. Specjalnie pozytywne jest odrzucanie kultury zachodniej. Należy zaznaczyć, że *Mołodaja Gwardia* coraz śmielej dawno ustalone poglądy poddaje rewizji w myśl swojej ideologii. Tak np. w piśmie tym zamieszczono artykuł osądzający dekabrystów za ich zachodniość. W drugim artykule, poświęconym twórczości Kuprina, poddano rewizji jego znakomitą powieść „Pojedynek”. Sam pisarz, jak i cała krytyka rosyjska, od chwili ukazania się powieści w 1905 r., traktowali ją jako demaskatorstwo carskiej armii, jej bezmyślnej dyscypliny i jej nieludzkości. Autor artykułu w *Mołodaj Gwardii* znajduje w tej powieści swego bohatera, idealnego oficera, znającego i lubiącego sztukę wojenną.

W apoteozowaniu wojska i wojny *Mołodaja Gwardia* nie jest odosobniona, jedynie śmielej i otwarciej mówi to, o czym myślą kierownicy ideologiczni.

Wśród pism sowieckich, które przeglądam, od dawna już niestety nie ma prasy dla dzieci. Ale niedawno wpadła mi w ręce książka, wydana w Niemczech, pt. „Niemcy w sowieckich pismach dla dzieci”. Widać z niej, że wojna i wojsko znalazły dla siebie czołowe miejsce w pismach nawet dla najmłodszych dzieci, w *Dietskije kartinki* i *Murziłka*. Autorzy książki starannie wyciągają ile artykułów i rysunków na tematy wojenne opublikowały te

pisma w ostatnich latach (do czerwca 1970 r.). Analizując te materiały zrobiono ciekawe odkrycie. Począwszy od kwietnia 1969, tj. po walkach nad rzeką Ussuri, coraz częściej i częściej sowieccy żołnierze, sowieckie samoloty i czołgi idą nie na Zachód, ale na Wschód. A na jednym z obrazków faszystowskie sztandary, rzucane u stóp mauzoleum nabrały nagle żółtego koloru.

I znów, jak przed XXIII Zjazdem, w przededniu XXIV-go toczą się dyskusje o rehabilitacji Stalina, o odrodzeniu stalinizmu w całej jego krasie. W styczniu, paryski dziennik *Le Monde* zamieścił wiadomość z Pragi, że członek sowieckiego poselstwa Starikow, na zebraniu „starych komunistów” — tych którzy witali sowieckie czołgi w Czechosłowacji — poinformował o nadchodzącej pełnej rehabilitacji Stalina, w tym również i jego znakomitej teorii o zaostrzeniu się walki klas w miarę zbliżania się zwycięstwa socjalizmu.

Można oceniać słowa Starikowa jako balon próbny, jako wyraz dążeń określonych kręgów w sowieckim kierownictwie. Charakterystyczne jest jednak to, że o pełnej rehabilitacji Stalina coraz częściej mówi się na łamach pism sowieckich.

Rehabilitacja następuje w dziedzinie najbardziej dla nich wygodnej — w dziedzinie historii wojny. Tylko w przeciągu ubiegłego roku ukazały się powieści „Gorący śnieg” Jurija Bondarewa i „Blokada” Aleksandra Czakowskiego, świadczące o „staranym i trudnym przygotowywaniu partii i rządu, kierowanych przez Stalina, do odparcia niebezpieczeństwa zawisłego nad ojczyzną”. W grudniu 1970 r. w miesięczniku *Oktiabr* ukazała się pierwsza część powieści Iwana Stadniuka „Wojna”.

W noc, kiedy przyszła wiadomość o napadzie na Związek Sowiecki, Moskwa nie spała. „Olga otworzyła okno na ulicę, posyłała okrzyki: Stalin! Tłum krzyczał i wzywał: Stalin! Stalin! Stalin! I to było zawołanie siły i dumy; brzmiało ono jak: na-przód! W chwili narodowej pasji tłum wzywał swego wodza, a on, o drugiej w nocy, przyszedł z Kremla do Narodowego Teatru, by być razem z Moskwą. Olga schwyciła synka i pobieгла do teatru.

— Gdzie? Gdzie? — pytała się.

— Zaraz, zaraz — odpowiadano jej ze wszystkich stron — oto on, tutaj!

Zobaczyła Stalina gdy podszedł zupełnie blisko. Jego spokojna postać, w zapiętym pod szyję szynelu, w czapce z miękkim daszkiem, była prosta aż do łez. Nie było w niej nic zbytecznego, czy przypadkowego. Szedł, spiesząc się, i często zwracając się do otaczających go członków politbiura i rządu, coś tam im mówił i pokazywał ręką na tłumy ludzi.

Olga wróciła do siebie i włączyła radio. W tym samym czasie przemówił Stalin... Stalin mówił z żołnierzami w podziemnych schronach i z lotnikami w górze. Ranni, na punktach opatrunkowych, odzyskiwali przytomność pod wpływem jego cichego i serdecznego głosu. Był to głos naszej ojczyzny, prosty i jasny, i bez-

granicznie uczciwy, i bezgranicznie dobry, ojcowski, niespieszny — głos Stalina”.

Niestety, wszystko odbyło się inaczej. Długa cytata, którą przytoczyłem, jest wzięta z książki Piotra Pawlenko pt. „Na Wschodzie”, napisanej w 1937 roku.

W 1937 roku Pawlenko mógł wierzyć, że tak będzie, jak napisał. W 1970 roku Iwan Stadniuk wie, jak było w rzeczywistości, jak stchórzył Stalin i jak — według określenia Piotra Jakira — zdezerterował ze swego stanowiska. O tym pisał w tym samym *Oktiabrze*, w 1965 roku, admirał Mikołaj Kuzniecowa.

Stadniuk to zna, ale wraca — jeśli nie dosłownie, to w tym samym duchu — do opisu Pawlenki. Mądry, przenikliwy, pokojowy, po ojcowsku łaskawy i po ojcowsku surowy Stalin pomylił się, gdyż święcie wierzył „w szczerą politykę hitlerowską”. Tylko w jednym miejscu Stadniuk jest zakłopotany: — Dlaczego nie przemawiał przez radio sam Stalin? Dlaczego posłał Mołotowa? Jedyne wyjaśnienie — był zajęty, nie mógł oderwać się od problemów frontowych nawet na piętnaście minut.

Znaczenie tego wypracowania Stadniuka (powieścią można nazwać tylko umownie, gdyż nie ma ono żadnego związku z literaturą) polega na tym, że są w nim wyłożone ostatnie wskazania KC-partii w dziedzinie historii lat 1939-1941.

I tu zwraca uwagę zdumiewające podobieństwo sformułowań, użytych przez Stadniuka i przez autorów „Pamiętników” Chruszczowa, jeśli idzie o wojnę z Finlandią, sowiecko-niemieckie porozumienie i stanowisko Anglii.

Stadniuk w tej ostatniej sprawie idzie „do końca”: Głównym sprawcą wojny sowiecko-niemieckiej jest dla niego nie Hitler, a Churchill.

W swoim czasie mówiono: Stalin to Lenin dzisiaj. Na XXIV Zjeździe powiedzą: Breżniew — to Stalin dzisiaj. Przygotowując się do tego podniosłego momentu, kremlinoznawcy odkryli niedokładności w ankiecie generalnego sekretarza.

Okazuje się, że wydawnictwa sowieckie — encyklopedia i kalendarze — podają różne daty urodzenia Leonida Iljicza.

60-lecie obchodziło się 18 grudnia 1966 r., ale w kalendarzu z 1958 r. twierdzi się, że przyszły wódz narodów urodził się 16 grudnia 1906 r. W ogólnym kalendarzu na 1971 rok podano dzień urodzin 19 grudnia, a w kalendarzu dla kobiet na 1971 rok, tenże dzień urodzin przeniesiono na 1 stycznia 1907 roku.

Nowa data w kalendarzu dla kobiet jest jeszcze zrozumiała. Sekretarz generalny chce być młodszy. Ale dlaczego tak różne daty w innych wydawnictwach? Bohater „Rewizora” Gogola, horodniczyj, Skwoznik-Dmuchański, obchodził urodziny dwa razy do roku, gdyż chciał dwukrotnie otrzymywać prezenty. Ale Breżniew?

Pod dziwnymi auspicjami rozpoczyna się nowe panowanie w Moskwie...

Adam KRUCZEK

Sprawy i troski

Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny

(Zamierzenia, osiągnięcia, plany)

Dnia 6 marca 1971 roku w dzielnicy Hammersmith w zachodnim Londynie odbyła się rzadka uroczystość. Ks. Biskup Rubin poświęcił kamień węgielny budującego się tam gmachu Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego. Uroczystość ta zbiega się w czasie z 25-leciem Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii, posiadając jednak charakter światowy. Ze Stanów Zjednoczonych przybył prezes Kongresu Polonii, Alojzy Mazewski, z Kanady prezes tamtejszego Kongresu Jan Bielski. Zjechali się także polscy działacze z kontynentu europejskiego.

Gdy 6 lat temu powstał Ośrodek, gdy przejął majątek Towarzystwa Popierania Nauki Polskiej i gdy postawił przed sobą ambitne plany stworzenia w Londynie wielkiego, ogólnopolskiego, społecznego i kulturalnego centrum — cicho było o nim wśród naszego wychodźczego społeczeństwa. Zwolenników miał wówczas mało, przeciwników wielu, ale nie było ich jeszcze słychać, nie zadawali sobie nawet trudu podejmowania dyskusji.

Dopiero pierwsze odważniejsze poczynanie wywołały opór. POSK, może zbyt otwarcie, zbyt szczerze, rzucił hasło: należy połączyć rozproszone dotychczas wysiłki, należy zgromadzić w jedną całość polskie fundusze społeczne, z których duża część pochodzi z dawnych funduszy państwowych. W polskim Londynie zakotłowało się. Od lat uformowały się już i zastygły formy pewnego sposobu działania, poukładały się stosunki, nabrały trwałości niektóre prezesury i związane z nimi korzyści a tu nagle przychodzą nowi ludzie, chwytają za fundamenty polskiego spokojnego londyńskiego życia i zaczynają nimi potrząsać.

Okazało się jednak, że, jak przeważnie w takich wypadkach bywa, londyńska kotłownina polegała na nieporozumieniu. POSK wcale nie żądał od nikogo funduszy i nie domagał się prawa kontroli, wcale nie dążył do likwidacji innych organizacji i instytucji, wcale nie dybał na cudze stanowiska i tytuły. Nawet

sam pomysł wielkiego, centralnego, ogólnopolskiego domu nie był nowy. Przed kilkunastu laty omawiano już podobny projekt, forsowało go Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, istniał międzyorganizacyjny komitet, pracowały komisje, ale wszystko rozbiło się o obojętność ogółu społeczeństwa. Wówczas było jeszcze na to za wcześnie.

Z rozmów wyłonił się prawdziwy obraz tego, do czego zmierza, kontrowersyjny pozornie, projekt.

Zagrożenie losu bibliotek, brak pomieszczenia dla archiwów, brak odpowiedniej sali teatralnej i balowej, szczupłość Instytutu im. gen. Sikorskiego, trudności personalne i lokalowe wielu polskich, zasłużonych organizacji, kurczenie się zespołu działaczy, rozrzutność odrębnego budżetowania — wszystko to bezapelacyjnie wskazywało na konieczność jednego, wielkiego, centralnego rozwiązania. Można je było podjąć tylko przy wspólnej chęci, tylko przy zgodzie i współpracy najsilniejszych, najzamożniejszych polskich organizacji i instytucji, przy jednoczesnym poparciu ogółu społeczeństwa wychodźczego. Nikt nie mógł być przez takie plany zagrożony, bo opierały się na dobrowolnym akcesie i wspólnym działaniu, żadna z organizacji nie miała podstaw do lęku, bo nikt nie zamierzał odbierać jej niezależności. Wspólny dach, wspólna administracja, wspólna centrala telefoniczna, wspólna winda — wcale nie oznaczają końca suwerenności samodzielnego życia.

Rozproszenie nieporozumień zmieniło bardzo poważnie układ sił. Najbardziej jaskrawo zaznaczyło się to w stosunkach pomiędzy Ośrodkiem i SPK. Była chwila, gdy wydawało się, że brak precyzji w określeniu celów może doprowadzić do starcia. Jedną wspólną konferencją rozwiła wszystkie wątpliwości i stanął układ, który dla losów wielkiego planu ma charakter decydujący. Stowarzyszenie Polskich Kombatantów postanowiło poprzeć inicjatywę Ośrodka. Czołowi jego działacze weszli do władz POSK-u, rozesłano komunikaty do wszystkich ogniw terenowych, Zarząd Główny, w oparciu o uchwałę zjazdu, postanowił, że przeniesie na teren Ośrodka swą centralną siedzibę i że na cel ten wyasygnuje 50 tysięcy funtów.

Po tej ważnej decyzji przysłyły dalsze. Do Ośrodka poczęły przystępować liczne polskie organizacje, niektóre tylko z symbolicznymi 10-ma funtami, inne z wkładami idącymi w setki i tysiące funtów. Trzeba zapoznać się z listą najpoważniejszych wpłat, od samego początku istnienia POSK-u:

Towarzystwo Popierania Nauki Polskiej (PUCAL)	105.630 £
Stowarzyszenie Techników Polskich	17.110 £
Instytut Wschodni „Reduta”	8.960 £
Gmina Zachodniego Londynu	2.010 £
Fundusz Wdów i Sierot 5 KDP	1.600 £
Instytut Józefa Piłsudskiego	1.010 £
Stowarzyszenie Polskich Saperów	1.010 £
Polski Ośrodek Młodzieży	1.010 £

Powiernicy Stowarzyszenia Marynarki Handlowej	1.000 £
Związek Kupców i Przemysłowców	300 £
Koło Lwowian	220 £
Zjednoczenie Polskie w Wielkiej Brytanii	140 £
Koło Kobiet PSZ	110 £
Zrzeszenie Rolników Polskich	110 £
Zrzeszenie Nauczycielstwa Polskiego	100 £

Obok organizacji POSK zabiegał o członkostwo indywidualne, z minimalną jednorazową wpłatą w wysokości 10 £. Takich indywidualnych zgłoszeń jest już 930 na łączną sumę 10.450 £. Nie wolno zapomnieć o dwóch, bardzo ważnych, bo symbolicznych, wpłatach. Fundacja Jurzykowskiego (Stany Zjednoczone) wpłaciła 9.000 \$, ze spadkowego zapisu Heleny Krzyżanowskiej wpłynęło 8.500 £.

Są także i pożyczki udostępnione na bardzo niski procent lub bezprocentowe. Fundusz Wdów i Sierot 3 dyw. wpłacił 25.000 £, Biblioteczny Fundusz Apelowy 10.850 £ Zygmunt Guzowski 5.000 £, Fundusz Samopomocy Stow. Techników Polskich 4.950 £, Stowarzyszenie Marynarki Wojennej 3.700 £.

W roku 1965, gdy Ośrodek przejął aktywa Twa Popierania Nauki (PUCAL-u), majątek jego wynosił niewiele ponad 100.000 £, dziś, po pięciu latach, wynosi ponad 250.000 £, bez doliczenia wartości Biblioteki Polskiej i Biblioteki Ruchomej, które prawnie należą do POSK-u, i bez 50.000 £ od SPK, które w niedługim czasie wesprą prowadzone już budowy.

Ten pomyślny rozwój gospodarczy pozwolił na rozpoczęcie dawno planowanych poczyną. W roku 1968 zakupiono spory budynek przy King Street, w dzielnicy Hammersmith. Samo przeprowadzenie transakcji nie przedstawiało specjalnych trudności, musiało być jednak poprzedzone długimi rozważaniami i załatwieniem całego szeregu skomplikowanych problemów. Najpierw, niezależnie od przepisów lokalnych i tendencji władz angielskich, trzeba było przedyskutować i ustalić dzielnicę, w której miał stanąć wymarzony gmach. Musiała być zamieszkała przez Polaków, musiała posiadać dogodne połączenia komunikacyjne, nie mogła być za droga, nie mogła wyłamywać się z rozwojowych planów wielkiego Londynu. Zdecydowano Zachód i była to decyzja słuszna. Wprawdzie dziś Hammersmith nie należy jeszcze do eleganckich dzielnic Londynu, ale poziom jego stale idzie w górę, bo wielka metropolia rozrasta się w kierunku zachodnim. Nieruchomość zakupiona przez Ośrodek jest pełną własnością, ale inne budynki tej dzielnicy są przeważnie tylko krótkimi, paroletnimi dzierżawami. Nie minie dekada i na ich miejsce pojawią się nowoczesne bloki mieszkaniowe, biura, szkoły, kina i teatry. Takie są plany lokalnych władz miejskich.

Znacznie trudniej przedstawiał się problem zgody miejscowego magistratu na takie wykorzystanie kupowanego obiektu, jakie przewidywano w planach Ośrodka. Było to zagadnienie związane nie tylko z ogólnymi miejskimi planami, ale także ze stosunkiem

Anglików do osiedlonych na terenie W. Brytanii kolonii cudzoziemskich. Nikt nie wymaga tu ani zmiany obywatelstwa, ani wyrzeczenia się swego języka, ani przekreślenia narodowej kultury, ale tendencja władz idzie po linii powolnej integracji. Anglicy spodziewają się, że nowe pokolenie, urodzone już i wychowane na Wyspach, przyjmie ich styl życia, ich cywilizację, ich kulturę i obyczaje. Nie przeszkadzają w kultywowaniu narodowych odrębności, ale ich nie popierają, są poprawni, ale obojętni. Kilka dzielnic, w których Ośrodek szukał odpowiedniego obiektu i zapypywał magistrat czy zgodzi się na polskie centrum z bibliotekami, teatrem, księgarnią, klubem i wieloma organizacjami, dało bardzo prędko odpowiedź odmowną. Od takiego „Nie!” nie istnieje prawna droga odwołania się i dlatego dopiero wówczas można było sfinalizować transakcję, gdy władze Hammersmith po długich wahaniach wyraziły pełną zgodę. Był to bardzo ważny moment w rozwoju planów POSK-u, ważniejszy niż się to dziś wydaje.

Zakupienie nieruchomości przy King Street, co pochłonęło 48.000 £, załatwiło jednak tylko część problemu, bo obiekt był za mały, by maksymalny projekt mógł być tam urzeczywistniony. Na szczęście na sąsiedniej parceli znajdował się kościół Baptystów z przylegającym doń domem parafialnym i szkołą. Połączenie obydwu nieruchomości, dostosowanie kościoła do pomieszczenia bibliotek, wspólny, wielki plan architektoniczny — to dopiero pozwalało na wykonanie całości planów POSK-u. Wstępne rozmowy wykazały, że Baptysty są skłonni do sprzedania swych budynków, które, podobnie jak ten, zakupiony już przez Ośrodek, są pełną własnością.

Zaczęły się uciążliwe i długie pertraktacje, bo Baptysty nie mieli zamiaru opuścić terenu, zajmowanego od wielu lat, a jedynie przenieść się w głąb, na mały skrawek, na którym zmieściłaby się kapliczka, wystarczająca na ich obecne potrzeby. Problem komplikował się dodatkowo przez fakt, że obok kościoła znajduje się stary cmentarz a prawo brytyjskie wymaga aktu parlamentu i królewskiego podpisu zanim ruszy się leżące w ziemi ludzkie szczątki. Trzeba było przygotować trudny prawnie dokument, który by przewidywał przejście przez POSK prawa własności, mimo późniejszego w czasie wejścia w posiadanie fizyczne, i ratalne spłacanie należności, w miarę budowania kapliczki. Ponadto trzeba jeszcze było dokupić boczny, niewielki budynek, by mieć akces do parceli od drugiej strony. Całość miała kosztować dalszych 60.000 £.

Dwa lata trwały targi, formalności i parlamentarne zabiegi. Tuż przed ostatnimi świętami przyszła wiadomość, że akt jest gotów i że cmentarz można ruszyć, bo pod aktem położony już został podpis królowej. Dnia 8 stycznia br. Ośrodek stał się właścicielem kościoła, domu parafialnego i szkoły. Całość obejmuje przestrzeń o froncie długości 145 stóp i głębokości 172 stóp. Powierzchnia mierzy około 25.000 stóp kwadratowych. Ponieważ lokalne władze zgodziły się, by powierzchnia wszystkich podłóg

przekroczyła trzykrotnie powierzchnię parceli, da to Ośrodkowi 75.000 stóp kwadratowych. Jest to przestrzeń wielka, pozwalająca na realizację wszystkich zamierzeń.

Równoległe z załatwianiem problemów prawnych i finansowych posuwane były naprzód plany architektoniczne. Nie można ich było robić z pełnym poczuciem swobody, bo zakupione budynki musiały być jak najekonomiczniej wykorzystane a ponadto głos decydujący należał tu nie do władz POSK-u a do dzielnicowego magistratu i jego doradcy budowlanego. I ta przeszkoda została pokonana. Akceptacja generalnego planu jest już poza nami, pierwsze roboty, polegające w tej chwili na oczyszczaniu terenu, już rozpoczęte.

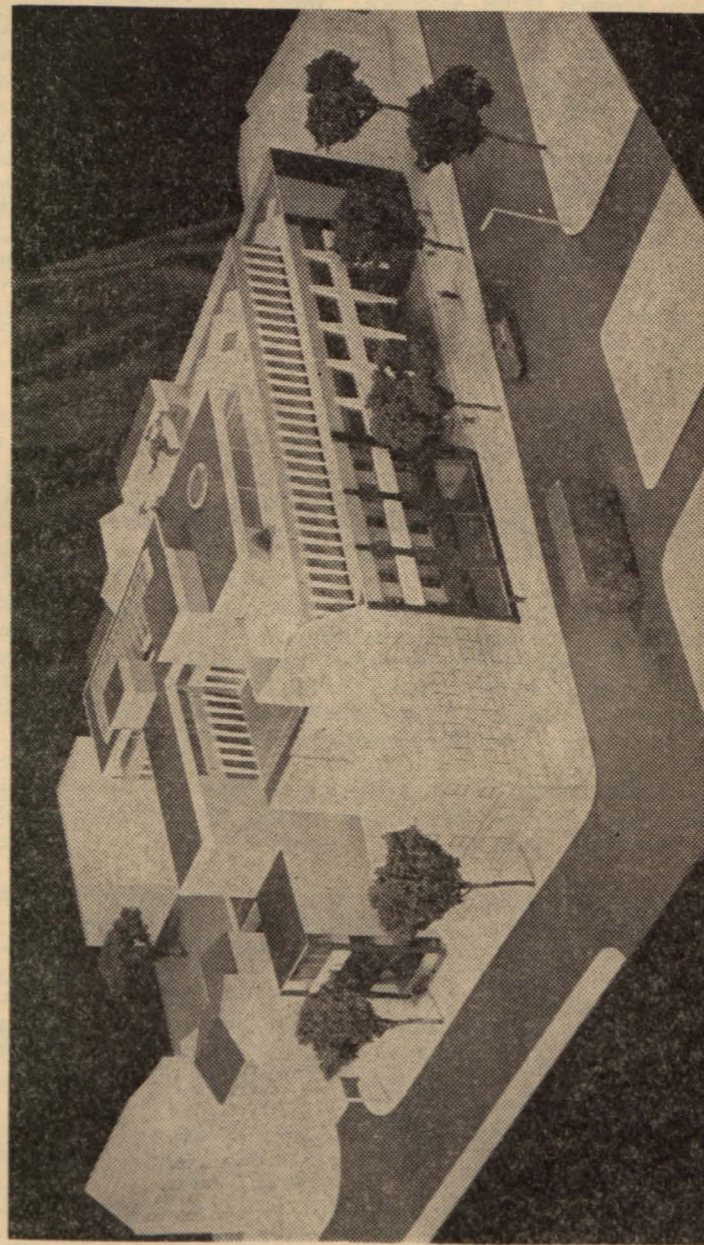
Cóż przewiduje wizja architektoniczna, oparta o drobiazgowo obliczenia firmy inżynierskiej i potrzeby kulturalne i społeczne, ustalone przez władze Ośrodka po wymianie poglądów z wieloma zainteresowanymi organizacjami?

Pod ziemią znajdują się pomieszczenia na wszystkie polskie archiwa. Zapewni się im bezpieczeństwo, odpowiednią temperaturę i konieczną suchość. Obok, także częściowo pod ziemią, wybuduje się garaż na 50 samochodów (warunek władz lokalnych). Dalej klub młodzieży liczący kilkuset członków, który tak pięknie rozwinął się w dawnej swej siedzibie przy Cromwell Road. Od frontu, na parterze, z wielkimi oknami na ulicę, rozłoży się księgarnia SPK, w głębi dwie restauracje (droższa i tańsza), dwa bary i kawiarnia. Biblioteka Polska i Biblioteka Ruchoma plus czytelnia i archiwum pism obejmą kościół, odpowiednio przebudowany i dostosowany do nowych potrzeb. Będzie tam dosyć przestrzeni, gdyby inne biblioteki zechciały dołączyć. Na wysokości pierwszego piętra, wzdłuż ulicy, zbudowana zostanie sala teatralna na 450 miejsc, która służyć będzie także jako sala balowa. Dalej, w głębi i na wyższych piętrach, połączonych windami, znajdują się pomieszczenia licznych organizacji społecznych i naukowych, sale konferencyjne, klub bridżowy. Wspólna centrala telefoniczna obsługiwać będzie wszystkie organizacje i instytucje, skupione pod jednym dachem. Część, którą zajmie SPK, ustali się w najbliższym czasie. Plany, zaakceptowane przez lokalne władze, mają charakter ramowy. Logiczne zmiany, związane z potrzebami, które wyłonią się w czasie budowy, będą mogły być wprowadzone.

Na Hammersmith pracują już robotnicy i wielki plan, realizowany kolosalnym wysiłkiem ludzi najlepszej woli, zaczyna się wyłaniać z mgły przewidywań, nadziei i ogólnych dyskusji.

Na parcele i budynki przy King Street wydano 108.000 £ i na zabudowę pozostaje około 40.000 £ gotówki plus 50.000 £, które uruchomi SPK. Stanowi to prawie jedną trzecią potrzebnego kapitału, mniej więcej tyle, ile musi posiadać prywatny przedsiębiorca, przewidujący, że resztę pokryje z uzyskanego kredytu.

POSK nie jest prywatnym przedsiębiorcą i dlatego musi kalkulować inaczej. Archiwa, biblioteki, pomieszczenia o charakterze społecznym nie będą przynosić dochodu i dlatego kredyt,



Mankieta domu POSK'u

zwłaszcza drogi, nie może być brany pod uwagę. To, co w chwili obecnej posiada POSK, w formie innych dochodowych nieruchomości, plus renty płacone przez użytkowników nowego budynku, musi wystarczyć na jego utrzymanie. Obsługa wysokich pożyczek nie może być tym objęta. Budowa będzie szła naprzód a jednocześnie, w tym samym czasie, na innej płaszczyźnie, toczyć się będzie walka o zdobycie poparcia wszystkich emigracyjnych organizacji i instytucji polskich i wszystkich zamieszkałych na Zachodzie Polaków. W ciągu pierwszych 5-ciu lat Ośrodek podwoi z nadwyżką swój majątek, jest więc nie do pomysłenia, by w ciągu następnych lat 5-ciu, w okresie budowania, w okresie wznoszenia murów przyszłego, wielkiego centrum, Polacy na Zachodzie odmówili POSK-owi swego poparcia.

Kamień węgielny jest tylko symbolem, nie stanowi całego budynku, ale zobowiązuje.

Józef GARLIŃSKI

Wywiad z prez. A. Mazewskim

Ponieważ w związku z podróżą Prezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej, adw. Alojzego Mazewskiego, do Europy — w marcu r.b. — w kołach polskiej emigracji snuje się różne domysły i przypisuje tej podróży różne intencje, zwróciłem się do adw. Mazewskiego z prośbą u udzielenie mi odpowiedzi na kilka pytań — na co prez. Mazewski wyraził swoją zgodę.

Pytanie: Czy w związku z krążącymi domysłami uważa Pan za pożyteczne powiedzieć czytelnikom *Kultury* w jakim celu i w jakich intencjach udaje się Pan do Europy?

Odpowiedź: — Londyn jest jednym, ale nie wyłącznym celem mojej podróży do Europy. W ciągu dwóch tygodni mam zamiar odwiedzić cztery stolice europejskie i ponadto wygospodarować kilka dni dla siebie i dla mojej żony, która mi towarzyszy — na wypoczynek. Będzie to podróż poznawczo-informacyjna prezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej, pomyślana jako braterska wizyta złożona różnym skupiskom emigracji polskiej w Europie. Ma ona podkreślić fakt, że więź narodową należy stawiać ponad różnice środowiskowe, polityczne i personalne, występujące w skupiskach polskich na świecie, i że więcej nas łączy niż dzielą odmienności powstałe jako wynik życia w różnych krajach i odmiennego dystansu do spraw kraju pochodzenia.

Swoją podróż zaczynam od Danii, gdzie w Kopenhadze zbudam możliwości wykonania odlewu pomnika Mikołaja Kopernika dłuta Thornwalsena. Projektujemy bowiem — choć tego jesz-

cze nie ogłaszaliśmy — że w roku obchodów kopernikowskich Polonia chicagowska ufunduje miastu Chicago pomnik Kopernika, aby przypominał on społeczeństwu amerykańskiemu polski wkład do kultury światowej, zaś Polonii jeden z piękniejszych fragmentów stolicy — warszawski pomnik Kopernika obok Pałacu Staszica.

Drugim etapem mojej podróży jest Londyn, gdzie będę rewidzował prezesa Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii, p. Hęciaka, który był u nas z wizytą w 1968 roku na zjeździe K.P.A. w Waszyngtonie. Moja rewizyta przypada na okres jubileuszowego Zjazdu tej organizacji. Nie będę brał udziału w obradach, natomiast wraz z żoną zamierzam wziąć udział w jubileuszowym bankiecie dla uczczenia 25-lecia działalności Zjednoczenia.

Trzecim etapem jest Paryż, tak bogaty w tradycje emigracji polskiej. Leżą mi na sercu losy historycznej Biblioteki Polskiej, placówki która blisko półtora wieku reprezentuje kulturę polską na obczyźnie. Chciałbym także poznać nowy, a tak prężny, ośrodek kultury polskiej, tj. Instytut Literacki w Maisons Laffitte, z którego dorobku korzystają Polacy na całym świecie.

Czwartym etapem mej podróży jest Rzym. Pragnę złożyć hołd poległym za Polskę zdobywcom klasztoru Monte Cassino, mam również zapewnioną specjalną audiencję u Papieża, któremu będę starał się przedstawić potrzeby katolików polskiego pochodzenia w Stanach Zjednoczonych.

Na Rzymie zakończę swoją podróż oficjalną po Europie. Jak z tego wynika, nigdzie długo się nie zatrzymam i, jako gość, nie mam zamiaru interweniować w sprawy wewnętrzne polskich skupisk; szanuję prawo gospodarzy do kłopotów we własnym zakresie. Chciałby pozostawić po sobie i przywieźć ze sobą przekonanie, że pochodzenie i polska kultura łączą nas w o wiele silniejszym stopniu niż dzielą trudności lokalne. Chciałbym ponadto wyjaśnić, że mimo oficjalnego charakteru mej podróży, jako prezesa K.P.A., koszty pobytu w Europie pokrywam z własnej kieszeni.

Pytanie: Czy mam rozumieć, że poza wzięciem udziału w bankiecie jubileuszowym Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii nie zamierza Pan rozszerzyć swoich kontaktów z Polakami w Londynie?

Odpowiedź: — Tego nie twierdzę. Uważam za pożyteczne spotkania towarzyskie z przedstawicielami różnych ośrodków życia emigracji polskiej w Londynie, gdyż tego rodzaju spotkania pozwolą mi lepiej poznać to środowisko. Ale podkreślam, że moja podróż pozbawiona jest celów politycznych, a pomyślana została jako kontakt kulturalno-społeczny, mający na względzie obopólne zrozumienie.

Pytanie: W podróży towarzyszy Panu więcej osób. Jakie repre-

zentuują one środowiska polonijne i na jakich zasadach dokonał się ich wybór?

Odpowiedź: — Moja delegacja jest jednoosobowa i nikt nie dobieierał mi towarzyszy podróży. Sami zgłosili się i towarzyszą mi na własny koszt. Ich podróż jest wyrazem ich zainteresowań zawodowych czy społecznych. Jeden jest dziennikarzem, który w ten sposób chce wykorzystać swój urlop wypoczynkowy, drugi jest komentatorem polskiej radiostacji w Chicago, a trzeci lokalnym działaczem polonijnym, który lubi podróżować.

Pytanie: Co chciałyby Pan powiedzieć Polakom w świecie za pośrednictwem łamów *Kultury*?

Odpowiedź: — Chcę powiedzieć, że urodziłem się w Ameryce, wychowałem w amerykańskich stosunkach i, podobnie jak większość Polonii Amerykańskiej, uważam się za Amerykanina polskiego pochodzenia, mającego serce otwarte dla wszystkiego co polskie i pragnącego pomagać narodowi polskiemu poprzez zdobywanie należnych mu wpływów w naszej amerykańskiej ojczyźnie. Jest to droga trudniejsza, ale obojętnie korzystniejsza — zarówno dla Polonii jak i dla sprawy Polski.

Rozmowę przeprowadził Edward PUACZ
(Tekst autoryzowany)

Best-seller emigracyjny w roku 1959 i nie nagrodzona „atlantyda”
roku 1960:

Michał K. Pawlikowski

„DZIECIŃSTWO I MŁODOŚĆ
TADEUSZA IRTEŃSKIEGO”

Pozostałe egzemplarze do nabycia u autora:
2128 STUART STREET,
BERKELEY, CALIFORNIA 94705.

Cena za egzemplarz z przesyłką \$ 5,00
(z dedykacją autora)

Straty kultury polskiej

Stanisław Vincenz

Stanisław Vincenz zmarł 28 stycznia 1971 roku w Lozannie. Był jednym z tak potrzebnych kulturze polskiej pisarzy-humanistów przechowujących tradycje tolerancji i przyjaznego współżycia pomiędzy ludźmi różnych wiar, języków i obyczajów. Nie wątpimy, że i jego postać i jego pisma będą przedmiotem licznych rozpraw, przyczynków biograficznych i studiów. W tej chwili za najlepszy sposób uczczenia jego pamięci uważamy przypomnienie głównych dat z jego życia i tytułów jego dzieł.

Stanisław Vincenz pochodził z rodziny prowansalskich emigrantów osiedlonej w Karpatach. Urodził się 18 listopada 1888 r. w Słobodzie Rungurskiej na Huculszczyźnie, u stóp Czarnohory. Z polskiego gimnazjum w Stanisławowie i w Kołomyi wyniósł znajomość greki, co miało przesądzić o jego trwałym przywiązaniu do Homera i Grecji antycznej. Na uniwersytecie w Wiedniu przerzucał się od biologii do prawa i filologii, studiował sanskryt, następnie filozofię i w roku 1914 otrzymał doktorat obroniwszy pracę pt. *Filozofia religii Hegla*. Podczas I wojny światowej służył w armii austriackiej, w latach 1919-1922 w Wojsku Polskim, najpierw jako wykładowca w Korpusie Kadetów w Modlinie, następnie jako referent oświatowy przy sztabie VI Armii. W latach 1922-1923 był czynnym członkiem Polskiego Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie”. W roku 1927 redagował, w roku 1928 współredagował (z Wilamem Horzycą) miesięcznik *Droga*. W roku 1939, wkrótce po zajęciu jego ziemi rodzinnej przez wojska sowieckie, próbując przejścia przez góry na Węgry, został aresztowany, druga jednak próba, na wiosnę 1940 roku, udała się dzięki jego znakomitej znajomości górskich ścieżek i do roku 1946 przebywał na Węgrzech, gdzie był prezesem polskiej Komisji Oświatowej. Po wojnie osiedlił się w La Combe de Lancey pod Grenoble, w ostatnich latach mieszkał w Lozannie.

O jego wszechstronnych zainteresowaniach świadczą przekłady: z Dostojewskiego (1917), z Walta Whitmana (1920); teksty

odczytów w językach polskim i niemieckim; liczne eseje o charakterze medytacji wiążących ze sobą folklor, mitologię i twórczość jego ulubionych poetów, Homera i Dantego; oraz wspomnienia z okresu ostatniej wojny. Centralne jednak miejsce w jego literackim dorobku zajmuje dzieło olbrzymich rozmiarów, dotychczas nie w całości opublikowane: *Na wysokiej połoninie*. Tom I, *Prawda starowieku*, ukazał się w Warszawie w roku 1936. Skrócone drugie wydanie (wybór) ukazało się podczas wojny w Budapeszcie, wyborem jest również wydanie londyńskie (Veritas, 1956). Angielski przekład H. C. Stevensa pt. *On the High Uplands, sagas, songs, tales and legends of the Carpathians*, Roy Publishers, New York i Hutchinson, London, 1955, jest wyborem z trzech tomów. *Zwada*, którą skończono drukować w Londynie tuż przed śmiercią autora, należy do tomu II, *Nowe Czasy*, choć czytelnik nie może odgadnąć czy równoznaczna jest z całością tomu. Poszczególne opowiadania z tomu III są dostępne jedynie w rocznikach *Kultury* i w przekładzie angielskim. Tak więc niemożliwe jest, jak na razie, ogarnięcie dzieła w całości. Zamiar autora jest jednak wyraźny: chce on być kronikarzem, ale kronikarzem dziejów nie państwa, nie kraju, jedynie „małej ojczyzny”, karpackiego zakątka, który był wspólną własnością kilkoma językami mówiących jego mieszkańców, Hucułów, Żydów i Polaków. Ponieważ baśń, podanie, pieśń, teologiczna dysputa są samą kanwą tych dziejów, kronikarz zmienia się w bazarza i pieśniarza, wprowadzając legendarne postacie tej ziemi, takie jak zbójnik Dobosz i twórca chasydyzmu Baal Szem Tow, układając sagę o dynastiach chłopskich rodzin. Utwór, na pograniczu powieści, etnograficznego zapisu i eposu, wymyka się klasyfikacjom; został nazwany przez prof. W. J. Rose „Kalewałą Karpat”. Młodopolskie filiacje są oczywiste, jednak zamysł zdaje się być zupełnie inny niż np. w *Na skalnym Podhalu* Tetmajera. Rysuje się tu zasadniczy protest autora przeciwko wykorzenieniu ludzi w naszym stuleciu, przeciwko zastąpieniu dobrosąsiedzkich stosunków przez wolę państw-abstrakcji. Vincenz był zwolennikiem „Europy ojczyzn” pojętych jako coś ciepłego, bliskiego, znanego nam od dziecka, karmiącego wyobraźnię szczegółami krajobrazu i bogactwem miejscowej tradycji. Ojczyzny to Huculszczyzna, Walia, Prowansja, Toskania, nie obszary oznaczane linią granic na mapach. W swojej ojczyźnie nad Czeremoszem najbardziej cenił niepowtarzalny stop prastarej cywilizacji pasterskiej, tej samej aż po góry Epiru, z pierwiastkami przyniesionymi z Bizancjum, z Turcji, z Persji, a nawet z Indii. Równą sympatią darzył siedzących tam od prawieku chrześcijan i nie-chrześcijan. Za swoje zadanie obrał utrwalenie obyczajów pewnej wspólnoty ludzkiej, zanim przypadnie ona na zawsze, choć przetrwa jako nauka i odległa możliwość. Być może więc *Na wysokiej połoninie* nie jest tylko książką o przeszłości.

„Nowe czasy” w *Zwadzie* to lata 1860-te, kiedy siedziby ludzkie w Karpatach sąsiadowały z dziewiczą puszcza zamieszkałą przez Bidy i Czorty leśne. Ale urodziwe lasy przetrwały tam aż

zagarnięcia tej ziemi przez lodowy sowiecki monolit. Pod koniec życia Vincenz otrzymywał listy od swoich starych przyjaciół Hucułów. Donosili o doszczętnie wyrąbanych lasach i o tym co nazywamy erozją oraz niepowrotnym zakłóceniem ekologicznej równowagi. Te wieści miały wydźwięk symboliczny. Los przyrody odpowiadał losowi ludzi, którzy albo zginęli albo zmuszeni zostali wyrzec się swoich wier i przyzwyczajęń.

Vincenz jako człowiek miał wielu przyjaciół i wielbicieli. Proukraiński Polak, chrześcijanin ale miłośnik chasydzkich legend i przypowieści, niezrównany gawędziarz, dla niejednego był niemal guru czy cadykiem.

Jego książki wydane w ostatnim dziesięcioleciu to:

Po stronie pamięci, wybór esejów z przedmową Czesława Miłosza, Instytut Literacki, Paryż, 196?.

Dialogi z sowietami, Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1966. Są to odtworzone z pamięci rozmowy z sowieckimi ludźmi, przeważnie żołnierzami, na Huculszczyźnie i na Węgrzech.

Zwada, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1970.

REDAKCJA

Stanisław Vincenz

„a ten co od sumienia historii oderwał się, ten dziczeje na wyspie oddalonej...”.

Od chwili gdy nadeszła wiadomość o śmierci Stanisława Vincenza te słowa narzuciły mi się i nie opuszczają mnie; bo jeżeli nie zdziczeliśmy wszyscy na naszych wyspach oddalonych, nie o geografii tu chodzi, zawdzięczamy to paru ludziom wśród nas — miary Stanisława Vincenza — którzy byli *naszym* sumieniem historii, bo *sobą* realizowali pewną polską, a jednocześnie najbardziej uniwersalną tradycję, jej nurt najcenniejszy, niezarażony ani naszą pychą, ani żadną wolą podporządkowania sobie kogośkolwiek, więc niszczenia w imię narodu, klasy, czy choćby najszczytniejszego wzorca idealnej, koniecznie idealnej przyszłości.

Co to jest to „sumienie historii”, pytałem siebie, od którego oderwać się nie wolno; jak to rozumiał Norwid w „Garści piasku”?

„...I ci, co nie podzielili boleści ani żalu, ani weszli kiedykolwiek w testamenta żywotów przeszłych wyklinają się sami na pokolenia nowe od zwyczajskiej prawdy oddalone...”

„Tak iż bywa, że na nowo proroków i na nowo apostołów posyłać im trzeba na noże ich, aż by powrócili w dawny prąd...”.



Stanisław Vincenz, autor „Na wysokiej połoninie”, „Zwady” — książek-pomników świata, który minął i nie wróci, nie był pomimo wszystko człowiekiem książki, był przede wszystkim człowiekiem obcowania, przyjaźni, dialogu.

Przeżył on całą młodość i wiek męski na Huculszczyźnie, na tej ziemi, związanej od XIV wieku z Polską, i z ziemią tą był wszystkimi fibrami zróżniony. Wśród ukochanych gór i lasów każdy górą, Hucuł, Ukrainiec, Żyd-chasyd, czy zwykły karczmarsz, Polak w tamten kraj wrośnięty, czy nawet Włoch przybyły na roboty, wszyscy mu byli braćmi. W tym tłumnym braterstwie nie było nic z masówki pod jeden strychulec; każdego człowieka, z którym się pan Stanisław zetknął, widział we własnej jego odrębności wraz ze światem jego przodków, jego religii, jego potrzeb materialnych, jego snów i pragnień. To zadziwiające bogactwo nie tylko charakterów, ale i tradycji przeróżnych, aż po Grecję sięgających, tam, w tym górskim kraju, splecionych, umiał nam w książkach swoich przekazać.

Przyszły lata klęsk i Vincenz znalazł się na emigracji. Czy zmienił się o cal jego stosunek do świata i ludzi? Do końca dominowało w nim błogosławieństwo życia, każdego życia, w jego nieskończonej różnorodności i nawet w latach wojny, klęsk i zbrodni, deptania wszelkiej godności ludzkiej, nawet wówczas umiał jeszcze wykrzesać światło.

Ale tam, w jego Huculszczyźnie, wszystkich łączyła natura, góry i lasy ogromne, połoniny, konie i bydło i ten niespieszny czas górski, związany z porami roku, które stawiają przed człowiekiem coraz to inne prace i zadania, które każdy musi wykonać.

Jakże będzie żył pan Stanisław — myśleliśmy — od tamtego świata oderwany: Węgry podczas wojny, Węgry zalane wojskiem sowieckim (nawet z tych czasów zostawił nam książkę „Dialogi z Sowietami”), potem Austria, Francja, Włochy, Szwajcaria.

Spotkawszy go po latach zdawało mi się, że przynosił wszędzie ze sobą ten niespieszny czas górski, tę samą, nieustanną w jego wizji świata, obecność natury, ten sam stosunek do każdego człowieka, uparcie wnikliwy i uparcie przyjazny. I tu, na Zachodzie, wierzył tak samo jak górale i chasydzi jego kraju, że „smutek jest grzechem przeciwko słończku, jest kuszeniem czorta samego Archijudy”. W jego religii, splocie elementów chrześcijańskich, buddyjskich, pogańskich, to „słończko” było przedmiotem czci, jakby osobnej i najwyższej. Gdy na wycieczkach górskich, jeszcze w okolicach Grenoble, tak jak kiedyś na Huculszczyźnie zbliżał się zachód słońca, Stanisław Vincenz zdejmował swój beret i milkł.

Ten emigrant, z rodziną, bez środków rzucony na Zachód, w każdym kraju umiał zdobyć najwierniejszych przyjaciół, którzy

go do śmierci otaczali czynną, entuzjastyczną opieką; wszędzie docierali do niego przybysze-przyjaciele z Polski, z Ameryki, z Izraela. I cóż za różnorodność typów ludzkich można było spotkać w jego domu. Od Zbindena, pisarza szwajcarskiego, od doktora Gauglera, również Szwajcara, aż po młode dziewczyny z Francji czy Kalifornii, aż po Johna Marbacha, pedagoga z Neapolu, który go przez lata otaczał synowską miłością, aż po Jean Colina, przedwcześnie zmarłego malarza, który z Amiens do niego jeździł i dla którego spotkanie z panem Stanisławem było wielkim wydarzeniem jego życia. Nie mówiąc już o Jeanne Hersch.

Te przyjaźnie nie były nigdy „zaryglowane”, były zawsze otwarte i każdy, kto się do pana Stanisława zbliżył mógł liczyć nie tylko na niego, ale i na jego niezliczonych i nieznanych przyjaciół.

Sam mogłem najbliższej obserwować pana Stanisława w 1965 roku w La Combe de Lancey, małej wiosce górskiej, dokąd Vincenzowie jeździli na lato. Już wówczas poruszał się z trudem. Kamienne schodki, prowadzące do jego domu, były już dla niego ciężką wspinaczką, ale jeszcze rwał się ku górom i jeszcze pragnął podejść, podjechać bliżej i wyżej. A dom i malutki ogródek z rozłożystą wiśnią i krzewem figi był co dzień odwiedzany. Nie było człowieka, którego sprawy intymne nie stawałyby się sprawami pana Stanisława i nie było takiego gościa, którego by w pewnej chwili nie próbował zarazić swymi pasjami humanistycznymi i miłością do Grecji, któremu nie próbował czytać, czy choć opowiadać Iliadę i Odyseję, któremu nie cytował Dantego, z którym jak z Homerem zawsze obcował.

I jeszcze parę lat przed śmiercią wyznał Vincenz młodzieutkiej Eliane Thiercelin, jednej z najbliższych przyjaciółek rodziny Vincenzów, „nie pamiętam człowieka, którego bym poznał i wobec którego bym nie czuł, że *mógłby być moim przyjacielem*”.

Jeszcze i to charakteryzowało stosunki z Vincenzem, że stwarzały się one jak by *poza* świadomością jakiejś hierarchii, władzy, wpływów, sytuacji politycznej, światowej, bo każdy człowiek z którym obcował, stawał się dla Vincenza czymś absolutnym i w sobie najważniejszym, któżby to mógł być mniej ważny czy ważniejszy? Chyba ten, kto bardziej go potrzebował, kto lepiej umiał słuchać Odysei. Na świat polityki Vincenz patrzył i śledził go wcale nie obojętnie, ale jakby z wielkiej wysokości, bo wszystko było w jego myśleniu wtopione w długie, długie procesy historyczne, bo dziś, bo jutro nie było nigdy oderwane od dalekiego wczoraj. Przypominam sobie sprzed laty odczyt Vincenza w Niemczech — do Niemców skierowany. Oczekiwaliśmy, że mówić będzie może o naszych polsko-niemieckich wojennych, czy powojennych stosunkach, o naszych granicach. Vincenz nawet o tym nie wspominał; mówił o wojnach peloponeskich, o zagładzie wielkości Grecji poprzez tamte wojny bratobójcze, mówił z bólem i pasją, jakby ta wojna miała miejsce tu, wczoraj, i nie było chyba Niemca czy Polaka wśród słucha-

czy, który by nie wiązał jego słów z naszym losem, dzisiaj, w Europie.

Nieszczęśliwy jest człowiek, który nie spotkał w życiu nauczyciela, któremu się zdaje, że on jeden, że jego, i tylko jego pokolenie się liczy, który nie spotkał w młodości człowieka, jakim dla mojego pokolenia był Vincenz, przyjaciel, który nam odkrywał „testamenta żywotów przeszłych” i był dla nas *sumieniem historii*.

Józef CZAPSKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Kronika kulturalna

Filadelfijska zagadka Adama Mickiewicza

Wśród artykułów politycznych Adama Mickiewicza, zamieszczonych w redagowanym przezeń w r. 1849 dzienniku francuskim *La Tribune des Peuples*, znalazł się jeden pt. „Przestroga dla amerykańskich demokratów” (*Avertissement aux Démocrates Américains*), którego okoliczności przedstawiały się dotychczas zagadkowo. Ukazał się on w numerze 30 pisma z dnia 14 kwietnia pod wrażeniem informacji, podanej jako ciekawostka we francuskiej gazecie *Journal des Débats*. Notatka była oparta na odezwie, skierowanej rzekomo przez jakiś tajemniczy związek amerykański do radykałów po drugiej stronie Atlantyku. Poeta zaczął od usprawiedliwienia własnej spóźnionej reakcji nawałem innych ważnych wydarzeń politycznych, które nie zostawiały czasu na omówienie amerykańskiej proklamacji, po czym zajął się jej treścią:

Amerykanie, żądni dopomóc nam w walce z reakcją europejską, skierowali wszystkie swoje ataki przeciwko wodzom reakcji. Chcą ich dostać żywych czy umarłych. Nałożyli cenę na głowy monarchów i wodzów reakcyjnych. Przedsięwzięcie amerykańskie jest pojmowane poważnie. Każdy osobnik, będący w posiadaniu głowy monarchy lub jenerała reakcyjnego, skoro tylko się stawi (zaopatrzone w potrzebie zaświadczenia) w Filadelfii, przy tej a tej ulicy, w tym a tym biurze, otrzyma tyle a tyle tysięcy dolarów.

Sprawa, powtarzamy, jest poważna, pieniądze złożone. Ceny umiarkowane. Główna wygrana, głowa cesarza austriackiego, jest oszacowana ledwie na 70.000 franków, według obliczenia *Journal des Débats*¹.

O niezwykłym pomysle pisał Mickiewicz nie dla jego propagandy, lecz dla polemiki. Można się domyślać, dlaczego się nim zajął. Sam dopatrywał się przecież w ukoronowanych władcach sprawców zła, trapiącego narody, i przypisywał im rodzaj nowoczesnego bałwochwalstwa sprzecznego z nauką chrześcijańską, wprost oświadczając w *Księgach narodu*, że wszystko zepsuli

1. Cyt. według wydawnictwa *Adam Mickiewicz. Trybuna Ludów*, Warszawa 1956, str. 13 (przekład Leona Płoszewskiego).

królowie. Niemniej morderstwa politycznego jako metody walki nie uznawał. Zdaniem jego, inicjatywa amerykańska wyrosła z błędnej oceny europejskiego ruchu demokratycznego i jego podstaw moralnych. Z pomysłem mordowania przeciwników występowała jedynie reakcja. Zdarzało się niekiedy, że czynniki rządowe nakładały cenę na głowy swych antagonistów, ale społeczeństwa europejskie zgodnie potępiały to feudalne postępowanie. W okresie Wiosny Ludów władze rewolucyjne, ustanowione przez lud, nie straciły ani jednej głowy. Lepiej zatem użyć amerykańskich pieniędzy na uzbrojenie ofiar monarchizmu, Polaków i Włochów: „Ludzi pieniądza nie uda się pokonać pieniądzem”².

Mickiewicz za zajmowały w proklamacji założenia ogólne, dlatego w wywodach swych informacje bardziej szczegółowe o inicjatorach akcji pominął. Więcej konkretnych danych zawierała notatka w *Journal des Débats* z dnia 7 kwietnia, która posłużyła pocie za podjętą do jego rozważań. Pismo francuskie potraktowało odezwę mniej poważnie, niemniej jednak podało streszczenie dokumentu i wymieniło stawki, przewidziane za zabicie poszczególnych monarchów, w przeliczeniu na franki: za głowę króla pruskiego — 55.000 franków, za każdego księcia niemieckiego — 25.000, za Alfreda Windischgrätza — 25.000 franków. Co zaś najważniejsza, przedrukowane zostało nazwisko sekretarza Stowarzyszenia — L. A. Wollenweber — oraz adres: No. 277 North, Thirds Street, Philadelphia.

Organizacja, która tego rodzaju dokument ogłosiła, zastrzegła na bliższe zajęcie, choćby dla ukazania artykułu Mickiewicza we właściwej perspektywie. Tak też sądzili tłumacz i wydawca materiałów poety, zamieszczonych w „*La Tribune des Peuples*”, Leon Płoszewski i Adam Mauersberger, podobnie jak redaktor pełnego wydania dzieła Mickiewicza Stanisław Pigoń. Musieli jednak poprzestać na stwierdzeniu, że o stowarzyszeniu amerykańskim nie zdołali uzyskać żadnych informacji. Wszczynanie sprawy po upływie stu dwudziestu z górą lat zakrawało na przedsięwzięcie beznadziejne; jednak pobyt w Filadelfii stwarzał nieodpartą pokusę, by taką próbę podjąć.

Dogodnym punktem wyjścia dla poszukiwań wydawał się podany adres. Odnalezienie wyraźnie wskazanej nieruchomości wydawało się nietrudne. Okazało się jednak, że nie ma już jej w Filadelfii. Cała dzielnica uległa gruntownej przebudowie i chociaż zachowano nazwę ulicy, numery nieparzyste od 251 do 299 gdzieś się zapodziały. Jeśli nawet w księgach miejskich dochowały się jakieś ślady domu, oznaczonego numerem 277 N., nie powiedziałyby one już wiele o dawnych właścicielach i ich działalności politycznej.

Co do Towarzystwa, które odezwę ogłosiło, wytropienie jego aktywności komplikował brak wyraźnej nazwy. Ruch społeczno-organizacyjny w Ameryce wykazywał żywiołową bujność i dlatego szperanie w dochowanych materiałach archiwalnych nie zapowia-

2. *Tamże*, str. 115.

dało się pomyślnie. Masoneria w rachubę nie wchodziła, gdyż reprezentowała tendencje umiarkowane. Należało przypuszczać, że chodziło raczej o jakieś zrzeszenie wolnomysłieli, których pamiątki były o wiele skromniejsze. Zawiodły w każdym razie przewodniki po Filadelfii i opracowania jej historii, podobnie jak miejscowe biblioteki instytucji historycznych i uniwersytetów.

Jako ostatnia nadzieja pozostało nazwisko sekretarza. Skromny tytuł Wollenwebera mógł ukrywać rolę poważniejszą. Wiadomo, że sekretarzom przypadają nieraz w udziale zadania najbardziej odpowiedzialne. Tak więc jeśli chodzi o naszych Filomatów, zachowanie ich materiałów było dziełem sekretarza, Onufrego Pietraszkiewicza. Nie było jednak nazwiska Wollenwebera ani na listach wybitniejszych mieszkańców miasta, ani w rejestrach stowarzyszeń i zakładów pracy, ani w indeksach wydawnictw dotyczących Filadelfii.

Z pomocą przyszy dopiero katalogi biblioteczne. Rewolucyjny sekretarz okazał się dość płodnym pisarzem, i to niemieckim. Prace swoje ogłaszał czy to w niemieckich czasopismach (jak *Der deutsche Pionier*), czy to jako osobne książki. Zjawiały się one jednak w okresie, kiedy autor odsunął się od niemieckiej polityki i powiązał swą egzystencję z nową ojczyzną. Publikacje jego tchnęły amerykańskim patriotyzmem i dotyczyły przeważnie druków i dorobku emigrantów w Stanach Zjednoczonych. Tytuły ich często pozwalają odgadnąć treść, zazwyczaj niezbyt skomplikowaną:

Gemälde aus dem Pennsylvanischen Volksleben. Schilderungen und Aufsätze in poetischer und prosaischer Form, in Mundart und Ausdrucksweise der Deutsch-Pennsylvanier. (Cyklus I). (Obrazy z życia ludu pensylwańskiego. Szkice i opowiadania wierszem i prozą, w mowie i gwarze niemieckich Pensylwańczyków). Philadelphia und Leipzig, 1869. 143 s.

Aus Berks County's schwerer Zeit. Geschichtliche Erzählung. (Z ciężkich czasów Berkskiego powiatu. Opowiadanie historyczne). Reading, Rosenthal, Pa. 1875. 40 s.

Zwei treue Kameraden. Die beiden ersten deutschen Einwanderer in Pennsylvanien im Jahre 1680. (Dwaj wierni towarzysze. Pierwsi niemieccy imigranci w Pensylwanii w roku 1680). Von — (Der Alte vom Berge). Philadelphia, Kohler, 1880. 68 s.

Die Berg-Maria; oder, Wer nur den lieben Gott Lassen walten. Eine geschichtliche Erzählung aus Pennsylvanien. (Maria z Gór, czyli Kto słucha tylko woli Bożej. Opowiadanie historyczne z życia Pensylwanii). Philadelphia, Kohler, 1880. 68 s. (Na język angielski przełożył tę opowieść Luther A. Pflueger).

Die beiden ersten deutschen Ansiedler in Pennsylvanien. (Dwaj najwcześniejsi niemieccy osiedleńcy w Pensylwanii). Philadelphia, 1882.

Do pism Wollenwebera, rozproszonych po czasopismach, należały m.in. „Gila, das Indianenmädchen” (Gila, dziewczyna indiańska); „Aus den Aufzeichnungen” (Ze szkiców); „Freuden und

Leiden in Amerika" (Uciechy i zmartwienia w Ameryce); „General Peter Mühlenberg und seinen Soldaten im Amerikanischen Freiheitskampf" (General Peter Mühlenberg i jego niemieccy żołnierze w amerykańskim obozie wolności) itd.

Jak widać, przewagę miały utwory, uwydatniające wkład niemieckich przybyszów do Stanów Zjednoczonych. O rzetelniejszej wartości pisarskiej nie było mowy; adresatami byli wyraźnie czytelnicy o niezbyt wygórowanych wymaganiach literackich. Autor wprowadzał niekiedy gwarę, jakiej używali Niemcy osiedleni w Pensylwanii. Jeśli chodzi o nastrój ogólny, jako ilustracja wystarczy dwuwiersz z najwcześniejszej antologii:

*Ich bin e Pennesylvanier,
D'raft bin ich stolz und froh.
(Jestem Pennsylvanczykiem,
Z czego jestem dumny i szczęśliwy).*

Amerikanin, który firmował deklarację wzywającą do królobójstwa, okazał się zatem osiedleńcem świeżej daty przybyłym z Niemiec. Mimo późniejszego ciepłego stosunku uczuciowego do nowo przybranej ojczyzny zachował do końca łączność z niemieckim społeczeństwem i wypowiadał się w języku niemieckim. Tłumaczy to jego nieobecność w publikacjach angielskich. Nasuwało się naturalne przypuszczenie, że droga do bliższego zapoznania się z Wollenweberem wiodła poprzez związki osiedleńców niemieckich w USA.

Biblioteka niemiecka mieści się w Filadelfii niedaleko tej dzielnicy, w której znajdował się dom wskazany w odezwie. Księgozbiór, stosunkowo zasobny, uderza wzorowym porządkiem i czystością. Uprzejma bibliotekarka, siwowłosa pani, o Wollenweberze wiedziała niewiele, ale udostępniła bez przesadnych formalności wszystkie posiadane źródła i opracowania, łącznie z cennymi rocznikami dawnych dzienników i czasopism. Znalazła się niebawem biografia Wollenwebera z doskonałą fotografią³.

Ludwig August Wollenweber (używający pseudonimu literackiego „Der Alte von Berge") urodził się dnia 5 grudnia 1807 roku w Ixheim koło Zweibrücken, w południowo-zachodnich Niemczech. Jako jeden z organizatorów radykalnego wystąpienia w Hambacher w roku 1832, musiał z Niemiec uchodzić. Szukał schronienia we Francji, a następnie w Holandii, skąd z Amsterdamu udał się do Filadelfii. Z początku nie mógł znaleźć zarobku, chociaż rozglądał się za nim w różnych miastach Pensylwanii. Ponieważ w ojczyźnie swej zapoznał się z rzemiosłem drukarskim, zaczął pracować jako drukarz w Nowym Jorku. Później wydawał w Filadelfii tygodnik niemiecki *Der Freimutige* (Wolno-myśliciel). W końcu założył pismo *Der Demokrat*, które z biegiem czasu przeistoczyło się w dziennik pod nazwą *Philadelphier Demokrat*.

3. Wiadomość biograficzna o L. A. Wollenweberze opiera się na wydawnictwie *Das Buch der Deutschen in Amerika*, Philadelphia 1909, str. 371-72; portret znajduje się na str. 375.

W roku 1853 Wollenweber odsprzedał swój dziennik szwagrowi nazwiskiem John S. Hoffman. Później zamieszkiwał w Reading, zajmując się pracami literackimi. Antagonizm jego wobec niemieckiej monarchii uległ chyba pewnemu złagodzeniu, skoro jedną z jego książek firmowały wspólnie Lipsk i Filadelfia. Z drugiej strony jako bohater ruchu demokratycznego wprowadzony został do jednej ze sztuk, napisanych w latach czterdziestych ubiegłego stulecia; autorem miał być H. Mundt. Dane mu było dożyć sędziwego wieku; zmarł w Reading w roku 1888.

Nie ma w biografii Wollenwebera wzmianki o jego uczestnictwie w odezwie, podpisanej jego nazwiskiem. Na szczęście dochował się redagowany przezeń dziennik. Ponieważ w roku 1849, w którym ukazało się wezwanie do zabijania europejskich monarchów, był redaktorem, wydawcą, a bodaj i drukarzem *Filadelfijskiego Demokrata*, należało się spodziewać, że nie omieszkął wydrukować w nim tak ważnego wystąpienia politycznego. Istotnie w numerze 148 z dnia 5 marca 1849 roku znalazł się tam pierwotny, niemiecki tekst pod tytułem „Proklamation. Deutsch-Amerikaner an ihre deutschen Brüder im alten Vaterlande”.

Odezwę, skierowaną bezpośrednio jedynie do własnych rodaków, poczytać należy za dokument ciekawy i charakterystyczny dla czasów, które go wydały. W przeciwieństwie do polskich mesjanistów Związek Filadelfijski wykazał obojętność dla innych społeczeństw, poprzestając wyłącznie na zajęciu się losami Niemiec i Austrii. Rzecz znamienna, że w tekście nie ma mowy o jakimkolwiek czynnym współudziale ze strony wygnańców politycznych, którzy zdawali się sądzić, że wystarczy zadeklarować określone sumy pieniężne, stosunkowo niezbyt wysokie, aby dopełnić obowiązku wobec ojczyzny na starym łądzie. To szybkie przejście się amerykańskim zaufaniem do pieniądza było zjawiskiem zastanawiającym.

Z drugiej strony proklamacja ujawnia niewątpliwie gwałtowność napięć politycznych w okresie Wiosny Narodów. Brzmia w niej zadawnione urazy i poczucie głębokiej krzywdy. Element uczuciowy skojarzył się z naiwnością polityczną, która podyktowała przekonanie, że wystarczy pozbyć się ukoronowanych głów, aby ocalić wolność i doprowadzić do uzdrowienia stosunków społecznych. Zabrzmiało w tekście również echo uczuciowe świeżych wydarzeń, widoczne w stawce za głowę Windischgrätza, który w czerwcu roku 1848 zdławił powstanie w Pradze, a w dniu 31 października zajął Wiedeń. Podajemy pełny tekst odezwę w polskim przekładzie:

P R O K L A M A C J A
NIEMIECKICH AMERYKANÓW DO ICH NIEMIECKICH BRACI
W STAREJ OJCZYŹNIE

Ponieważ prośby, przekładania i wszystkie wysiłki narodu niemieckiego, aby nieprawi władcy, cesarz i wszelkiego rodzaju książęta, wyrzekli się swego stanowiska sprzecznego z naturą, pozostały bez wyniku;

ponieważ władcy, zamiast wypełnić wolę narodu i zabezpieczyć mu przyrodzone prawa ludzkie, odpowiedzieli kulami i kartaczami;

ponieważ ich uszy, głuche na głos ludzkości i sprawiedliwości, otwarte były tylko dla obłudników, szpiegów i pochlebców;

ponieważ, dopełniając miary nieprawości, cesarze, królowie i książęta w walce z narodem zalecali popełniać najstraszniejsze, najokrutniejsze, najbardziej nieludzkie zbrodnie pospolitym katom, jak Windischgrätz, Jellallicz i inni, i nie cofnęli się przed morderstwami, usuwając ze swej drogi dzielnych synów narodu, depreczając prawa ludzkie oraz wtrącając w nieszczęście i nędzę tysiące szanownych rodzin;

wreszcie ponieważ cała oświecona ludzkość domaga się i pragnie, aby obecne formy rządu, w których książęta zagarniają prawo do stanowisk czolowych, zostały zniesione, gdyż zawsze okazywały się złe i nieprzyjemne dla ludu, książęta zaś nadal dławią i odbierają dane ludziom od Boga prawo do wolności; —

My, niemieccy Amerykanie, i zgodni z nami przyjaciele nie widzimy innego sposobu pozbycia się tych wrogów ludzkości, jak wyznaczenie nagród temu lub tym, którzy w jakikolwiek sposób tych barbarzyńców zabiją; nie spoczniemy, dopóki cel nasz nie zostanie osiągnięty.

Na początek wyznaczamy następujące ceny:

za zabicie cesarza austriackiego	30.000 fl.
za zabicie króla pruskiego	25.000 fl.
za zabicie innych królów, arcyksiążąt, książąt itd.	15.000 fl.
za głowę zwykłego kata Windischgrätza	10.000 fl.

Wierzmy i jesteśmy niezłomie przekonani, że najświętszym obowiązkiem każdego wolnego człowieka jest pomóc w możliwie jak najszybszym starciu z powierzchni ziemi tego gniazda żmij i że naród oceni wysoko tępiciele tych królewskich mości, imiona zaś ich, jak Wilhelma Tella, będą nieśmiertelne.

Za dokładną wypłatę tych nagród czy to samym sprawcom, czy ich spadkobiercom, skoro tylko przedstawią odpowiednie dowody, — ręczymy naszym majątkiem i honorem.

W imieniu Związku

L. A. Wollenweber

Sekretarz Korespondujący

277 N., 3rd Street, Philadelphia,

do którego należy posyłać bez ofrankowania wszystkie meldunki i listy.

Powyższą odezwę, przedrukowaną w postaci ulotki, otrzymać można w ekspedycji *Demokraty* dla rozsyłania znajomym w Niemczech. Philadelphier Demokrat. Druk i wydawnictwo L. A. Wollenwebera. No. 277 Nord 2rd St., między Willow St. i Noble St., Philadelphia.

Na oddźwięk amerykańskiej odezwy nie trzeba było długo czekać. W dniu 9 marca 1849 roku dziennik filadelfijski *Public Ledger* (Księga Publiczna) dał skróconą wersję tekstu, powołując się jednak na druk w nowojorskiej niemieckiej gazecie, oraz dołączył zwięzły komentarz krytyczny. W odpowiedzi Wollenweber wystąpił w numerze 154 w poniedziałek 12 marca z artykułem redakcyjnym pt. „Die Weltgeschichte ist das Weltgericht” (Historia świata jest trybunałem świata). Na wstępie podniósł, że pierwszym pismem, które odezwę ogłosiło, był *Philadelphier Demokrat*, który zresztą na parę tygodni wcześniej wspominał

o zamierzonej akcji. Reszta artykułu zawierała polemikę z amerykańskim oponentem:

„*Public Ledger* ciągnie dalej: — Jest to zapewne dobry patriotyzm, ale sprzeciwia się moralności. — W słowach tych pismo potępia najbardziej czczone imiona ludzkości, które uczyniły to samo, czego domaga się Związek: Mucjusza Scaewoli, Brutusa, Wilhelma Tella, Charlotty Corday etc., etc. Chodzi nie tylko o samoobronę wolności wobec gwałtu fizycznego ze strony bezlitosnych tyranów. Ustalając ceny za głowy morderców naszych braci, odplącam jedynie piękny za nadobne, gdyż władcy nie tylko wyznaczili ceny na głowy Neckera, Struvego, Kossutha i innych męczenników wolności, ale i zdradziecko pozwolili na wymordowanie znacznej części tych, których zdołali zagarnąć. [...]

Na zakończenie stwierdzamy, że nie mamy nic wspólnego z niedorzecznym czynem fanatycznego młodzieńca, który napadł na nieszkodliwego człowieka prywatnego, starego, niedołęznego Kotzebue. Nie chcemy Sanda potępiać, był on jednak w wielkim błędzie wobec osoby, której krwią studził swój zapal patriotyczny”.

Replika Wollenwebera posiada wartość informacyjną z tego względu, że przynosi na końcu pełną nazwę Związku, który proklamację ogłosił. Brzmi ona w sposób następujący: „Der Verein zur Vertilgung der deutschen Souveräne in Nord America” — Związek w Ameryce Północnej dla tępienia niemieckich suwerenów. Potwierdza się zatem, że inicjatorzy nie mieszały się do polityki ogólnoeuropejskiej, lecz mieli na widoku wyłącznie stosunki niemieckie. Co do stawek pieniężnych, były one pierwotnie podane nie w dolarach czy frankach, lecz w austriackich florenach.

Polemika z *Public Ledger* nie była ostatnim słowem Wollenwebera w sprawie proklamacji. Już następnego dnia, we wtorek 13 marca, dał w swym dzienniku pochlebną wzmiankę o pełnym angielskim przekładzie, który ukazał się w dzienniku *New York Herald*. Tym razem podpisał się jako „Correspondirender Secretär des Befreiung-Vereins” czyli Sekretarz Związku Wyzwolenia; być może, że była to organizacja nadrzędna, w której jedną z sekcji stanowił Związek dla tępienia suwerenów. Pojawiły się również listy ze strony czytelników. Na ogół jednak wystąpienie szerszego echa nie wywołało i wkrótce poszło w zapomnienie. Reakcja Mickiewicza była bodaj oddźwiękiem najpoważniejszym.

Pomysł masowego królobójstwa nie był indywidualnym wyskokiem fanatyka, lecz odbiciem gwałtownych napięć, jakie targały społeczeństwem niemieckim w połowie ubiegłego stulecia. Pewne światło rzuca na atmosferę, z której proklamacja wyrosła, książka Rudolfa Cronau *German Achievements in America* (New York, s. a.). Autor zamknął w niej swoistą charakterystykę grupy niemieckich emigrantów, których określił jako ludzi „Wiosny narodów” (*the men of 1848*). Za punkt wyjścia posłużyło autorowi przypomnienie kampanii napoleońskich, ukazanych z niemieckiego stanowiska:

„Napoleon I [...] zmierzał do utworzenia Cezarowego impe-

rium, jakiego nie widział świat. Marzenie to udaremniła wielka bitwa pod Lipskiem, w której walczyli mieszkańcy królestw i księstw wchodzących w skład Niemiec i Austrii. Wziąwszy tak bohaterski udział w gigantycznej walce o wyzwolenie, naród oczekiwał ustanowienia konstytucyjnych rządów, w których miałby swój udział. Ale te uzasadnione nadzieje okazały się zawodne. Władcy, zapominając o tym, że naród ocalił ich trony, odmówili mu takich praw, inicjując okres reakcji, zademonstrowała swój tryumf ponurymi aktami ucisku i tyranii. Wielu patriotów, rozczarowanych niewdzięcznością suwerenów i niezdolnych do życia w atmosferze gwałtu, odwróciło się od ziemi ojczystej, spodziewając się znaleźć w Ameryce pole dla swoich talentów. Inni, nie chcąc poddać się maostkowej tyranii władców, zdecydowali się na opór i objęli kierownictwo w zaciętej walce o wolność, która rozciągnęła się na wiele lat, by osiągnąć swój szczyt w rozruchach rewolucyjnych roku 1848. Ten krwawy rok stał się symbolem, obejmującym tych Niemców i Austriaków, którzy uczestniczyli w długim zmaganiu, choćby ich udział przypadał na lata wcześniejsze⁴.

Wojownicza proklamacja niemiecka zdawała się kłócić z nazwą miasta, które udzieliło gościny jej autorom. Stwierdzić należy, że ówczesna Filadelfia nie wyglądała na oazę przyjaźni i braterstwa. Skupiły się w tym mieście trudne do pogodzenia kontrasty, o których barwnie opowiadali amerykańscy historycy. Tak więc w maju i lipcu roku 1844 doszło do burzliwych zataregów antykatolickich. Podczas kilkudniowych zamieszek wiele osób zostało zabitych lub odniosło ciężkie obrażenia. Przy różnych okazjach męty społeczne występowały przeciwko Murzynom. W mieście znajdowała się znaczna liczba niesfornych awanturników, rywalizujących ze sobą w zuchwałym lekceważeniu prawa. Bandy tych obiecujących młodzieńców skupiały się przy oddziałach ochotniczej straży pożarnej. Część z nich traktowała zajścia uliczne jako rodzaj sportu, nie obchodziło się jednak bez rabunków, podpaleń i śmiertelnych ofiar. Strajki robotnicze przeistaczały się niekiedy w bunt przeciwko władzom miejskim. W dniu 8 października 1848 roku w związku z powszechnymi wyborami doszło do starć z bronią w rękę i podpalania domów. Padło kilka trupów, a szesnastu Murzynów i dziewięciu białych powędrowało do szpitala; liczba ofiar była jednak niewątpliwie znacznie większa.

Z drugiej strony miasto zdobywało się na odruchy ujmującej serdeczności wobec przybywających z Europy ofiar prześladowań politycznych. Zaznaczyło się to m.in. właśnie w roku 1849, kiedy do Filadelfii zjechała garść uchodźców węgierskich. Znajdowali się wśród nich generał Ujhazy, komendant twierdzy Komorno, z żoną, córką i służącą, panna Jagella (węgierska Emilia Plater, która walczyła obok węgierskich powstańców w żołnierskim mundurze) i kilka innych osób. Zakwaterowano ich w

4. Rudolf Cronau. *German Achievements in America*. N.Y., s.a., str. 79-80.

domu Waszyngtona, położonym przy najokazalszej ulicy miasta. Wieczorem odbyły się na cześć uchodźców popisy muzyczne, do których stanęło sześć chórów niemieckich; aby móc czytać nuty, śpiewacy przybyli na wyznaczone miejsce z pochodniami, dzięki czemu manifestacja zyskała na malowniczości⁵.

Wbrew optymistycznej ocenie Mickiewicza, gwarancja finansowa, zawarta w proklamacji, pod względem prawnym przedstawiała się niewyraźnie. W tekście nie ma wzmianki o tym, że pieniądze zostały już złożone; współautorzy ograniczyli się do poręczenia wypłat własnym osobistym majątkiem. Brak jednak nazwisk poręczycieli z wyjątkiem jednego jedynego Wollenwebera. Wartość prawna takiego zobowiązania mogła budzić słuszne wątpliwości. Nie poprawiało sytuacji powołanie się na honor anonimowych gwarantów, choćby nie było podstaw do kwestionowania ich rzetelności i dobrej woli. Tak czy inaczej, historia zdaje się wskazywać, że wypłacalność Związku dla Tępienia Niemieckich Suwerenów na poważną próbę narażona nie była.

Nie wynika stąd jednak, aby poeta polski filadelfijskie wystąpienie przeceniał. Choć niepełny tekst, podany w *Journal des Débats* upoważniał do przypuszczenia, jakoby proklamacja reprezentowała ogół amerykańskich demokratów, znalazł się w artykule Mickiewicza ustęp, w którym zaznaczała się iskierka przekory: „Ceny umiarkowane. Główna wygrana, głowa cesarza austriackiego, jest oszacowana ledwie na 70.000 franków”. Jeszcze wyraźniej brzmiała końcowa propozycja Mickiewicza, aby rzekomych pieniędzy amerykańskich użyć raczej na uzbrojenie ofiar monarchizmu, a więc przede wszystkim Włochów i Polaków...

Rozważania dotyczyły sprawy, która na tle całokształtu działalności politycznej Mickiewicza wydać się mogła drobną. Niedarmo jednak prof. Pigoń powtarzał, że w twórczości tego autora nie ma spraw błahych. Dla badaczy Mickiewicza najważniejsze jest chyba stwierdzenie, że Mickiewiczowską „Przestrożką dla amerykańskich demokratów” należy właściwie preadresować, polemika bowiem dotyczyła dokumentu, który zrodził się wśród demokratycznie nastrojonych niemieckich patriotów zamieszkałych w Ameryce, był zredagowany w języku niemieckim i dotyczył wewnętrznych spraw politycznych niemieckiego społeczeństwa.

Mieczysław GIERGIELEWICZ

5. Na marginesie wspomnieć można o innej, znacznie późniejszej uroczystości filadelfijskiej, charakterystycznej dla miejscowych nastrojów. W dniu 12 września 1883 roku ks. Emil Kattein, kapelan Polskiej Kaplicy Katolickiej, odprawił nabożeństwo dla upamiętnienia dwuchsetlecia zwycięstwa wiedeńskiego Jana Sobieskiego. Celebrantowi towarzyszyli podczas mszy księża James Regney i H. M. Effertz. Kazania wygłosili ks. Hubert Schich po niemiecku i ks. Kattein po polsku. Wiadomość tę przekazał L. H. Evers w *History of Philadelphia 1609-1884*, vol. II, 1884, str. 1384.

Książki

Postscriptum do „Soli ziemi” po 35 latach

„Sól ziemi” zacząłem pisać w roku 1925, kiedy jeszcze wielu ludzi w Europie chciało wierzyć, że wojny na skalę światową, takie jak miniona, należą do przeszłości i nigdy się nie powtórzą. Licznym uczestnikiem tej wojny, pośród których było sporo tzw. intelektualistów, wydawała się ona tak potwornym absurdem, iż nie mogli pogodzić się z myślą, że jakkolwiek rząd złożony z ludzi przy zdrowych zmysłach, odważyłby się na wywołanie podobnej katastrofy. Toteż w roku 1925 wielka wojna była tak głęboko pogrzebana w świadomości autora „Soli ziemi”, iż musiał on forsować swoją pamięć, aby przypomnieć sobie jej imponowalność. Szperałem w pamiętnikach i dziennikach kombatantów, w starych gazetach, oglądałem ryciny i fotografie z lat 1914-1918, musiałem sztucznie podniecać wyobraźnię, żeby wywołać w niej kliszę owych, tak niedawnych stosunkowo, wydarzeń. Dzisiaj taki zabieg byłby już niepotrzebny mimo półwiekowego, dystansu, dzielącego przeżycia mojej młodości. Paradoksalny jest fakt, że wojna z lat 1914-1918 stała się nam dzisiaj bliższa niż w roku 1925, w tym roku pokojowych złudzeń, wzmocnionych podpisaniem tzw. „protokołu genewskiego”. Czas, zamiast nas oddalić od wojny z lat 1914-1918, teraz automatycznie nas do niej zbliżył. Druga wojna światowa z całą jej infernalną grozą spowodowała nie tylko gwałtowne przesunięcie perspektywy, z której oglądamy pierwszą wojnę światową, ale jak gdyby znormalizowała w naszej wrażliwości wszystko, co w roku 1925 wydawało się nam absurdalne, niemoralne, a przeto — nieludzkie. Więcej: druga wojna światowa z jej przerażającymi skutkami oswoiła człowieka z jego hańbą i poniżeniem, oraz uodporniła na wstrząsy, zagrożające zdrowiu jego duszy. Wprawdzie z dzisiejszej perspektywy można wojnę z lat 1914-1918 uważać za prymitywną pod względem techniki zagłady, doprowadzonej w latach 1939-1945 do perfekcji, ale też trzeba w niej dojrzeć rodzicielkę tej drugiej, totalnej wojny światowej, oraz wszelkich grożących nam dzisiaj

katastrof. W naszej tzw. cywilizacji utrwaliło się coś, co nazwalibyśmy k a d a w e r y z m e m. Prasa, radio i telewizja karmią nas codziennie trupami, każąc radować się z wysokiej cyfry wymordowanych nieprzyjaciół, a z niskiej — naszych własnych ludzi. Autorowi „Soli ziemi” trudno jest pogodzić się z cywilizacją, opartą na kadaweryzmie.

„Sól ziemi” ukończyłem w roku 1935. Niemcami od trzech lat władał już Hitler, przygotowując ich do podbojów i zwycięstw, mających im zapewnić tysiącletnie panowanie, jeśli nie nad całym światem, to przynajmniej nad całą Europą. Kiedy zaś latem owego roku czytałem korekty polskiego wydania tej książki, Mussolini rozpoczął wojnę abisyńską. Z końcem 1935 roku ukazało się pierwsze wydanie „Soli ziemi” w Warszawie, a jeden z krytyków napisał wówczas, że „na utworze tym widać, jak temat wielkiej wojny, dojrzał już do pieśni”. Zapewne chciał przez to wyrazić myśl, zbliżoną do tej, jaką niegdyś wypowiedział wierszem Friedrich von Schiller: „Co ma ożyć w pieśni, musi zginąć w życiu”.



Pierwszą wojnę światową wywołali przeważnie ludzie, dla których wojna była abstrakcją, lub też wynikiem kalkulacji, robionych beznamyślnie w ministerialnych gabinetach i w biurach sztabów generalnych. Tylko nieliczni uczestnicy poprzednich, na ogół niedużych wojen w Europie i poza Europą, mieli decydujący wpływ na wybuch pierwszej wielkiej wojny. Gdy w jednej z rezydencji starego cesarza Franciszka Józefa odbywała się tzw. Rada koronna, na której Austria wypowiedziała wojnę Serbii (co starałem się odtworzyć w Prologu do „Soli ziemi”, nie licząc się z autentyzmem tego *happening'u*), 84-letni monarcha Austro-Węgier podobno zapytał prących do wojny ministrów i generałów, którzy usiłowali przełamać jego opór:

„Haben Sie einen Krieg mitgemacht? Ich habe einige!”

(Czy panowie brali kiedy udział w wojnie? Ja w kilku!)

Nawet jeśli ten epizod należy do legend otaczających postać Franciszka Józefa, świadczy on wymownie o poczuciu odpowiedzialności i osamotnieniu monarchy, który z własnych, okrutnych doświadczeń w młodych latach wiedział, czym jest wojna.

A zatem pierwszą wielką wojnę wywołali ludzie nieświadomi jej aspektów i skutków, oraz cynicy, karierowicze lub lekkomyślni, choć uczciwi patrioci, którzy dopiero po jej wybuchu i w trakcie, jak się rozwijała, uświadomili sobie całą jej surową prawdę.

Niewątpliwie z perspektywy dzisiejszych czasów, tak pełnych nienawiści i wrogości, austriacka wojna, stanowiąca ośnowę „Soli ziemi”, może się wydawać łagodnym absurdem. Przynajmniej na odcinku znanym autorowi „Soli ziemi”. Był on w tej wojnie żołnierzem austriacko-węgierskiej piechoty od jesieni 1916 do jesieni 1918 roku. Podobnie jak większość jego kamratów nie czuł on żadnej nienawiści do „wrogów”, za jakich kazano mu uważać

Rosjan, Włochów, Serbów i Rumunów. Przeciwnie: w czasie tej wojny zaprzyjaźnił się z rosyjskimi jeńcami, którzy w austriackich lazaretach pełnili, nieraz z poświęceniem, obowiązki pielęgniarzy. Okazywali oni wiele serca rannym lub chorym „nieprzyjaciołom”. Z wdzięcznością wspominam całą opiekę jaką otaczał mnie w jednym z szpitali wojennych, w baraku chorób zakaźnych, młody jeńiec rosyjski imieniem Zacharko. Nazwiska tego człowieka nigdy nie znałem, ale wciąż widzę jego dobrą twarz, twarz prostego, szczerego chłopca, jagby przeniesionego do rzeczywistości roku 1917 — z książek Lwa Tołstoja.

Do końca życia będę też pamiętał przyjaźń, jaką mnie darzyli jeńcy włoscy, przy których przez pewien czas pełniłem funkcje tłumacza. Mimo wszystkich okropności tamtej wojny, przynajmniej w znanych mi sytuacjach, „wróg” poza terenami walki, wróg rozbrojony i wzięty do niewoli, przestawał być wrogiem i był już tylko naszym kolegą, pragnącym jak my, aby ta wojna skończyła się jak najprędzej.

Trudno dziś zrozumieć w imię czego żołnierze armii, w której służyłem, zwłaszcza żołnierze narodowości słowiańskich zabijali i dawali się zabijać. Działał tu ów irracjonalny mechanizm, który starałem się pokazać w „Soli ziemi”. Myślę, że po 35 latach mogę już obiektywnie o tym mówić. Wszystkie postacie tej książki, poza historycznymi, są całkowicie zmyślone, jakkolwiek w niektórych skupiły się charakterystyczne cechy osób, z jakimi zetknąłem się w czasie mej wojskowej służby. Piotr Niewiadomski jest produktem synkretyzmu. Ludzi mniej lub więcej do niego podobnych spotykałem często w formacjach pospolitego ruszenia cesarsko i królewskiej armii. Należeli oni do najstarszych roczników i pochodzili przeważnie ze wschodniogalicjskich regionów, graniczących z Rosją lub Rumunią.

Ale Piotr Niewiadomski jako postać powieściowa ukazał mi się dopiero w kilka lat po wojnie, ściśle: w trzy lata po napisaniu Prologu „Soli ziemi”. Ujrzałem go w Paryżu w roku 1928, na lśniącym od deszczu asfalcie placu de la Concorde, po którym na wszystkie strony pędziło mrowie błyszczących jak ten asfalt samochodów. Siłą jaskrawego kontrastu narzucił się mojej wyobraźni obraz chłopca z dalekiego, a tak obcego Paryżowi, świata prymitywnej cywilizacji. Na placu de la Concorde Niewiadomski nie był jeszcze tragarzem kolejowym. Był pasterzem z Karpat i z batogiem w ręku szedł boso pośród trąbiących i szumiących samochodów i trzymał lejce pary huculskich koników, które ciągnęły furę wysoko naładowaną sianem, przyciśniętym na szczycie drągiem. Ta wizja nie opuszczała mnie przez moje paryskie lata, aż przemieniła bosego pasterza Piotra w tragarza na imaginacyjnej stacji kolejowej Topory-Czernielica.

Drugą najważniejszą w „Soli ziemi” osobą jest feldfelb sztabowy Bachmatiuk. Powstał w latach trzydziestych i był dla mnie prefiguracją owych fanatyków, którzy później, w imię przeróżnych ideologii, z czystym sumieniem niszczyli ciała i dusze milionów ludzi.

Wagon kolejowy z VII. rozdziału „Soli ziemi” może być uważany za nasienie, z którego wyrosły i rozmnożyły się w latach drugiej wojny światowej owe koszmarnie, zaplombowane wagony, gdzie dusili się więzieni na zagładę niewinni ludzie, nie żołnierze lecz cywile: starcy, kobiety i dzieci.

Obóz rekrutów w Andràsalfalvie, ta łagodna niewola ludzi, których feldfelb sztabowy Bachmatiuk tresował na automaty do mordowania innych ludzi, okazał się po latach załącznikiem wszystkich obozów, otoczonych drutem kolczastym, gdzie ludzie uzbrojeni i syci znęcali się nad bezbronnymi głodomorami. Łagodna krzywda, jaką w „Soli ziemi” wyrządza wojsko pobożnym Żydom, zmuszając ich do spożywania trefnych pokarmów, czy też przymusowo strzygąc im brody — prowadzi w prostej linii do gwałtów i zbrodni popełnianych bezkarnie w obozach koncentracyjnych na milionach Żydów i nie tylko Żydów...



Lecz wróćmy do Piotra Niewiadomskiego. Podzielał jego poglądy, iż odebrać życie człowiekowi ma prawo tylko Ten, kto mu to życie dał. Mój przyjaciel, Piotr Niewiadomski, owszem, kochał swojego cesarza. W jego hierarchii cesarz zajmuje drugie miejsce po Panu Bogu. Wiedeńskie siedziby cesarza: Hofburg i pałac w Schönbrunnie to w pojęciu Piotra przedsionki nieba; w każdym razie gmachy te posiadają bezpośrednią komunikację z niebem, coś w rodzaju dzisiejszej *hot line*. Mimo to mój przyjaciel nie był tak naiwny, by mniemać, że cesarz Franciszek Józef obdarzył go życiem. Wiedział, iż życie dał mu Stwórca za pośrednictwem matki Wasyliny, Hucułki, oraz nieznanego mu ojca — Polaka. Gdyby Piotr Niewiadomski umiał myśleć przy pomocy popularnych w czasie wojny sloganów i metafor, może też nazwałby Austrię — matką. Wiemy jednak, że Piotr nie posługiwał się w swym myśleniu przenośniami, które ludziom narzucają czytanki i gazety. Chociażby dlatego, że nie umiał czytać. Sam stwarzał sobie metafory i mity, częściowo odziedziczone po przodkach. Był w tym podobny do poetów.

Józef WITTLIN

Nowy Jork, w czerwcu 1970 r.

Nadesłane nowości wydawnicze

CHCIIUK (Andrzej). *Towarzysze z bezpieczeństwa*. Powieść. Str. 239 i 1 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1970).

TOPORSKA (Barbara). *Na wschód od dzisiaj*. Dwie powieści. Str. 239 i 1 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1970).

- ŁOBODOWSKI (Józef). *Rzeka graniczna*. Dzieje Józefa Zakrzewskiego, część czwarta. Str. 239 i 1 nlb. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1970).
- MAURER (Jadwiga). *Liga ocalałych*. Str. 240. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1970).
- BIELATOWICZ (Jan). *Literatura na emigracji*. Str. 240. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1970).
- ŻYTOMIRSKI (Eugeniusz). *Ballada czarnomorska*. Powieść. Str. 192 i 4 nlb. (Wyd. Gryf Publications Ltd., Londyn, 1970).
- NOWICKI (Stefan). *Wielkie nieporozumienie*. Str. 167 i 1 nlb. (Nakładem autora, Sidney, 1970).
- BAILEY (Alicja A.). *Wtajemniczenia ludzkie i słoneczne*. Str. 205 i 3 nlb. (Wyd. Editions Lucis, Genève, 1970).
- DUSZA (Edward). *Szlakiem Madonny*. Wiersze. Str. 51 i 1 nlb. (Nakładem autora, Brooklyn, N.Y., 1970).
- GROSS (Natan). *Co nam zostało z tych lat*. Wiersze. Str. 51 i 1 nlb. (Nakładem Związku Wychowanków Hebrajskiego Gimnazjum w Krakowie, Tel Aviv, 1971).
- Program ruchu demokratycznego opracowany przez demokratów Rosji, Ukrainy i Krajów Bałtyckich*. Str. 43 i 1 nlb. (Nakładem Kontra, Londyn, grudzień 1970).
- Emigracyjna książka i prasa na Kongresie Nauki Współczesnej i Kultury Polskiej na Obczyźnie*. Londyn, 9-12 wrzesień 1970. Str. 36. (Nakładem Komitetu Organizacyjnego Kongresu Współczesnej Nauki i Kultury Polskiej na Obczyźnie oraz Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Wielkiej Brytanii, Londyn, 1970).
- Znaki wiary*. „Nasza Rodzina” — numer specjalny 1971. Kalendarz 1971. Str. 207 i 1 nlb. (Wyd. „Notre Famille” à Osny (Val-d'Oise)).
- SCHENKER (Alexander M. Opr.). *Fifteen Modern Polish Short Stories*. An Annotated Reader and a Glossary. (Tekst w języku polskim i angielskim). Str. 186 i 2 nlb. Varityper. (Wyd. New Haven and London, Yale University Press, 1970).
- Generałowi w holdzie*. Str. 67 i 1 nlb. (Wydawca Franciszek Rózycki, Londyn, 1970).
- PIPES (Richard). *Struve, Liberal on the Left, 1870-1905*. Str. 415 i 9 nlb. (Wyd. Harvard University Press, Cambridge, Mass., 1970).
- BORKOWSKI (Piotr). *An English-Polish Dictionary of Idioms and Phrases*. Angielsko-Polski Słownik idiomów i zwrotów. Str. 200. (Wyd. Odnova Ltd., Londyn, 1970 — Wyd. pierwsze 1963).
- McSHERRY (James E.). *Stalin, Hitler, and Europe*. Volume Two. „The Imbalance of Power 1939-1941”. Str. 357 i 5 nlb. (Wyd. The World Publishing Company, Cleveland and New York, 1970).
- SYMMONS - SYMONOLEWICZ (Konstantin). *Nationalist Movements: A Comparative View*. Str. 91 i 1 nlb. (Wyd. Maplewood Press, Meadville, Pa., 1970).
- WOŁODKOWICZ (Andrzej). *Polish Contribution to Arts and Sciences in Canada*. Przedmowa Prof. Tadeusza Romera. Str. 363, 5 nlb. i 32 str. ilustracji. (Montreal, 1969).
- Abstracts of Papers the Fifth Congress of the Czechoslovak Society of Arts and Sciences in America, Inc.* Str. 98 i 6 nlb. Varityper. (Wyd. New York University, New York City, November 13-15, 1970).
- Israel and World Jewry*. 1971 Annual. Editor: Dr L. Berger. Str. 196. (Wyd. The Office for Economic and Social Research, The Jewish Agency, Jerusalem, 1971).
- BRZEZIŃSKI (Zbigniew). *America and Europe*. Str. 30. (Reprinted from *Foreign Affairs*, An American Quarterly Review, October, 1970).
- DZIEWANOWSKI (Kamil M.) *Peaking and Eastern Europe*. (Reprinted from *Survey*, No. 77, Autumn 1970, str. 59-74).

Humor krajowy

Dlaczego robotnicy Śląska nie przyłączyli się do strajku robotników na Wybrzeżu?

— Nie mieli czasu. Siedzą na spakowanych walizkach czekając na repatriację do Niemiec...

W Gdańsku po rozruchach:

Już zapalono pierwszy dom Partii, można siadać do wigilijnego stołu...

O poprawie sytuacji

Nie pomogą Kruczki, Gierki, gdy w Kociółku są obierki.

Jeszcze o Gomułce

Lekarze dawnego I-go sekretarza Wł. Gomułki, uznawszy, że tak jak wszyscy zarabiają niedostatecznie, zażądali od KC 30 % podwyżki honorariów grożąc: „Jeśli nam nie przyznacie, to my go wam wyleczymy...”. Zresztą — jak mówią — Gomułkę poddano naprawdę przykrej operacji, mianowicie odcięto mu d... od stołka...

Podobno kard. Wyszyński zaangażował Gomułkę na okres Wielkiego Postu w charakterze organisty. Ma śpiewać: „Ludu, mój ludu, cóżem ci uczynił, ludu, mój ludu, cóżem ci zawinił...”.

Cudzoziemcowi jadącemu do Warszawy przez Poznań radzono, aby lepiej przencocował w tym mieście, inaczej zajędzie do Warszawy nocą, a tam stan wyjątkowy do 6-ej rano: Gomułka ze Spychalskim rozwożą mleko i nie lubią, żeby ich widziano...

A propos braku kawy

Klient wchodzi w Warszawie do sklepu spożywczego i prosi o ziarno kawy.

Żdumiona sprzedawczyni patrzy na niego przez chwilę, a potem rysuje sobie palcem kółko na czole...

— Tak, tak — dodaje niespeszony klient — poproszę o zmielone...

— Dlaczego w Polsce nie ma teraz kawy?

— Bo ten co robił rowki wyemigrował...

Życie Warszawy donosi: „Wczoraj na Żoliborzu miała miejsce katastrofa kolejowa. Mianowicie zderzyły się dwie kolejki po kawę. Ofiar w ludziach nie było”.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

14-12-70

Na Wybrzeżu wybuchły strajki i krwawe zaburzenia, które z Trójmiasta rozszerzyły się i na Szczecin.

16-12-70

Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich w Warszawie skreśliło z ewidencji, w związku z wyjazdem za granicę i zrzeczeniem się obywatelstwa polskiego, następujące osoby: *Andrzeja Berkowicza, Tomasza Fuchsa, Edwarda Goskrzyńskiego, Konrada Grudę, Jonę Gutkowicz-Krusin, Jana Halperna, Józefa Hurwica, Wandę Krassowską, Henrykę Lankiewicz (Tyrman), Mieczysława Liderta, Stanisława Ludkiewicza, Mariana Marzyńskiego, Aleksandra Masiewickiego, Barbarę Pilarzkę-Darewską, Ryszarda Serafinowicza, Marię Włodarską (Łucką) oraz Piotra Zielińskiego.* ■ Nakładem agencji autorskiej w Warszawie ukazała się książka pt. „Polacy pisarze współcześni 1944-1969”. Obejmuje ona ponad 1.000 haseł pisarzy. Z pisarzy przebywających na Zachodzie zostali uwzględnieni jedynie: ze zmarłych Lechoń i Gombrowicz; z żyjących Jan Brzękowski i Bolesław Taborski. Został również uwzględniony Mrozek, prawdopodobnie dlatego, że nie został do tej pory skreślony z listy członków Związku Literatów.

18-12-70

Polska Akademia Nauk przygotowuje 11 Kongres Nauki Polskiej, który ma odbyć się w 1972 roku.

20-12-70

Odbyło się w Warszawie VII Plenum Komitetu Centralnego PZPR. Plenum pod naciskiem wydarzeń w Polsce usunęło Wł. Gomułkę ze stanowiska pierwszego sekretarza KC, mianując na jego miejsce Edwarda Gierka, i przeprowadzając szereg zmian we władzach partyjnych i rządzie.

23-12-70

Na miejsce Z. Kliszki przewodniczącym klubu poselskiego PZPR został Józef Tejchma.

27-12-70

Zmarł w Warszawie historyk literatury, Zbigniew Żabicki, w wieku lat 40.

1-1-71

W związku z zapowiedzianą w październiku br. beatyfikacją o. Maksymiliana Kolbe, przewiduje się w tym okresie masowe pielgrzymki z Polski do Rzymu. Jednocześnie ks. kardynał Wyszyński, w kazaniu wygłoszonym w katedrze Św. Jana, wyraził nadzieję, że w tym okresie papież odwiedzi Polskę.

2-1-71

Zmarł w Warszawie, w wieku lat 60, znany reżyser filmowy, Jerzy Zarzycki.

3-1-71

Według oświadczenia Husaka, w toku wymiany legitymacji partyjnych odebrano legitymację 326817-tu członkom partii, co stanowi 22% ogólnej liczby członków komunistycznej partii Czech. ■ W *Zyciu Literackim*, redagowanym przez osławionego Wł. Machejka, ukazało się w numerze 1-szym z tego roku opowiadanie Jana Rostworowskiego pt. „Wielka jest samotność”.

5-1-71

Stowarzyszenie PAX rozpoczęło gorączkową działalność organizując zebrania „aktywów” powiatowych Stowarzyszenia PAX, głównie na Śląsku i ziemiach zachodnich. Przy pozorach popierania nowego kierownictwa PAX i tym razem chce się za wszelką cenę włączyć do gry politycznej, do której systematycznie nie jest dopuszczany.

7-1-71

W Warszawie rozpoczął się, po czternastoletniej przerwie, krajowy zjazd Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego. Bierze w nim udział około 800 osób. Rezultaty zjazdu mają być opracowane i przedstawione władzom w terminie do trzech miesięcy.

10-1-71

W Polsce żyje obecnie ponad 4 miliony osób, które przekroczyły 60 rok życia. Stanowi to 12,5% ogółu ludności. Przyjmuje się za stare społeczeństwo kraju, w którym liczba ludności w wieku 60 i więcej lat przekroczyła 12% ogółu mieszkańców. ■ W ostatnim okresie 16 znanych uczonych polskich wyróżniono wybraniem w skład członków zagranicznych akademii nauk, przyznaniem doktoratów *honoris causa*, medali i odznaczeń naukowych, a także powierzając im odpowiedzialne funkcje w międzynarodowych organizacjach naukowych. Sześciu uczonych zostało członkami zagranicznych akademii nauk. Prof. dr Szczepan Pieniążek został wybrany członkiem zagranicznym Wszechzwiązkowej Akademii Nauk Rolniczych ZSSR; prof. dr Witold Stefański został członkiem korespondentem Francuskiej Akademii Nauk; prof. dr Kazimierz Michałowski — członkiem Brytyjskiej Akademii Nauk; prof. dr Kazimierz Kuratowski i prof. dr Jerzy Kuryłowicz otrzymali członkostwo Włoskiej Akademii Nauk. Członkiem Amerykańskiej Akademii Sztuki i Nauki wybrano prof. dr. Jerzego Konorskiego. Doktoraty *honoris causa* uczelni zagranicznych nadano 6 uczonym. Otrzymali je: prof. dr Jerzy Kuryłowicz od Uniwersytetu w Edynburgu, prof. Jerzy Konorski — od Uniwersytetu Pensylwania (USA), prof. dr Stanisław Leszczycki — od Uniwersytetu Karola w Pradze, prof. dr Mieczysław Klimaszewski — od Uniwersytetu im. Jana Komenskigo w Bratysławie, prof. dr Jan Mikusiński — od Uniwersytetu w Rostocku; prof. dr Emil Chroboczek — od Uniwersytetu Ogrodnictwa w Bułapeszcie. Międzynarodowy Komitet Słowistów wybrał na wiceprzewodniczącego tej organizacji polskiego uczonego — prof. dr. Witolda Hensla, który został także wybrany przewodniczącym Komisji do Badania Kultury Słowian we Wczesnym Średniowieczu oraz członkiem Rady Stałej Międzynarodowego Stowarzyszenia dla Badania Grodów (Chateau — Gaillard). Wiceprezesem Europejskiej Komisji Sejsmologicznej wybrano prof. dr. Romana Teisseyre. Akademia Nauk Związku Sowieckiego przyznała medal pamiątkowy wybity z okazji 100 rocznicy urodzin Włodzimierza Lenina — dwóm polskim uczonym: prof. dr. Henrykowi Jabłońskiemu i prof. dr. Januszowi Groszkowskiemu. Złote medale Słowackiej Akademii Nauk otrzymali prof. prof. Janusz Groszkowski i Dionizy Smoleński, a honorowy medal Francuskiego Towarzystwa Akustycznego wręczono prof. dr. Ignacemu Maleckiemu.

Za wybitne osiągnięcia w dziedzinie petrografii światowej medal Emanuela Borickiego, przyznawany przez Uniwersytet Karola w Pradze — otrzymał prof. dr Kazimierz Smulikowski. Medal ten otrzymało do tej pory zaledwie 9 uczonych na świecie. Prof. dr. K. Michałowskiemu Uniwersytet Wiedeński przyznał nagrodę im. Herdera na rok 1971. ■ W Berlinie i Oberhofie odbyło się spotkanie przedstawicieli przydiów Związku Literatów Polskich i Związku Pisarzy NRD. Omawiano problemy związane z rozwojem literatury w obydwu krajach, sprawę zwiększenia ilości nakładów, rolę teorii i krytyki literatury oraz zagadnienia związane z dalszym zacieśnieniem osobis-

tych kontaktów pisarzy Polski i NRD. Przedmiot spotkania stanowiły też sprawy związane ze stosunkiem obydwu związków twórczych do postępowych nurtów literatury w europejskich krajach kapitalistycznych, w krajach arabskich i latynoamerykańskich. ■ Dwutygodnik *Nowe Książki* podaje, że w PRL najciekawszymi książkami 1970 roku były: „Gra o jutro” — S. i A. Bratkowskich; „Długo i szczęśliwie” — J. Broszkiewicz; „Listy” — St. Brzozowski; „Xenie i Elegie” — J. Iwaszkiewicz; „Król obojga Sycylii” — A. Kuśniewicz; „Dzieje polskiej Bitynki” — J. Łojka; „Polityka III Rzeszy w okupowanej Polsce” — Cz. Madajczyk; „Dzienniki czasu wojny” — Z. Nałkowskiej; „Europa a rozbiory Polski” — M. H. Serejskiego; „Moje morgi i katongi” — W. Skorupki.

12-1-71

Zmarł w Warszawie, w wieku 79 lat, Jerzy Zaruba, znany rysownik i karykaturzysta. ■ W Warszawie pięciu młodych ludzi oskarżonych o usiłowanie porwania samolotu pasażerskiego, skazano na kary od roku do trzech lat więzienia.

13-1-71

W Warszawie zmarł, w wieku 67 lat, artysta muzyk i dyrygent Olgierd Straszynski. Był on kierownikiem muzycznym radiostacji powstańczej „Błyskawica”.

16-1-71

Prasa warszawska donosi, że wybitny reżyser Kazimierz Dejmek po inscenizacjach w Berlinie Zachodnim, w Wiedniu, Essen i Belgradzie przystąpi do prób opery Kurpińskiego „Pałac Lucypera” w Teatrze Wielkim w Łodzi. ■ Produkcja cegły w PRL zmniejszyła się w porównaniu z 1965 r. o 60 mln sztuk. Ostatnio na Śląsku zlikwidowano 8 cegielni, które zdolne były produkować około 30 mln cegieł rocznie. Cegła w Polsce staje się jednym z najbardziej niedostępnych artykułów.

19-1-71

Zmarł w Krakowie, w wieku 62 lat, znany pisarz, prozaik i dramaturg, Marian Promiński.

20-1-71

Telewizja warszawska podaje, iż nawet obniżony plan skupu zboża nie został wykonany. Sytuacja zaopatrzeniowa wymaga importu zboża, mięsa i szmalcu. Import ten tylko częściowo będzie pokryty wmożonym eksportem wołowiny. Według telewizji, zakupione w Związku Sowieckim 2 mln. ton zboża nie wystarczą i rząd PRL zakupuje obecnie zboże w krajach kapitalistycznych. Ciężka sytuacja w rolnictwie wymaga dodatkowej sprzedaży rolnikom ponad 100 tys. ton pasz treściwych dla powiększenia produkcji drobiu. Potrzebne będą również dodatkowe i znaczne ilości pasz treściwych na powiększenie trzody chlewnej.

23-1-71

Zmarła w Warszawie, w wielku 64 lat, Maria Andrzejewska, działaczka sekcji krytyków Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków, żona Jerzego Andrzejewskiego. ■ Radio Warszawa podaje, że w Warszawie ma być wybudowanych 5 linii metra. Trzy południowo-północne i dwie wschodnio-zachodnie. ■ *Głos Pracy* podaje, że w 1970 r. tylko w Dyrekcji Kolejowej Poznań wybito szymb na 100 tys. zł., skradziono 55 umywalek, 190 luster, 89 kranów, 174 jarzeniówki, 133 konewki, 45 tablic, 200 mydelniczek, 1.331 pasów okiennych, 330 galek do regulacji foteli oraz dużą ilość stabilizatorów prądu, transformatorów, minivoltomierzy, regulatorów napięcia i stateczników świetlówek.

24-1-71

Przeciętna ilość osób zamieszkujących w polskich miastach jedną izbę wynosi obecnie 1,31 — tak informuje *Tygodnik Powszechny* w Krakowie. ■ *Kierunki* podają, że ze sprzedaży w sklepach spożywczych w Bydgoszczy wycofano półtora tysiąca kilogramów wędlin. Powodem była zła jakość kiełbas. ■ Związek Sowiecki dostarczył w tym roku 1,3 mln ton zboża Czechosłowacji. W ciągu 23 lat ZSSR wyeksportował do CSRS 26 mln ton ziarna, w tym 18 mln ton pszenicy. ■ Wstępne wyniki spisu powszechnego wykazały, że Polska ma 32,7 mln mieszkańców. Kobiet jest więcej o prawie milion. W miastach mieszka już 52,2 % ludności. Najbardziej „miejskim” województwem jest katowickie, najślabiej natomiast zurbanizowanym — rzeszowskie.

31-1-71

W Moskwie zakończyło się spotkanie kierownictwa Związków Pisarzy krajów socjalistycznych. Uchwalono zwołanie ogólnoeuropejskiej narady pisarzy w sprawie bezpieczeństwa oraz stworzenie międzynarodowej organizacji pisarzy postępowych. Na czele delegacji polskiej stał Jerzy Putrament. W skład delegacji wchodził: Wojciech Żukrowski, Józef Lenart, Zbigniew Żatuzki i Leopold Lewin. ■ W Karaczi, w Pakistanie, rozpoczął się proces kierowy Mohameda Abdullacha, oskarżonego o zabójstwo w listopadzie 1970 r. wiceministra Spraw Zagranicznych PRL, Zygrzyda Wolniaka.

1-2-71

W 1971 r. PRL ma uczestniczyć w 28 Targach i wystawach przemysłowych w NRF. ■ Według zapowiedzi rządu PRL, Kościół polski ma otrzymać tytuły własności, który użytkował na ziemiach zachodnich i północnych. ■ Zachodnio niemiecka Lufthansa obsługiwać będzie, obok samolotów LOT-u, linię Warszawa-Frankfurt nad Menem. ■ Samochód „Syrena” ma być produkowany w Bielsku-Białej na terenie woj. katowickiego, a nie jak dotąd na Żeraniu. Żerań ma produkować wyłącznie Polskie Fiaty. ■ Zostało rozwiązane Towarzystwo Rozwoju Ziem Zachodnich. Była to instytucja stworzona głównie dla propagandy anty-niemieckiej. Prawdopodobnie PRL w zamian będzie domagała się od Bonn rozwiązania organizacji wychodźców niemieckich.

3-2-71

Wszczęto postępowanie sądowe przeciwko Mihajlo Mihajlowowi, znanemu pisarzowi jugosłowiańskiemu, który w marcu 1970 został zwolniony z więzienia po odbyciu kary 3 lat. Jest on obecnie oskarżony o zamieszczenie w *New York Times* artykułu — mimo zakazu działalności publicznej przez okres lat czterech. Grozi mu kara do dwóch miesięcy więzienia. ■ Doroczne nagrody kulturalne m. st. Warszawy otrzymali: Halina Auderska — pisarka; Janina Domańska — bibliotekarka; Anna German — piosenkarka; Stefan Kieniewicz — historyk, profesor UW; Irena Kwiatkowska — aktorka; Gustaw Majewski — plastyk; Lech Stanisław Miklaszewski — muzyk; dyrektor PSM nr3, Karol Szczeciński — operator PKF, Jan Świdorski — aktor; Jerzy Wołczyk — dyrektor PWN. ■ Jury nagrody tygodnika *Kultura* w Warszawie przyznało nagrody za rok 1970 prof. Marianowi Mazurowi za „Historię naturalną polskiego naukowca” i St. Grochowiakowi za tom wierszy „Nie było lata”.

5-2-71

Dawny szef węgierskiej partii komunistycznej z okresu stalinowskiego, Matyas Rakosi, zmarł w Związku Sowieckim, gdzie przebywał na wygnaniu od 1956 roku, tj. od powstania węgierskiego. Przeżył lat 79. ■ W War-

szawie zakończyło się, zorganizowane przez Polski Instytut Spraw Międzynarodowych, spotkanie polskich i sowieckich naukowców, poświęcone aktualnej sytuacji światowej oraz współpracy między ośrodkami naukowymi obu krajów specjalizującymi się w problematyce międzynarodowej. ■ Na wniosek Biura Politycznego KC PZPR powołano komitet ekspertów dla opracowania raportu o stanie oświaty w Polsce i wniosków modelowych na najbliższe lata. Na czele komitetu stanął prof. Jan Szczepański. ■ W druku znajduje się obecnie 5 pierwszych pozycji Biblioteki Klasyki Polskiej i Obcej. M.in. książki Nałkowskiej, Manna, Swifta. W br. ukaże się 30 tytułów.

6-2-71

W Warszawie rozpoczęły się obrady 8-go Plenum PZPR. ■ Instytut Filologiczny Ukraińskiej Akademii Nauk wydał pierwszy tom „Słownika Ukraińskiego”. Całość wydawnictwa jest obliczona na 10 tomów. Oparty on jest na materiałach folklorystycznych i etnograficznych, obejmujących ponad 18.000 słów. ■ W Moskwie zakończono prace nad rosyjsko-żydowskim leksykonem, który ma się ukazać nakładem „Sowieckiej Encyklopedii”. Redaktorem jest Mojsze Szapiro. Leksykon ten ma świadczyć, że w ZSSR nie ma przesładowania kultury żydowskiej.

9-2-71

Sąd Najwyższy Rosyjskiej Rep. Feder. zatwierdził karę trzech lat obozu o obustronnym reżymie, wymierzoną historykowi A. Amalrikowi przez sąd w Swierdłowsku 22 listopada 1970 roku. ■ Zarząd polskiego PEN-Clubu przyznał nagrody tłumaczom: Arturowi Międzyrzeckiemu za całokształt działalności w zakresie przekładów poezji francuskiej i Pawłowi Hertzowi za całokształt działalności w zakresie przekładów prozy ze szczególnym uwzględnieniem literatury francuskiej. ■ W Warszawie obraduje XVI walne zebranie członków związku kompozytorów polskich. Tematem zjazdu są problemy dalszego rozwoju muzyki polskiej oraz rola kompozytora w kształtowaniu kultury narodowej.

10-2-71

Na miejsce Cz. Wycecha na prezesa Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego został wyznaczony St. Gućwa, minister przemysłu spożywczego i skupu. Wycech został również zdjęty ze stanowiska marszałka sejmu PRL.

11-2-71

W Łodzi wybuchł strajk w przemyśle tekstylnym. Strajkuje kilkadziesiąt tysięcy, głównie kobiet.

14-2-71

We wszystkich kościołach w Polsce został odczytany list pasterski, przygotowany na Konferencji Biskupów w dn. 27 i 28 stycznia rb. i podpisany przez obu kardynałów. W dniu tym zostały zarządzone modły za ojczyznę. Modły dotyczą nie tylko ofiar wydarzeń grudniowych, ale również tych którzy „dzisiaj są odpowiedzialni za porządek, pokój i sprawiedliwość”. List wypowiada się za rzeczową współpracą z nowymi władzami PZPR. ■ W Niemczech Wschodnich obniżono ceny na niektóre towary, podwyższono najniższe płace i renty. Postanowiono kontynuować politykę ulg podatkowych dla właścicieli małych zakładów usługowych. Warto przypomnieć, że w Niemczech Wsch. nie znacjonalizowano wielu przedsiębiorstw małych i średnich. Liczne są przedsiębiorstwa mieszane, których współnikiem jest państwo. Na początku 1969 r. istniało na terenie NRD 3.638 prywatnych przedsiębiorstw przemysłowych. ■ Nagrody krakowskiego Życia Literackiego za rok 1970 przyznano: Kazimierzowi Wyce za książkę „O potrzebie historii Literatury” (PIW) oraz Jerzemu Lovellowi za „Polska jakiej nie znamy” (Wyd. Literackie).

15-2-71

P. Jaroszewicz, premier PRL, oświadczył w telewizji warszawskiej, że Biuro Polityczne zdecydowało anulować 1 marca rb. podwyżkę cen na artykuły żywnościowe, ogłoszoną 12 grudnia 1970. P. Jaroszewicz zaznaczył, że ta decyzja jest możliwa jedynie na skutek gospodarczej pomocy Związku Sowieckiego. ■ Prasa sowiecka donosi o rozpoczęciu wielkich manewrów wojskowych na granicy sowiecko-chińskiej. ■ Głośny płk Janusz Przymanowski wystąpił w *Zyciu Warszawy* z postulatem ustanowienia medalu dla uczestników kampanii Wrześniowej.

ZACHÓD — EMIGRACJA

16-12-70

Na Uniwersytecie w Illinois odbył się festiwal poświęcony St. I. Witkiewiczowi, na który złożyły się: odczyt, filmy jego obrazów i fragmentów przedstawień w Polsce oraz przedstawienie „Kurki wodnej”. Festiwal został zorganizowany przez Fribarne'a. ■ Prof. Z. L. Wilhelmi, kierownik katedry fizyki nuklearnej w Instytucie Fizyki Doświadczalnej UW, został mianowany dyrektorem działu ochrony radiologicznej i gospodarki odpadami radioaktywnymi w Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej. ■ W Londynie odbył się zjazd jubileuszowy polskiego ruchu wolnościowego „Niepodległość i Demokracja” — z okazji 25-ciulecia organizacji. ■ Dr Jan Spałek został dziekanem wydziału germanistyki i slawistyki na uniwersytecie stanowym Nowego Jorku w Albany.

20-12-70

W Londynie odbyła się wielka manifestacja uliczna pod hasłem „Wolności i chleba dla Polski”, zorganizowana przez Zrzeszenie Studentów i Absolwentów Polskich na Uchodźstwie. Po manifestacji odbyło się zebranie protestacyjne w sali Imperial College przy udziale ok. 800 osób. ■ Londyński *Daily Express* doniósł o bytności ambasadora, PRL M. Dobrosielskiego w Ognisku Polskim w Londynie. Zarząd Ogniska wyjaśnia, że p. Dobrosielski był *incognito* zaproszony przez jednego z członków Ogniska. Nazwiska członka nie podano.

21-12-70

W Sztokholmie odbyła się wielka manifestacja, zorganizowana przez szwedzką Polonię, protestująca przeciwko masakrze na Wybrzeżu.

24-12-70

W związku z wydarzeniami w Polsce została wznowiona działalność Komitetu Pomocy Rodakom w kraju, który powstał po wydarzeniach poznańskich w 1956 r. Ofiary należy wpłacać na konto bankowe: „Komitet Pomocy Rodakom w Kraju”. Adres: 42, Emperor's Gate, London S.W.7. ■ Jednocześnie powstał analogiczny Komitet w Manchesterze, który z miejsca zebrał 300 funtów przekazanych do Komitetu Londyńskiego. Adres Komitetu: 188a Shewsbury Street, Manchester 16, W. Brytania.

25-12-70

Schenectady Gazette z 25 grudnia 1970 podaje: inżynier CSW, były porucznik lotnictwa polskiego z Drugiej Wojny Światowej, Cass Stankiewicz-Wiśniewski, został wybrany w stopniu *fellow* do American Society of Civil Engineers.

27-12-70

Z inicjatywy Sekcji Związku Studentów Polaków na uniwersytecie w Leeds

(Anglia) odbyła się masowa demonstracja w związku z wydarzeniami na Wybrzeżu. Podobne manifestacje odbyły się we wszystkich ośrodkach emigracyjnych na świecie.

28-12-70

W Bostonie odbył się doroczny Zjazd Polsko-Amerykańskiego Towarzystwa Historycznego. Postanowiono sporządzenie bibliografii lub raczej centralnego katalogu wszystkich książek polskich i o Polsce, znajdujących się w bibliotekach uniwersyteckich. ■ Wydawnictwo stanowego uniwersytetu w Pennsylvanii przygotowuje do druku bibliografię przekładów z języka polskiego na angielski w opracowaniu prof. Birkenmayera. Będzie to rozszerzone wydanie bibliografii wydanej w 1960 r. przez Marion Moore Coleman. ■ Fundacja Forda przyznała 288.052,— dol. na badania naukowe poszczególnych grup etnicznych w Stanach Zjednoczonych. Pozostaje to w związku z budzącym się ruchem wśród Polaków, Włochów, Słowaków i Litwinów. Ruchy te są reakcją na upadek miast i napór murzyński.

30-12-70

Polskie organizacje w Paryżu zorganizowały w Domu Kombatanta zgromadzenie protestacyjne przeciw krwawej represji manifestacji robotniczych na Wybrzeżu.

1-1-71

Karol Burke, przedstawiciel Kongresu Polonii w Waszyngtonie, przeszedł na emeryturę po 27-miu latach prowadzenia biura Kongresu w Waszyngtonie. Na jego miejsce przyszedł płk Kazimierz Lenard. ■ Janusz K. Zawodny, profesor nauk politycznych Uniwersytetu Pennsylvania, został mianowany członkiem Instytutu Studiów Zaawansowanych w Princeton. ■ W Rzymie ukazał się pierwszy numer dwumiesięcznika *Listy* pod redakcją Jiri Pelikána. Pismo w pierwszym rzędzie jest przeznaczone dla czytelników w Czechosłowacji, celem informowania ich o sprawach zatajanych przez czeską cenzurę. Adres redakcji: c/o MPL, Via Terre Argentina 21, 00186 Roma, Włochy. ■ Międzynarodowa Unia Astronomiczna powołała do życia tzw. Komitet Nomenklatury, który ma ustalić nazwę kraterów na niewidocznej stronie księżycy. Kraterom będą nadawane nazwy wyłącznie od nazwisk wybitnych astronomów, uczonych, popularyzatorów astronomii i autorów powieści o tematyce kosmicznej. Wśród 500 nazwisk umieszczono nazwiska 7-miu astronomów i uczonych polskich: Banachiewicz, Dziewulski, Gadomski, Sierpiński, Skłodowska, Smoluchowski i Sniadecki. ■ We Francji ogłoszono studium poświęcone przestępczości wśród emigrantów za rok 1968. Wynika z niego, że najwyższy procent przestępców jest wśród emigrantów z Afryki Północnej, jest ona półtora razy większa od przeciętnej przestępczości ludności francuskiej. Jeśli idzie o przestępczość wśród emigrantów polskich, jest ona znacznie poniżej tej przeciętnej. ■ W Brukseli wykryto wielką aferę szpiegowską. Zamieszany w nią zastępca attaché militaire Ambasady PRL, płk Włodzimierz Kwiatkowski, został wydalony z Belgii. ■ W 1969-1970 eksport australijski do Polski zamknął się sumą 20,2 mln dolarów a import z Polski wyniósł 3 mln dolarów. Polscy przedstawiciele handlowi w Australii uważają, że ten stosunek może być nadal utrzymany pod warunkiem, że nie ulegnie pogorszeniu. PRL chciałaby zwiększyć eksport siarki do Australii, który wynosi do tej pory 10-20 tys. ton rocznie, ale popyt na siarkę bardzo spada.

2-1-71

Zmarł w St. Gallen (Szwajcaria) dr Jerzy Paszkowski, prezes Związku Organizacji Polskich w Szwajcarii i prezes oddziału SPK.

4-1-71

Zmarł w Londynie gen. bryg. dr Stanisław Kunstler, dowódca baterii Pierwszej Brygady Legionów Piłsudskiego. ■ W Sztokholmie odbył się odczyt dr. Józefa Lewandowskiego pt. „Rola strachu w socjalizmie”, zorganizowany przez Koło Przyjaciół Kultury paryskiej.

5-1-71

Nagroda teatralna *Dziennika Polskiego* w Londynie za rok 1970 została przyznana Bogdanowi Urbanowiczowi, Stanisławowi Zięciakiewiczowi i Janowi Smosarskiemu.

15-1-71

Zmarł tragicznie we Francji mjr rez. Stanisław Domański, wybitny działacz społeczny, wieloletni sekretarz generalny oddziału SPK Francja. ■ Sprawozdanie FAO za rok 1969 stwierdza, że w roku tym produkcja środków żywności na świecie wzrosła o 2 procent, podczas gdy trwająca eksplozja demograficzna zwiększyła ludność świata o 2,7 procent. ■ Na świecie jest dziś 800 milionów analfabetów, o 100 milionów więcej niż 20 lat temu.

16-1-71

W Houston w Texas zmarł dr Stefan T. Mierzwa, założyciel i prezes honorowy Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku. ■ *Nowy Świat*, jedyne polskie pismo codzienne w Nowym Jorku, przestał wychodzić. Są robione starania stworzenia nowego dziennika polskiego w stanach wschodnich. Dwa pisma polonijne *Sodalis* organ seminarium polskiego w Orchard Lake i tygodnik *Pittsburchanin* obchodzą w bieżącym roku 50-lecie swego istnienia. Prasa polonijna niezmiernie się kurczy: w 1920 roku było 120 pism, w 1950 r. — 52 pisma, w 1962 r. — 44, w chwili obecnej jest ich tylko 38.

17-1-71

Z inicjatywy Rady Uchodźstwa Polskiego w Szwecji i polskich księży odprawiono w Ognisku Polskim w Sztokholmie nabożeństwo żałobne za poległych w wypadkach grudniowych na Wybrzeżu, oraz zebrano znaczną sumę na fundusz pomocy dla ofiar wypadków w Kraju, która ma być przekazana do dyspozycji Kardynała Wyszyńskiego.

19-1-71

W paryskim Institut Catholique odbył się odczyt prof. Ambroise Jobert pt. „La Pologne dans les grands courants de pensée du XVI^e siècle”. ■ W Tel Avivie zmarł, w wieku lat 70, dr J. B. Margolin, znany pisarz i publicysta. Aresztowany w 1940 roku przez władze sowieckie w Polsce, przeżył 7 lat w łagrach. Jego wspomnienia pt. „Podróż do kraju Ze-Ka”, które ukazały się w roku 1952, miały rozgłos światowy. Były często porównywane ze „Wspomnieniami z domu umarłych” Dostojewskiego.

23-1-71

W Nowym Jorku odbyło się doroczne posiedzenie Polskiej Rady Jedności w USA. Do Prezydium Rady zostali wybrani St. Korboński, jako przewodniczący, A. Gawlikowski, B. Biega, F. Gadomski. Wł. Michalak, St. Janowski, E. Leszczyński, A. Pomian i F. Skowyrza. Wojciech Wasiutyński został przewodniczącym Komisji Politycznej.

24-1-71

W Toronto odbyło się miesięczne zebranie Towarzystwa Przyjaciół Kultury poświęcone omówieniu wypadków grudniowych w Polsce. Po zagajeniu przez W. Iwaniuka nastąpiło dramatyczne słuchowisko skonstruowane z komuni-

katów PAP, z prasy warszawskiej i wyjątków z przemówień Gomułki, Cyrankiewicza i in. W zakończeniu Irena Chabrowska-Jellaczyz odczytała artykuł redakcyjny *Kultury* pt. „Polski Grudzień” z numeru styczniowego rb. Następnie odbyła się dyskusja. Całość słuchowiska przygotował inż. Z. Czerniakowski.

27-1-71

Kongres Polonii Amerykańskiej ogłosił protest w związku z aresztowaniem w Polsce obywatela amerykańskiego, polskiego pochodzenia, inż. A. Mullera, który w październiku 1970 r. wyjechał z wizytą do rodziny w Polsce i tam został aresztowany. ■ Dwaj polscy kongresmani doznali politycznych porażek. Kongresman Rostenkowski nie został wybrany przewodniczącym „Kaukazu” (konferencji wyborczej) Partii Demokratycznej, zaś kongresman Kluczyński nie otrzymał poparcia Demokratów na kandydowanie w wyborach 1972 r.

28-1-71

Zmarł w Lozannie, w wieku 83 lat, znakomity pisarz, filozof i myśliciel Stanisław Vincenz. ■ W Danii skazano na trzy i pół roku więzienia Krzysztofa Kryńskiego, sprawcę porwania w dniu 19 sierpnia 1970 polskiego samolotu pasażerskiego.

29-1-71

Fundacja im. Alfreda Jurzykowskiego w Nowym Jorku przyznała doroczne nagrody: St. Balińskiemu, R. Brandtstaetterowi, T. Bairdowi, K. Weynerowskiemu, A. Kossowskiemu, Krystynie i Czesławowi Bednarczykom, St. Gliwie, Prof. W. Jaroszewiczowi, Dr. W. Kuryłowiczowi, Prof. W. Iwanowskiej, Prof. Hugo Steinhausowi, Prof. T. Czyżowskiemu i W. Gomulickiemu. Za przekłady literackie na język niemiecki nagrodzono p. G. Hagenau, a za tłumaczenia na język hebrajski p. B. Tene.

1-2-71

Autorzy polscy w przekładach francuskich: Michel Borwicz „L'insurrection du Ghetto de Varsovie”, Julliard (Archives); St. I. Witkiewicz „Introduction à la théorie de la forme pure au théâtre — La Pierre”, Gallimard, 1970; Zofia Romanowicz „Le chandail bleu”, Paris Seuil, 1971. ■ Do obozu we Frydlandzie w NRF przybywa dziennie ok. 60-80 przesiedleńców z Polski, w myśl zawartego ostatnio układu między Bonn i Warszawą. Od kwietnia rb. liczba przesiedleńców ma wynosić od 4 do 6 tys. osób miesięcznie. Początkowo władze warszawskie dawały przesiedleńcom termin 6 dni „na spakowanie się”. Termin ten został przedłużony do dwóch tygodni, a od 1 marca — do miesiąca. Warszawa zgodziła się na bardziej tolerancyjną wykładnię pojęcia przynależności do narodu niemieckiego. Uznaje się ją obecnie wobec osób, które nie władają językiem niemieckim, ale które potrafią udowodnić, że rodzice ich posługiwali się tym językiem. Trwają nadal targi o rozszerzenie kryteriów. Warszawa dotąd uznaje zasadność podań, których autorzy mogą wykazać się posiadaniem w NRF rodziców, dziadków lub dzieci. Przesiedleńcy w Niemczech oprócz bardzo szerokiej pomocy otrzymują kwotę 4.000 DM na rodzinę, jako zwrot kosztów przesiedlenia. ■ Kanadyjski Minister Spraw Zagranicznych Sharp przyjął w Ottawie Zarząd Główny Kongresu Polonii Kanadyjskiej w osobie K. Bielskiego, J. Wojciechowskiego i S. Brodzkiego. Delegacja omawiała wydarzenia grudniowe w Polsce, zaznaczając, iż „jako Kanadyjczycy mamy obowiązek udzielenia moralnego poparcia uzasadnionym postulatami obywateli polskich”. Delegacja zaapelowała do rządu kanadyjskiego, by w myśl zasad humanitarnych, Kanada przyszła narodowi polskiemu z pomocą, sugerując ofiarowanie Polsce

żywności z istniejących rezerw i przyznanie kredytów na dogodnych warunkach na zakup w Kanadzie zboża i innych produktów. Delegacja prosiła również, by rząd kanadyjski zawiadomił Warszawę, że Kanadyjczycy, posiadający rodziny w Polsce, są z troską o ich bezpieczeństwo i życie.

2-2-71

W Centre d'Etudes Slaves Instytutu Katolickiego w Paryżu rozpoczęły się wykłady Jean Stanislas Clément o dramatach historycznych Karola Huberta Rostworowskiego: „Judaszk Iskariota” i „Kaligula”.

3-2-71

Na uniwersytecie McGill w Montrealu staraniem Polskiego Instytutu Naukowego odbył się odczyt dr. Jerzego Korey-Krzeczowskiego na temat: „Spożyczenie ekonomisty na rok 1971 w Kanadzie”. ■ Dwóch doradców sowieckich zostało zabitych przez tłum w Sudanie i Somali, przy okrzykach „Mniej broni, a więcej jedzenia”. Pozostali doradcy, zaatakowani również przez tłum, uratowali się ucieczką. Przy gorączce antyrosyjskiej w Sudanie i Somali Związek Sowiecki chce powierzyć Niemcom Wschodnim swoje interesy. ■ W Nowym Jorku powstało Stowarzyszenie Pisarzy Polsko-Amerykańskich (American Polish Writers Association). Tymczasowy Zarząd stanowią: Prezes — Zygmunt Umiński, Wiceprezes — Siostra Maria Florence, Sekretarz — Edward Falkowski, Skarbnik — Henryk Archacki.

5-2-71

Dr Terezita Polzin została mianowana stałym dyrektorem Ośrodka Studiów i Kultury Polskiej w Orchard Lake. Ośrodek ma ambitny projekt rozbudowania informacji i usług kulturalnych na terenie całych Stanów Zjednoczonych. Dalszych informacji dotyczących Ośrodka udzielić może dr T. Polzin, The Orchard Lake Center for Polish Studies and Culture, Orchard Lake, Michigan 48034 USA. ■ „Theater on the Air” w Kanadzie nadała na falach państwowej rozgłośni CBC sztukę Sławomira Mrożka „Policjanci” w wykonaniu artystów z Vancouveru. Ta sama rozgłośnia nadała „7 miniatur” Waltera Buczyńskiego.

6-2-71

Polska Fundacja Kulturalna im. dra Gruszki postanowiła udzielić dotacji w wysokości 100 funtów szterlingów Instytutowi Polskiemu i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie, z przeznaczeniem na fundusz wydawniczy wydawnictwa „Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej”, część czwarta, dotycząca przebiegu Kampanii Wrześniowej po 14 września 1939 roku. Od początku rozpoczęcia działalności rozdawniczej (1963 r.) Fundacja rozdała 1.345 dolarów na polskie cele kulturalne.

8-2-71

Prezydent Nixon mianował nac. redaktora *Dziennika Związkowego* J. Krawca, członkiem Komitetu dla Spraw Turystyki w Waszyngtonie, którego zadaniem jest popieranie turystyki zagranicznej do USA.

11-2-71

Wybitny emigracyjny pisarz rosyjski, Borys Zajcew, obchodzi 90-lecie urodzin i 70-lecie twórczej pracy literackiej. W czasie swego blisko 50-letniego pobytu na emigracji Borys Zajcew napisał 25 książek, z których przeszło połowa była przekładana na obce języki. Jest on autorem m.in. „Anny”, „Putieszestwie Gleba”, „Dom w Passy”.

14-2-71

Do Warszawy przybył p. Herbert Wehner, przewodniczący klubu poselskiego socjaldemokratycznego w parlamencie Niemiec Zachodnich. Oprócz sprawy Berlina p. Wehner poruszył sprawę konferencji partii socjalistycznych i komunistycznych europejskich (z wyj. Związku Sowieckiego). Będąc inicjatorem pomysłu, dyskutował już dotąd tę sprawę z marsz. Tito i włoską partią komunistyczną.

15-2-71

Między 8 a 14 lutego do obozu Friedland w Niemczech Zach. przyjechało z PRL przeszło 1.700 imigrantów pochodzenia niemieckiego. Ilość imigrantów podwaja się z tygodnia na tydzień.

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU”

Listy do Redakcji

Edmonton 7, Alberta, 17 listopada 1970.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z zaciekawieniem, ale i z zażenowaniem, czytuję sprawozdania o postępach pracy doktorskiej Danuty Mostwin, dotyczącej socjologicznego i ekonomicznego oblicza powojennej imigracji polskiej do Stanów Zjednoczonych (ostatnio w numerze 276, „Prawda o Polakach”). Mam nadzieję, że p. Mostwin osiągnie doktorat nim się profesorowie na jej uniwersytecie połapią, że jej metoda uraga nowoczesnym wymogom naukowej dedukcji. Przez zlekceważenie metody reprezentatywnej i przez przypadkowe zbieranie kwestionariuszy pozbawiła się autorka prawa nazywania swoich wyników prawdą o Polakach. Będzie to li-tylko sumaryczne zestawienie gór papieru, przyniesionego przez listonosza. Papiery te mają nieznaną związek z imigracją powojenną. Dla przykładu: jeśli osiem procent wśród papierów przyniesionych przez listonosza zgłaszało się po zasiłki pieniężne, to jest to dalece nieciekawą fakt. Interesujący byłby dopiero, gdybyśmy wiedzieli więcej o zachowaniu się tych 138.000, które do pani Mostwin nie pisały. Zależnie od ich zachowania się, co do którego autorka jest w kompletnej ignorancji, rzeczywisty procent mógłby się wahać od ułamka jednego procentu do 99 procentów. „Prawdziwa” cyfra mogłaby być blisko cytowanych przez panią Mostwin ośmiu procent, ale nie ma żadnych danych ku temu, żeby ustalić prawdopodobieństwo tej możliwości.

Zebranie i analiza dwustu kwestionariuszy ustalonych naukowo, kosztowałyby — przypuszczam — nie więcej niż jej 2.000 kwestionariuszy, a uprawniałyby ją do generalizowania wniosków. Przypuszczam również, że będzie mało punktów stycznych (prawdopodobnie żadnych) między danymi pani Mostwin, a szalonymi zupełnie (nie przesadzam) możliwościami osiągnięcia danych z niedawnego spisu ludności w Stanach (dosłownie za przysłowiowe grosze, na taśmach elektronicznych, jak i poprzez inne sposoby). Co pani Mostwin wtedy zrobi? Zignoruje tak bogate źródło danych socjo-ekonomicznych o swoich domniemanych „klientach” (nie tylko tych uprzywilejowanych, którzy do niej pisali)? Problem to stosunkowo nowy i pracownicy nauk socjalnych są nieprzygotowani do analizy tak oszałamiających możliwości, jakie otwiera nowoczesny spis ludności. Starą generację można usprawiedliwić, ale nie pączkujących doktorantów.

Jest oczywiście możliwość założenia, że nauki socjalne starają się być

przesadnie rygorystyczne w naśladowaniu nauk ścisłych, a pani Mostwin reprezentuje zdrową reakcję przeciwko temu małpowaniu. Przypuszczam, że Tocqueville i Siegfried (taki kanadyjski Tocqueville, też Francuz, tylko że z Alzacji), a pewnie i Znaniecki i Thomas, mieliby trudności w uzyskaniu dzisiaj dyplomu z nowoczesnej szkoły doktorskiej dobrego uniwersytetu. Osobiście z tego dylematu wybrnąłem domagając się od moich doktorantów obojga umiejętności: uczyć nowoczesnych i rygorystycznych metod, a tuszę, że od Boga spłyną na nich, jak łaska, umiejętności bardziej dziennikarskie i powierchowne.

Łączę wyrazy poważania,

Karol J. KRÓTKI
Department of Sociology
University of Alberta

P.S. Cytowanie procentów z dwoma miejscami dziesiętnymi sugeruje dokładność i zaufanie do danych, które chyba nigdy nie jest uzasadnione w naukach społecznych, a w tym wypadku świadczy dobitnie o bardzo podstawowym pomieszeniu pojęć.

Paryż, 19 stycznia 1971.

Szanowna Redakcjo,

W pierwszych słowach mego listu proszę przyjąć moje wyrazy uznania za Waszą działalność, a zwłaszcza jestem zachwycony inicjatywą założenia komitetu pomocy strajkującym w Polsce.

W tym liście jednak chcę wyjaśnić sprawę mniej doniosłą, ale bardzo ważną.

Przeczytałem artykuł kol. M. Drozda „W sprawie żywych ludzi”. Jest w nim dużo żalostnej prawdy — ale i jakieś nieuświadomienie. Długo by trzeba na ten temat pisać i może nawet dość radykalnie o stylu i ryzyku tzw. „sztalugowców”. Jest to sprawa nie tylko polska, ale i ogólnoświatowa.

Wydaje mi się, że kol. Drozd nie umie przeskoczyć kręgu spraw ludzi pewnego okresu, razem z ich pojęciami o życiu i o sztuce. Nie znajdują np. zainteresowania się sprawą ludzi młodych, tych poniżej trzydziestki, i celowości kształcenia artystów. Wymieniane przez niego nazwiska prawie że nie trafiają do przekonania, a nawet budzą zastrzeżenia i to bardzo poważne. Nazwiska to zawsze ryzykowna sprawa, a zwłaszcza w naszym środowisku. Wyobraźmy sobie co by się działo, gdybyśmy tak chcieli sporządzić czarną listę malarzy. Już tylko za sam taki pomysł można by stracić o ile nie głowę, to na pewno egzystencję.

Stusznie kol. Drozd porusza „w sprawie żywych ludzi” sytuację bytową artystów w Polsce, mimo że nie oddziela tych, którym się powodzi, od tych bez powodzenia, i nie rozróżnia specjalizacji, zbyt łatwo mieszając wystawieników z malarzami i użytkowników z twórcami.

Nie rozumiem też dlaczego wychodzi z pozycji jałmużnika.

A teraz pozwolę sobie zwrócić uwagę Redakcji, że przepisujecie nazwiska niesprawdzone. Chodzi mi o osobę Rafałowskiego. Nazwisko towarzysz Rafałowski wzbudziło we mnie odruchowe zdumienie. A może to ja się mylę? Może to ja nie znam spraw i sprawek ZPAP? I towarzysz Rafałowski nie jest, albo już nie jest służką K.C.? Słyszałem o kol. Rafałowskim, że dziś ma sklerozę i niczego nie pamięta, udając poczciwą starowinę. A ja pamiętam dobre lubelskie czasy, kiedy pełnomocnik ministra wyjmował pieniądze z kieszeni i „kumotrzył” według swego widzimisie. Dobrze było wtedy znać

osobiście „towarzysza Rafałowskiego”. Weryfikowano wtedy pierwszych członków ZPAP, kwalifikowano wystawy i rozdzielano zasiłki. Niewielu totum-fackich w rodzaju Krajewskiego miało tę siłę co „towarzysz Rafałowski”.

Sporo lat upłynęło, najpierw w glorii i aktywności, potem na synekurze, i czyżby kol. Drozd o tym nie wiedział?

Jakkolwiek w innych wymiarach, ale trochę to tak, jak gdybyśmy my kiedyś, w przyszłości, usiłovali z kochanego „Wiesiunia” zrobić zasłużoną figurkę.

Daję Wam słowo że bardzo szanuję, a jeszcze bardziej kiedyś, jako student, szanowałem malarstwo J. Cybisa, ale po cóż kol. Drozd wymienia go między poszkodowanymi? Przecież oprócz kilku lat niełaski i tego że w dowód uznania za jego działalność artystyczną po 15 latach pracy dostał po wystawie w Zachęcie nagrodę od ministra Kultury i Sztuki w wys. 15.000 zł, żadna krzywda mu się nie wydarzyła. Nie tylko on, ale i jego żona, pobierają pensje profesorskie w ASP, żuroruje wystawy, i przed paroma laty sam miał wielką wystawę w Muzeum Narodowym z przemówieniem dyr. Lorenza i min. Motyki. Nawet nie wiem czy sam Cybis pragnie uchodzić za osobę pokrzywdzoną.

Może to i trochę ryzykowne z mojej strony, i może z jakichś nieznanych mi powodów nie podzielicie mego stanowiska, ja jednak utrzymuję to co napisałem.

Kończę z wyrazami poważania,

Stanisław PREYZNER

Chicago, 8 lutego 1971.

Szanowny Panie Redaktorze,

Należy się p. Kamili Chylińskiej uznanie za doskonale opracowaną ankietę dotyczącą postaw emigracji polskiej z lat 1967-70 (*Kultura*, nr 11/70). Ankieta i jej analiza dają dużo do myślenia. Mam tylko wrażenie, że jeden z końcowych wniosków p. Chylińskiej jest zbyt optymistyczny. Mianowicie, kiedy Autorka suponuje, że ci nowi emigranci, partyjnej proveniencji, rozezaruszeni do komunizmu, zechcą utworzyć na obczyźnie jakąś frakcję o rewizjonistycznych tendencjach, albo że zasilą wyszczerbiające się kadry (londyńskiej) emigracji politycznej. Znając wielu z nich osobiście lub z ich pracy w Polsce, gdzie żyłem do 1965 roku, wykluczam obie możliwości. Mam na myśli tych, co zajmowali wysokie stanowiska w Polsce.

Naturalnie, że wielu z nich chciało się pochwalić w ankiecie, iż proces odehdzenia od komunizmu narastał u nich stopniowo pod wpływem doświadczeń życiowych, gdy byli członkami PZPR. Ale bodaj w 90% to dobre mniemanie o sobie jest pozbawione życiorysowej dokumentacji. A na słowo honoru nie wszystkim można wierzyć. Naturalnie, że w tej masie emigrantów z lat 1967-70 są jednostki bardzo wartościowe, szanowane w Polsce za ich postawę moralną i brak serwilizmu. Ich exodus to nie tylko sprawa antysemityzmu, ale również rezultat niekonformistycznych postaw wobec biurokracji partyjnej w kraju. Ale takich jest niewielu.

Natomiast, dla większości nowych emigrantów (wyłączając młodzież) można przyjąć, że spadek entuzjazmu dla komunizmu nie począł się od przewartościowań moralno-politycznych, tylko zrodził się wskutek utraty stanowisk i dygnitarskich uposażeń. Nie dyskryminacyjne powody zwolnień z wysokich stanowisk, lecz perspektywa znizienia się do poziomu życia przeciętnego urzędnika albo robotnika w Polsce była dla wielu z nich czymś gorszym, niż emigracja. Profesor szkoły partyjnej przy KC PZPR, p. G. Temkin, wcale tego nie ukrywał. W *Lewym Torze*, Nr 3, zwierzał się: „20 lat uczę-

łem ludzi z aparatu partyjnego”... „moi uczniowie pracowali jeszcze teraz m.in. w KC, byli członkami KC i Biura Politycznego... ale... przeczuwałem jednak, że nikt mi nie pomoże...”. A o co starał się u nich prof. Temkin? O pozostanie na stanowisku wychowawcy centralnych kadr partyjnych, o zachowanie posad i apanaży, do których przywykł. Nie chciał bowiem pracować w Polsce za byle pensyjke. Z wyrzutem pisze więc, że: „Górna granica zarobku wyznaczona 'syjonistom' wynosi ok. 3 tys. zł. miesięcznie”. Jak wiemy jest to pensja dobrego urzędnika w Polsce. Prof. Temkin takich propozycji nie przyjął i wyemigrował. Prof. Temkin cytuje inny jeszcze przykład — „dyrektora administracji centralnej”, którego zwolniono z dyrektorskiego stanowiska „proponując mu stanowisko magazyniera z pensją 2.400 zł. miesięcznie”. Jestem ze szkoły PPS i zwalczałem antysemitizm jak każdą inną formę dyskryminacji rasowej. Ale argumenty p. T., które przytoczyłem zaliczam do kryteriów innego wymiaru. Nie zgadzam się, że on to wyjątek.

Przypominają mi te argumenty powiedzenie Jerzego Plechanowa: „Moi panowie! Spróbujecie wszystkiego, staniecie się buddystami, druidami, 'sarsami' chaldejskimi, kabbalistami, izyistami lub anarchistami — wedle tego co najlepiej będzie wam odpowiadać, ale pozostaniecie przecież tym, czym jesteście dzisiaj, istotami bez przekonań i programu, worami wypróżnionymi z historii”.

Dlatego nie widzę szansy, aby exodus z Polski z lat 1967-70 przekształcił się na emigracji w opozycyjny ruch partyjny, chyba typu kanapowego. Nie spodziewam się również ich liczego akcesu do środowiska emigracji politycznej, ponieważ jest ona nie dość zamożna dla ludzi przyzwyczajonych, że ojczyzna hojnie wynagradza ich trudy. Mam też wrażenie — w omawianej ankiecie brakowało jednego pytania, mianowicie: „Kiedy respondent zwrócił legitymację partyjną — przed czy po utracie zajmowanego stanowiska?”. Odpowiedź na to pytanie mogłaby zapobiec wielu egzaltacjom życiorysowym ze strony ludzi, którym — mimo wszystko — stała się krzywda.

Łączę wyrazy szacunku,

Edward PUACZ

WPLĄTY NA FUNDUSZ „KULTURY”

E. Baczyzmalski, Reading (W. Brytania), po raz dziesiąty	F. 40,00
Dr Jan Bakowski, Miami Beach, Fla (USA)	F. 44,00
N. Barakoński, Sherman Oaks, Cal. (USA), po raz trzeci	F. 50,00
Wilhelm Bismayer, Chicago, Ill. (USA), po raz szósty	F. 22,00
Mieczysław Błaskiewicz, Brooklyn, N.Y. (USA), po raz dziewiąty	F. 5,50
Helena Brzechwa, Los Angeles, Cal. (USA), po raz drugi	F. 55,00
Tomira Buxell, Wellesley, Mass. (USA), po raz trzeci	F. 93,00
G. G. Dobrzański, Toronto, Ont. (Kanada), po raz ósmy	F. 27,00
Ignacy Fonberg, New Haven, Conn. (USA)	F. 55,00
Jerzy Gintel, Caracas (Wenezuela), po raz jedenasty	F. 55,00
Karol Jabłoński, London, Ont. (Kanada), po raz ósmy	F. 54,00
K. Jagodziński, Irvington, N.Y. (USA), po raz drugi	F. 15,00
Mr. Jan, Toronto, Ont. (Kanada), po raz piąty	F. 156,00
Koło Przyjaciół Kultury w Stockholmie	F. 105,00

Prof. Jerzy Langrod, Paryż, po raz dziewiąty	F. 100,00
Rev. Henryk Maria Malak, Lemont. Ill. (USA), po raz drugi ..	F. 27,50
Antoni Najda, East Orange, N.J. (USA), po raz trzeci	F. 22,00
Leon Naleway, Winnipeg, Man. (Kanada), po raz drugi	F. 54,00
E. i Z. J. Piórkowscy, Bronx, N.Y. (USA), po raz dziewiąty ..	F. 55,00
Tomasz Płodowski, Upper Montclair. (USA), po raz trzeci ..	F. 55,00
Dr August Polaczy, Monachium (Niemcy), po raz trzeci	F. 23,30
Polka z Kraju	F. 11,00
Polonia Technica, Inc., New York, po raz czwarty	F. 82,50
Anatol Romaniuk, Johannesburg	F. 77,00
Alexander M. Schenker, Hamden, Conn. (USA)	F. 192,00
Nina Sereda, Montreal, Que. (Kanada), po raz trzydziesty	F. 27,00
Krystyna i Bolesław Singler, Sunshine, Vic. (Australia), po raz czwarty	F. 50,00
Inż. L. W. Skonieczny, Toronto, Ont. (Kanada), po raz trzeci	F. 135,00
Zygmunt Sowa, Detroit, Mich. (USA), po raz szósty	F. 55,00
Władysław Sudyło, Irvington, N.J. (USA), po raz piąty	F. 22,00
Janina Surynt-Waroczewska, Toronto, Ont. (Kanada), po raz ósmy	F. 75,50
Janina Szarlak, Monachium (Niemcy), po raz szósty	F. 7,50
Nina Sereda, Montreal, Que. (Kanada), po raz trzeci	F. 54,00
W. Trzos, Toronto, Ont. (Kanada), po raz piąty	F. 27,00
C. Waluk, Kitchener, Ont. (Kanada), po raz drugi	F. 32,00
Prof. Piotr Wandycz, New Haven, Conn. (USA)	F. 100,00
Irena i Wiktor Zahorscy, Detroit, Mich. (USA), po raz trzeci	F. 27,50
Łucja Zalewska, Chicago, Ill. (USA), po raz piąty	F. 27,50
Prof. Janusz K. Zadrożny, Philadelphia, Pa. (USA), po raz piąty	F. 104,50
Janusz Zembrzuski, Paryż, po raz piętnasty	F. 100,00
Dr M. C. A. Żurowska, Sudbury, Ont. (Kanada), po raz drugi	F. 27,00
Lech W. S. Żychliński, New Canaan, Conn. (USA), po raz piąty	F. 137,50
Bezimiennie z Mediolanu, po raz drugi	F. 60,50
Bezimiennie z Milwaukee, Wis. (USA), po raz ósmy	F. 38,50
Bezimiennie z Paryża, po raz dziewiąty	F. 150,00
Bezimiennie z So. Dakoty (USA), po raz piąty	F. 44,00

DZIĘKUJEMY!

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: 01-994-1860.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

Kanadyjski korespondent „Kultury”: Waclaw IWANIUK
263 Keewatin Ave., Toronto 12, Ont. — Telefon: 481 93 63.

Wydawca: INSTYTUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal : 1^{er} Trimestre 1971.



Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 194 — ANDRZEJ BOBKOWSKI

COCO DE ORO

SZKICE I OPOWIADANIA

Wybór opowiadań przedwcześnie zmarłego pisarza, którego chcemy przypomnieć czytelnikom w przededniu 10-ej rocznicy jego śmierci.
Str. 272. Cena F. 20 (dol. 4,25; 33 sh.)

TOM 195 — JULIUSZ MIEROSZEWSKI

MODELE I PRAKTYKA

Wybór artykułów czołowego publicysty „Kultury”.
Str. 224. Cena F. 18,50 (dol. 4; sh. 32)

TOM 196 — TADEUSZ NOWAKOWSKI

HAPPY - END

Powieść znanego pisarza na tle rzeczywistości Polski Ludowej.
Str. 208. Cena F. 18,50 (dol. 4; sh. 32)

TOM 197 — SERIA „DOKUMENTY”

GŁOSY STAMTAD

ZSSR I PRL
(OD OPOZYCJI DO REWOLUCJI)

Materiały otrzymane z Kraju oraz tłumaczenia z „samizdatu”:
S. Zorina i N. Aleksiejewa *Czas nie czeka* oraz *Program Ruchu Demokratycznego w Związku Sowieckim*. Wstęp Juliusza Mieroszewskiego.

Str. 176.

Cena F. 18,50 (dol. 4; sh. 32).

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte.
Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Roman Krolikowski, 507 Westmorland, O'Reilly Road, Johannesburg	R. 1,—	R. 5,85	R. 10,65
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25	F. 7,50	F. 45,00	F. 82,00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty. Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney N.S.W. 2000	\$ US 1,50	\$ US. 8,00	\$ US 15,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	—	Sch.A. 200,00	Sch.A. 380,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18.69.23	F.B. 75,00	F. B. 400,00	F. B. 750,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, rua Guira 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523	\$ US 1,50	\$ US. 8,00	\$ US 15,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 7,50	F. 40,00	F. 75,00
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, tel. 40-73, Postgiro 1379176	Fl. h. 5,00	Fl. h. 28,00	F. h. 54,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. 482-4673; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel. 586-3825; Z. Micherdzinski, « Polish Voice », 1089 Queen St., W. Toronto, Ont.; Jozef Polkowski, 110 Cobourgh Str., apt. 301. Ottawa 2, Tel. 233-7212; « ZWIAZKOWIEC », 1475 Queen St. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491	\$ Can. 1,50	\$ Can. 8,00	\$ Can. 15,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 ..	DM. 5,50	DM. 30,00	DM. 55,00
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 7,50	F. 45,00	F. 82,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431	F. S. 6,00	F. S. 35,00	F. S. 65,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm.	K. S. 7,50	K. S. 40,00	K. S. 75,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; S. Dziarczykowski, 2402 Cheremoya Ave., Hollywood, Cal. 90028; Ada Dziewanowska, 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172; Adam J. Galinski, 1727 Mass. Ave. N.W. Washington, D.C. 20036; T. Konopacki, 11839 Edgewater Dr., Lakewood, O. 44107, Tel. LA-1-2305; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346, Polish Amer. Book Co., 1521 W. Haddon Ave., Chicago 111. 60622; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia, Pa 19125; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Ave., Jamesburg, N.J. 08831. R. J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave., Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Jan Zych, 5436 Chopin, Detroit, Mich 48210, Tel. 899-5165	\$ US 1,50	\$ US. 8,00	\$ US 15,00
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.	12 sh.	£ 3.10.00	£ 6.00.00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	L. It. 900	L. It. 4600	L. It. 9000

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F.82; półroczna F.45.
Przesyłka pojedynczego numeru: 0,70 F.

Należności można wpłacać przekazem pocztowym na konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, 78-Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM 198 — SERIA «DOKUMENTY »

O. N. BURBA-KOCHAŃSKI

LIST DO EMIGRANTA

obrazujący jak krajowa lewica widzi emigrację
i jak sobie wyobraża z nią współpracę.

Str. 128.

Cena F. 12 (dol. 2,50; £ 1)



TOM 199 — TOMASZ STALIŃSKI

CIEŃ W PIECZARZE

Nowa powieść autora książki „Widziane z góry”, tematem której
jest inteligencja polska w kraju.

Str. 368

Cena F. 30 (dol. 6,00; £ 2,5)



TOM 200 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DZIEWIĘTNASTY

Zawiera m.in.: Charles de Gaulle — *Bitwa o Wisłę; Co w rzeczywistości myślał gen. Weygand o bitwie o Warszawę; gen. Sztymienko — Powstanie Warszawskie.* ◆ PAMIĘCI HELENY RADLIŃSKIEJ — *Wspomnienia M. Czapskiej, K. Bagińskiego, W. Pełczyńskiej J. Hoffmana, A. Bogusławskiej, Z. Gulińskiej-Mondschein, J. Różankowskiej.* ◆ POLEMIKI — KSIĄŻKI — LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

220
Cena F. 18,50 (dol. 4; £ 1,5)

Cena 7,50 F